

*Sergiusz Piasecki*

## Siedem pigulek Lucyfera

W związku z drukiem tej książki wydawca zwrócił się do autora z prośbą o skreślenie podtytułu *Autentyczne przygody diabła Marka* itd. W odpowiedzi otrzymał następujący list:

***Nie zgadzam się na usunięcie podtytułu, nawet jeśli z tego powodu Pan zrezygnuje z drukowania książki.***

***Twierdzę, że diabeł 9-ej kategorii, Marek, jest postacią autentyczną... Uważam, że wymagania Pańskie są narzucaniem mi swej cenzury. Nie jesteśmy w państwie totalitarnym, lecz w Anglii, gdzie wolność słowa jest chlubą całego narodu i gdzie zabezpiecza ją prawo... nie w mniejszym stopniu niż w Rosji, w której gwarantuje tę wolność obywatelom art. 125 Konstytucji. Pretensję do mnie może mieć jedynie sam diabeł Marek – którego imiennie wskazuję.***

***Sergiusz Piasecki***

Uwzględniając powyższą wzmiankę Autora o wolności słowa, pozostawiam podtytuł bez zmiany, lecz wykorzystując ją — na równych prawach — dla siebie, dodaję: uważam, że opowieść Sergiusza Piaseckiego *Siedem pigulek Lucyfera* jest groteską polityczną, a wszystkie postacie — nawet Lucyfera — są fikcyjne.

WYDAWCA

## Słowo wstępne

Wydawca jest szczególnie wybrednym czytelnikiem. Czytelnik, biorąc do ręki nieciekawą książkę, traci czas. Krytyk, który chwali lub gani ją z jakichkolwiek względów, zarabia na artykule. Wydawca zaś, jeżeli decyduje się na drukowanie nieciekawej książki, która nie będzie miała powodzenia, traci czas i pieniądze. Kiedy wydawca polski na emigracji, w roku 1948, decyduje się na wydanie książki, to musi to być utwór naprawdę wyjątkowy.

Uważam za najtrudniejszy rodzaj prozy satyrę w ogóle, satyrę polityczną zaś w szczególności. W literaturze światowej łatwo jest wymienić setkę wybitnych powieści, lecz trudniej przytoczyć chociażby kilka dodatkich utworów satyrycznych. Nawet w tych najlepszych znajdują się sceny, które grzeszą trywialnością lub brakiem szczerego artyzmu. Często spekulują one na pospolitych zestawieniach i przeciwstawieniach. Prawie zawsze kokietują „dekonspirowaniem” prawd, które są oczywiste. Satyra taka idzie nie pod prąd, lecz z prądem gustów publiczności i obliczona jest nie na walkę artysty z obłudą, nie na wykrywanie jej mechanizmów, nie na subtelną analizę, ale na zwykłe bawienie, przedrzeźnianie i wyszydzenie.

Sergiusz Piasecki wystąpił z satyrą polityczną odrębnego rodzaju. Bohaterem jego powieści jest — jak twierdzi autor — autentyczny diabeł. Pomysł satyry uważałem za oryginalny, lecz trudny do realizacji. Zacząłem z zainteresowaniem czytać maszynopis, oczekując, że utwór będzie „kulał” już przy pierwszych krokach: od chwili konfrontacji diabła z życiem realnym. Samo wprowadzenie diabła w akcję satyry wydawało mi się przeszkodą nie do pokonania. Tymczasem autor nie tylko łatwo ją pokonuje, ale celowo daje nowe przeszkody. Żongluje sytuacjami, rzuca fajerwerki dowcipów, paradoksów. Bohatera Marka rzuca w wir przygód na Ziemi. Wszystko tu jest pełne życia i barw. Zapomina się, że samo założenie utworu polega na fikcji. Powieść ta nie nudzi, nie nuży jednostajnością, lecz bawi nieustannie oryginalnością postaci i sytuacji.

Piasecki kpi, ośmiesza, chłoszcze sarkazmem i, dla podkreślenia „autentyczności” przygód diabła Marka, „dokumentuje” zdarzenia wycinkami z prasy polskiej. A przecież dokumentacja taka — zdawałoby się — narzuca ramy utworowi i utrudnia pisarzowi pracę.

Autor nie nazywa jednak rzeczy po imieniu. Bohater jego staje się ideowym demokratą ludowym i zostaje nim do końca. Nigdzie nie ma wzmianki autora o celu, raczej o celach jego satyry. W sposób ryzykowny splata on prawdę z fikcją, zwalcza obłudę i fałsz, którym ulegają — nie tylko w Polsce — najmądrzejsi, przed którymi cofają się najśmielsi...

Wydaje mi się, że jest to jedna z najlepszych satyr w obecnych czasach. Mocna jest dlatego, że zwalczyć jej nie sposób. Autor stoi na uboczu. Przygląda się i opowiada o „Autentycznych przygodach autentycznego czarta”. Tymczasem czytelnik sam rozwiązuje dziesiątki problemów, które w sposób najprostszy ukazują mu mechanizmy swego działania. Wyciąga prawdę oczywistą i idzie dalej.

W książce tej nie ma rzeczy nudnych, nie ma prostactwa. Wszędzie jest za to okazja do uśmiechu. Ironia powieści ma posmak bólu. Sarkazm płynie przez łyżę. Wyczuwa się w *Siedmiu pigułkach Lucyfera* troskę pisarza o swój kraj oraz pogardę dla tej obłudy, która w nim panuje.

Jako wydawcy nie zależało mi na jego tendencjach politycznych. (...) Mnie zależy na poziomie artystycznym utworu, który by zapewnił mu powodzenie. I tu — w najtrudniejszym rodzaju prozy —

autor stworzył z przygód diabła satyrę wysokiej klasy.

Na kartach tej opowieści diabeł 9 kategorii, Marek, jest do końca zakochany w Rosjanach. Nienawidzi Polaków, reakcji, sanacji i z zapalem ich zwalcza. Czuje się do końca ideowym demokratą ludowym i pcha się ze swoją demokracją wszędzie. Mimo to Marek wydobył na wierzch całą nędzę „demokracji” w dzisiejszej Polsce. Chcąc skonstruować taką satyrę, chcąc rozwiązać zawarte w niej przygody, trzeba mieć tę zdolność, którą dała diabłowi Markowi czwarta pigułka Lucyfera z napisem „talent literacki”.

Czytałem niedawno satyrę na podobny temat Georga Orwella *Folwark zwierzęcy*, która odniosła sukces w Wielkiej Brytanii i Ameryce. Uznaję ją za dobrą, lecz wydaje mi się, że satyra Sergiusza Piaseckiego jest lepsza pod względem artystycznym. Orwell przedstawia ustrój społeczny wykorzystując tradycyjny chwyt satyry tego typu: maluje ludzi jako zwierzęta. Jest to satyryczny prymityw. Piasecki natomiast operuje w swej satyrze efektami o wysokich walorach artystycznych.

Nie potrafię zwrócić uwagi na wszystkie walory *Siedmiu pigulek Lucyfera*. Zresztą dla każdego mogą być one inne. Lecz pewien jestem, że opowieść ta nie znudzi żadnego czytelnika.

Londyn, 12 marca 1948 Wydawca.

Autentyczne przygody diabła Marka, w latach 1945 i 1946, w niepodległej Polsce demokratycznej, od-  
tworzone na podstawie: dokumentów, zeznań świadków, wycinków prasowych oraz własnych  
obserwacji autora.

## ROZDZIAŁ I

### Awantura w piekle

Żył sobie spokojnie w Piekło bardzo sympatyczny diabeł Marek. Lubili go wszyscy, nawet grzesznicy, których gotował w kotłach ze smołą, bo nigdy nie dokuczał im złośliwie, tylko sumiennie i umiejętnie spełniał swe obowiązki. I trzeba pecha, że jego właśnie spotkała wielka przykrość, która zepsuła Markowi normalną karierę służbową i omal nie spowodowała wyrzucenia go z Piekła na zawsze.

Stało się to 27 kwietnia 1945 roku. O godzinie 12 w nocy Marek objął służbę w kotłowni nr 13. Dyżurny szatan udzielił mu instrukcji i wyszedł z oddziału. Marek obszedł olbrzymią, ponurą salę, rozwidnianą błyskami płomieni spod kotłów. Oddział ten był szczególnie ważny, „dyktatorski”, przeznaczony dla wyjątkowo krwawych katów ludzi na Ziemi. Gotowano tam w 33 kotłach 99 grzeszników. Byli wśród nich: Herod, Neron, Iwan Groźny, Su-worow, Murawiew-Wieszadeł... Jeden kocioł — pojedynczy — z setnym klientem kotłowni stał osobno. Miał na sobie swastykę. Gotował się w nim, naturalnie, Hitler... Kilka kotłów pustych stało z boku, oczekując na przyjęcie następnych lokatorów kotłowni, którzy nie skończyli jeszcze swej działalności na Ziemi. Na jednym z nich — też pojedynczym — pięknie lśniła czerwona rękawica. Z godłem rękawicy było kilka zajętych kotłów w szeregu.

Marek sprawdził temperaturę we wszystkich kotłach. Gdzie było trzeba, dorzucił do ognia węgla i usiadł przy stoliku u wejścia na salę. Zapalił czerwoną lampkę i rozwinął dziennik „Czarcia Prawda”. Przez pewien czas z zainteresowaniem czytał sprawozdania zagranicznych korespondentów z terenu Wszechświata, potem zaczął drzemać. Omal nie usnął, lecz porwał się na nogi i znów obszedł kotły, podsycając ogień pod nimi.

Co pewien czas Marek spoglądał na duży zegar ścienny, wiszący naprzeciw wejścia do kotłowni. Znów siadał do stolika i znów zabierał się do gazety. Z zainteresowaniem przeczytał oferty matrymonialne. Szczególnie ostatnią:

*Wiedźma lat 45: ognista, przystojna, wszechstronnie owłosiona, lubiąca dzieci i rolmopsy, posiadająca duży kapitał bezczelności, szuka towarzysza życia, tych samych walorów, w wieku od 50 do 500. Łaskawe oferty proszę kierować do Wydawnictwa pod Box No.00.*

Marek westchnął:

„Szkoda, że jestem dla niej za młody!”

Rozpłynął się w marzeniach o damskim towarzystwie i znów omal nie usnął. Ocknął się. Spojrzał na zegar:

— Lucyferze, dopiero trzecia!

Zaczął obchodzić kotłownię. Miał dyżurować do 8 rano. Co prawda opinia diabelska domagała się 36-godzinnego tygodnia pracy, lecz w związku z kryzysem opałowym zeszej zimy i odkomenderowaniem znacznej liczby diabłów do pracy w górnictwie, Lucyfer nie podpisał uchwały Izby Diabłów, zatwierdzonej już przez Izbę Szatanów.

Wszystko było w porządku. Ogień grał pod 33 kotłami. Grzesznicy jęczeli z bólu w gorącej smole. Marek znów usiadł do stolika, spojrzął na zegar, na kocioł ze swastyką i... usnął. A marzenia miał tak miłe, że się uśmiechał, a nawet oblizywał przez sen. Przyśniło mu się, że główny szatan przedstawił go do tytułu „bohatera Związku Piekelnego” i do gwiazdy Lucyfera z pogrzebacami. Marek przyjmował, zawistnie naturalnie, gratulacje kolegów po fachu i dumnie wypinał włochatą pierś, na której lśniło wysokie odznaczenie. I w tej właśnie, tak wzniosłej chwili ktoś bardzo niedelikatnie

zamalował go pięścią w mordę.

Diabeł porwał się na nogi i z przerażeniem zobaczył przed sobą głównego szatana, który dopiero co — dekorując Marka orderem — ogniście go pocałował. Za nim — jak akt oskarżenia — dyndał zegar, którego wskazówki flegmatycznie mijały 8 godzinę.

— Cóżś narobił, diable podły! Spaleś na dyżurze, a ogień pod kotłami zgasł!

Marek tak się przeraził popełnioną zbrodnią, że zemdlał. Wynikła straszna awantura. Połowa grzeszników — odzwyczajonych od niskiej temperatury smoły w kotłach — zachorowała na zapalenie płuc i poumierła. Najwytrzymalsi okazali się ci, co nie tak dawno trafili do kotłów. Natomiast starzy klienci jak: Herod, Neron — umarli w tymże dniu.

Główny szatan, ze strachem wielkim, zameldował o zajściu w kotłowni nr 13 Lucyferowi.

—Ilu zdechło? — spytał władca Piekieł.

—Pięćdziesięciu, księżycu.

—Hitler żyje?

—Żyje, lecz dostał brunatnej febry, księżycu.

—To u niego dziedziczne. A jak tam ci, co siedzą w kotłach z godłem rękawicy?

—Też żyją, lecz chorują na czerwonkę, księżycu.

—To chroniczne. Głupstwo. A kto dokonał tej zbrodni?

—Kwalifikowany diabeł 9 kategorii, Marek, księżycu.

—Dać mi go o godzinie 12 w nocy do raportu karnego!

—Oj — jej! — przeraził się losem Marka nawet główny szatan, lecz posłusznie trzasnął kopytami: — Tak jest, wodzu usmolonych!

Nazajutrz Marek miał szczęście, przepraszam: nieszczęście, po raz pierwszy w życiu zobaczyć Lucyfera, bo dotąd mógł oglądać jedynie licznie rozwieszone po Piekle jego portrety. Władca Piekieł siedział na wspaniałym tronie ze złota, kości i czaszek ludzkich, przez największych artystów Związku Piekelnego wykonanym. Miał złote widły i bat w rękach. Dokoła niego falowały barwne płomienie, z których co chwila wylaniały się to ogniste oczy, to potężne rogi, to czerwone kły.

Marek, kopnięty silnie w tyłek przez marszałka piekielnych ceremonii, na czworakach wjechał aż na środek sali audiencyjnej. Skurczył się z przerażenia i dygotał. To nieco zmiękczyło Lucyfera.

—Przyznajesz się do winy? — zagrzmiało po Piekle.

—Tak jest, ojczulku kochany... Do wszystkiego się przyznaję... Ja niegodny Związku Piekelnego diabeł od dawna to planowałem, namówiony przez agentów z Ziemi... — zalewając się łzami nieprzytomnie bełkotał Marek.

Znów rozległ się głos Lucyfera:

— Chciałem za karę wyrzucić cię na zawsze z Piekła na Ziemię. Ale widząc twą skruchę, diable głupi, pošlę cię tam tylko na rok. Masz mi znaleźć tam 50 nowych grzeszników do pustych kotłów! Jeśli to uczynisz, wezmę cię z powrotem i zostaniesz odznaczony „gwiazdą Lucyfera I klasy”.

Marek z zachwytem poczołgał się ku tronowi Lucyfera, aby cmoknąć go w kopyto, lecz opalił pysk o płomienie, otaczające władcę. To jeszcze więcej zmiękczyło Lucyfera.

— Dać tu komisarza informacji i propagandy — rozkazał wódz czartów.

Wnet się zjawił przed obliczem władcy wysoki dygnitarz piekielny.

—Jestem, wodzu i nauczycielu rogatych!

—W jakim państwie na Ziemi jest największa wolność i dobrobyt?

—Według ostatnich wiadomości „Prawdy”, ojczulku włochaty, największa wolność i dobrobyt, poza Rosją, są w Polsce, a największa nędza i niewola w Anglii i Ameryce, obrońco ogoniastych.

—Wyrzucić go do Polski na rok. Dać instrukcje, pouczyć, wyposażyć w 7 pigulek specjalnych dla delegatów z Piekła na Ziemię. Precz, dranie!

—Rozkaz, księżycu.

W ciągu 24 godzin Marka przygotowano do podróży na Ziemię. Zrobiono mu manicure, pedicure, ogolono pysk, opalono sierść na ciele, dobrze ubrano, obcięto rogi i amputowano ogon. Wyglądał na bardzo przystojnego obywatela, lat około czterdziestu, o lśniących zębach, ognistych oczach i śniadej cerze. Szatan administracyjny wydał mu diety na 5 dni, w sumie 5 dolarów, i próbkę z 7 pigułkami różnych kolorów. Jednocześnie pouczył go:

—Tę białą połkniesz po przybyciu na Ziemię. Staniesz się człowiekiem i będziesz mówił wszystkimi

językami. Czarną połkniesz 1 maja 1946 roku, najpóźniej do godziny 12 w południe, aby wrócić do Pieła. Inne: tylko w miarę potrzeby, według napisów na nich. Zrozumiałeś?

—Tak jest, towarzyszu marszałku!

—Wyrzucić go na Ziemię, do Polski, punktualnie o godzinie 1 w nocy, 1 maja! To znaczy: dziś w nocy — wydał rozkaz szatana administracyjny kierownikowi komunikacji międzyplanetarnej.

A nazajutrz radio i prasa tanganajskie ogłosiły następujący komunikat:

*„Niejednokrotnie już zauważono przelatujące nad terenem Tanganajki pociski rakietowe. Wczorajszej nocy, o godzinie pierwszej, również dostrzeżono taki pocisk, który mknął z wielką szybkością z zachodu na wschód. Te tryki pacholków kapitalistycznych, w dniu święta czarnoskórych całego swata, nie zastraszą tanganajskiej partii czarnej nocy, której wspaniałe osiągnięcia w kierunku rozwoju Tanganajki i dobrobytu oraz wolności mas pracujących są solą w oku faszystowskich rządów międzynarodowej plutokracji”.*

## ROZDZIAŁ II

### Pierwsza lekcja kultury

Po długim i szybkim locie, oszołomiony Marek wylądował — tyłem na dół — w bajorku pośrodku bagna. Woda lunęła wysoko w górę, aż na drzemiące w krąg bagna sosny. Marek z głową się zanurzył w gęstej mazi. Ledwo się wygrzebał z niej i przedarł przez błoto w las. Tam długo się otrząsał i tarzał w trawie, aby nieco się oczyścić z błota. Potem uporządkował, jak mógł, ubranie.

Poszedł przed siebie i do rana błąkał się w lasach. Marek nie wiedział, że znajduje się w Tucholskiej Puszczy. A gdy wzeszło słońce i zrobiło się ciepło, położył się na polanie. Spał cały dzień i dopiero nad wieczór pobrnał dalej. Po pewnym czasie znalazł w lesie jakąś drogę i wyszedł nią z lasów.

Zapadał wieczór. Marek zobaczył światelko palącej się w pobliskiej chałupie lampy.

„Tam mieszkają ludzie” — pomyślał diabeł i postanowił pójść do nich, aby zorientować się, co robić dalej.

Marek wyjął z dobrze ukrytej w marynarce kieszonki probówkę i dostał z niej białą pigułkę, która musiała obrócić go w człowieka. Połknął ją... Przed wszystkim poczuł, że jest bardzo głodny, więc pośpiesznie skierował się ku domostwu.

Chłop reperował przy stole chomąto, gdy drzwi z sieni się otwały i w nich ukazał się Marek.

—Dobry wieczór — rzekł diabeł grzecznie.

—Dobry wieczór — niechętnie odparł gospodarz i obrzucił przybysza podejrzliwym spojrzeniem. Chłop poczuł w powietrzu zapach siarki, który jeszcze nie wywietrzył z ubrania Marka.

„Czart!” — pomyślał gospodarz, a jednocześnie bardzo grzecznie zapytał:

—Co chcecie, obywatelu?

—Chcę kupić chleba.

Marek wiedział z odczytów szatana oświatowego w Piekle, że na Ziemi ludzie odżywiają się przede wszystkim chlebem i nawet w modlitwie proszą Boga o chleb, lecz nigdy chleba nie jadł ani widział nawet. A chłop rzekł obojętnie:

— Chleba w tym roku mało... Żyto nie urodziło... Jeśli dacie 5 dolarów za bochenek, to sprzedam, a jak nie, to idźcie do diabła!

Marek się zorientował, że chłop chce wyzyskać sytuację i oszukać go, lecz głód bardzo mu dokuczał, więc powiedział:

— Dobrze. Proszę dać chleb. Zapłacę tyle, ile żądacie. Chłop wyszedł do sieni, wziął cegłę, zawinął ją w papier i przy niósł do izby.

— Proszę... Dawajcie pieniądze!

Marek dał mu 5 dolarów, wziął cegłę i wyszedł na podwórze. Tam rozwinął papier i spróbował jeść

cegłę. Lecz nawet jego diabelskie zęby nie mogły jej ugryźć. Diabeł zrozumiał, że chłop go oszukał. Rzucił cegłę na ziemię, zapłakał i powłókł się drogą przed siebie.

Po godzinie chłop wyszedł na podwórko, aby przynieść wody ze studni. Potknął się o cegłę, upadł i złamał sobie nogę. Jęcząc z bólu zawołał:

— Za co Pan Bóg tak mnie ukarał?

Marek trzeci dzień siedział w Toruniu, w areszcie Bezpieki, przy ulicy Bydgoskiej. Aresztowano go w pociągu, z powodu braku biletu i dokumentów. Milicjonerom Marek wydał się bardzo podejrzanym typem, więc z miejsca skierowano go do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Tam wzięto go na przesłuchanie w sekcji 4, prowadzącej kontrolę dróg komunikacyjnych, pod pretekstem zwalczania spekulacji. Zeznania Marka były tak mętne, że przekazano go do sekcji 8, „specjalnej”.

W ciągu trzech dni pobytu w UB Marek stracił 5 zębów, normalny kształt nosa, górną błonę łączącą lewe ucho z głową i 7 kilo wagi. Badał go z wielkim zapalem świeżo upieczony członek PPR, który niedawno ukończył specjalny 10-dniowy kurs i został mianowany podporucznikiem. Badał starannie i drobiazgowo. Zależało mu na wyróżnieniu się i wykazaniu zdolności śledczych. Dopomagało mu w tym kilku agentów: dwóch młodszych i jeden starszy... wiekiem, stopniem i doświadczeniem, nabytym w orłowskim NKWD.

Marek pod wpływem głodu i bicia, mimo swej diabelskiej wytrzymałości, do tego stopnia zgłupiał, że plótł najfantastyczniejsze brednie. Protokołowano je skwapliwie. Gdy badający uważali, że Marek kłamie, to pobudzali go do prawdomówności laniem. I Marek chętnie mówił „prawdę”, gdy umiał wywnioskować, o co im idzie. Przyznał się, że jest agentem angielskiego wywiadu, że utrzymuje kontakt z generałem Andersem we Włoszech i generałem Paszkiewiczem w Szkocji, że otrzymuje zlecenia szpiegowskie od Churchilla, że prowadzi pracę wywrotową na terenie Polski... Tylko nie umiał podać szczegółów, bo i badający go „ubiści” ich nie znali. To właśnie z niego starannie wybijano.

Na trzeci dzień, wieczorem, w czasie badania na stole zadzwonił telefon. Podporucznik wziął do ręki słuchawkę. Nagle się wyprostował i trzasnął obcasami. Zaczął mówić marnym rosyjskim językiem. Głos mu drżał i załamywał się. To pułkownik NKWD zainteresował się wynikiem badań szpiega, o którym wczoraj meldował mu kierownik UB.

— ...Tak jest... Przyznał się do wszystkiego... Tak... Wysłany został przez, przepraszam, Andersa... Tak... Mam wszystkie protokoły... Dobrze... W tej chwili...

Podporucznik położył słuchawkę i zwrócił się do starszego agenta:

— Natychmiast auto! Jedziemy z aresztowanym do Komendantury.

W dużej, wspaniałej, lecz chaotycznie umeblowanej sali domu nr 9, przy ulicy Mickiewicza, siedzieli przy dębowym stole pułkownik i kapitan NKWD. Pułkownik przeglądał akta przywiezione z UB. Przed nim prężył się podporucznik. Z szacunkiem, strachem i oddaniem patrzył na dygnitarza. Marek stał przy drzwiach, pod opieką dwóch bojców z rozpylaczami. Zalana światłem sala onieśmieliła go i z niepokojem oczekiwał, co będzie dalej.

„Chociażby tylko bili”.

Pułkownik podniósł głowę znad akt. Ruchem dłoni w powietrzu usunął podporucznika z pola widzenia. Drugie skinienie dłoni wymiotło za drzwi bojców. Potem zaczął delikatnie, paluszkami, wabić ku sobie Marka. Diabeł zrozumiał i, dygocząc ze strachu, poszedł przez salę w kierunku stołu. Zaczepił się o dywan i upadł. Powstał, lecz opadły spodnie, ponieważ w UB obcięto mu guziki, traktując to jako dodatkowy środek zapobiegawczy ucieczce. Zbliżył się do stołu, przytrzymując garścią spodnie na brzuchu.

—Ty kto taki? A? — słodko spytał pułkownik.

—Ja?

—Tak: ty, nie ja. Mów, bo ja ci powiem!

Marek zajrzał w oczy dygnitarzowi i zrozumiał, że musi mówić prawdę.

—Ja... Marek...

—O zawód pytam!

—Diabeł dziewiątej kategorii...

—Jak?!

—Diabeł jestem.

—Diabeł?!

—Tak, diabeł — westchnął Marek.

—To znaczy: czart.

—Tak: czart.

Pułkownik się klepnął dłońmi po udach, zrobił oko do kapitana i powiedział:

— Bardzo przyjemnie się zapoznać. Ogromnie czartów lubię. Tylko, jeśli ty jesteś czart, to dlaczego nie siedzisz w Piekło, a szwędasz się po Ziemi? Urlop masz czy co?

— Mnie przysłał Lucyfer, żebym znalazł 50 grzeszników do kotłów.

— To nietrudne. Już tu masz trzech od razu. Tak że nie martw się: znajdziesz... Tylko jeśli ty jesteś czart, to po jakiego diabła plotłeś tu — pułkownik klapnął dłonią po aktach — o tym Andersie, Anglikach, o szpiegostwie, dolarach? Co?

Marek popatrzył zezem na podporucznika UB, westchnął i powiedział:

—Oni mnie też przysłali. Dawali dolary, kazali szpiegować...

—Dobrze... A jak Anders wygląda?

—Taki... taki... sympatyczny...

—Szcupły?

—Tak.

—Kędzierzawy?

—Tak.

—Jak ty?

Marek dotknął dłonią swej głowy, okrytej gęstymi, czarnymi kudłami.

— Akurat.

Pułkownik pochylił się przez stół i zajrzał Markowi w oczy.

—A o Mikołaju Czwartym ty mi co powiesz?

—Też...

—Co też?

—Dawał dolary... Kazał szpiegować...

—Mikołaj Czwarty?

—Mikołaj Czwarty.

—A jak on wygląda?

—Bardzo sympatycznie...

—Szcupły?

—Tak.

—Łysy?

—Tak.

—Wąsy ogolone?

—Tak.

W tym momencie pułkownik wskazał dłonią na ścianę, na której wisiał olejny portret, na cały wzrost...

— A to kto?! Znasz go?

Marek spojrzał. Przez chwilę stał oszołomiony. Nagle padł na kolana i zaczął się czołgać ku ścianie.

—Lucyferze, kochany! Księżycu jasny! Ojczulku, drogi! Wodzu rogatych! Obrońco włochatych!

—Wariat! — rzekł pułkownik.

—Wariat! — powtórzył kapitan.

„Wariat” — pomyślał podporucznik UB i poczuł, że robi mu się gorąco.

A Marek chwycił się rękami brzegów złoczonej ramy i całował malowane buty Mikołaja Czwsaego.

Pułkownik wstał od stołu i poszedł do diabła. Ujął go za kołnierz marynarki i odciągnął od portretu.

— Jesteście, obywatelu, wolni. I pamiętajcie, że władze radzieckie zawsze się opiekują serdecznie nie tylko swoimi obywatelami, lecz i wszystkimi uciśnionymi całego Świata. Możecie iść.

—Nie mogę — rzekł Marek i usiadł na podłodze. — Pięć dni nie jadłem.

—Hm... Cóż z tobą zrobić?... No, idź, jedź! Tylko wódki nie rusz!

Wskazał mu na drugi koniec dużego stołu, gdzie stały zimne przekąski i litrowa flaszka wódki. Marek wnet był przy stole. Łyknął, nie żując, jeden za drugim cztery kiszone ogórki, wyrzucił do gęby



solniczkę soli i wżarł się zębami w sporą bryłę salcesonu. A pułkownik, poprawiając koalicyjny pas na mundurze, szedł wolno ku podporucznikowi UB, któremu, na odmianę, zaczęło robić się zimno. Obejrzał go i rzekł łagodnie — jakby w zamyśleniu:

— Bicie uznaję, bicie popieram, bez bicia nie ma ani porządku, ani pracy, ani wychowania, ani szacunku dla władzy, ani cywilizacji. Sam też lubię bić. Ale bić trzeba kulturalnie. Rozumiesz: kul-tu-ral-nie!

Podporucznik mamrotał zbielełymi wargami:

—Towarzyszu pułkowniku! Paragraf 17 instrukcji, nadesłanej nam z NKWD, nakazuje osiągać zeznania „wszystkimi możliwymi środkami”.

—Właśnie, chamie! Możliwymi! Rozumiesz, sobako: moż-li-wy-mi!... A ty co z niego zrobiłeś? Pogadaj z nim: diabeł i już. Zobacz, jak żre.

A Marek z takim impetem walcował salceson, że aż nos mu się گیاł, uszy ruszały, a kapitan, zaniepokojony, odsunął się z krzesłem od stołu.

— ...To nie robota, ale sabotaż! — grzmiał pułkownik. — Zęby wybite, nos złamany, cały pokaleczony i żadnych rezultatów! Bić trzeba metodycznie, naukowo, celowo, systematycznie, inteligentnie, a nie po chamsku! I uczymy was, i kursy macie, i nie!... Wyjątkowo tępy naród!... Bije się mniej więcej tak! Rozległ się trzask i podporucznik UB potoczył się na podłogę.

— Wstań!

Podporucznik wstał, lecz nie zdążył dobrze się wyprostować, gdy posłyszał:

— Albo tak!

Znów ciało oficera UB klapnęło na podłogę.

— Albo tak!

—Albo tak!

—Albo tak!

Po dziesięciu ciosach podporucznik, słaniając się na nogach, ledwie oddychał. A pułkownik łagodnie przemawiał do niego, jak matka do syna:

—Widzisz: i zęby całe, i żebra też, i znaków specjalnych nie ma, a jesteś już częściowo przygotowany do składania zeznań.

—Tak jest — wyszeptał podporucznik.

—Więc idź do diabła ze swoimi aktami i pamiętaj: kulturalnie. Bo jak jeszcze raz delegata Lucyfera mi przyprowadzisz, to dostaniesz rok więzienia. A jak i to ciebie nie wyuczy, to dam ci tanganajskie obywatelstwo i wyślę do Afryki, bez prawa powrotu do Polski! Wynoś się!

Podporucznik znikł z sali, a Marek, który zjadł wszystko, co było na stole, a nawet wylizał musztardę ze słoika, oddanym spojrzeniem, z podziwem i miłością patrzył na swego wybawiciela.

— No, idźcie sobie, obywatelu! Już późno. I uważajcie, żeby was znów Polacy nie aresztowali, bo to podły naród.

„Jaka szkoda, że mnie Lucyfer wysłał do Polski, a nie do Rosji! Co to za sympatyczni panowie ci Rosjanie” — myślał Marek, bardzo niechętnie wychodząc z Komendantury na ulicę.

### ROZDZIAŁ III

#### Pod sztandarem Bachusa

Dużo jest pięknych i pożytecznych zajęć, lecz niewątpliwie najprzyjemniejszym jest szlachetny zawód samogoniarza. Nawet bogowie popijali sobie dawniej często-gęsto. A najsympatyczniejszy z nich — Bachus, zawodowo temu się poświęcił. Jedyne w Rosji partia komunistyczna za carem zrozumiała, że alkohol to trucizna i narzędzie do eksploataowania, ujarzmiania i ogłupiania mas pracujących, przez rozpijanie ich. Lecz w czas się opamiętała i — aby odrobić zaległości — zalewa wódką Rosję, a obecnie i Polskę, aż mile patrzeć.

Taka też była opinia Plusa, który fach swój uprawiał dziedzicznie i w nim celował. Poza tym był nieuchwytny dla władz akcyzowych i policyjnych, bo każda wizyta u Plusa ich przedstawicieli

kończyła się niezawodnie powrotem do urzędów na chwiejnych nogach i na długo miłymi wspomnieniami o poleskim pejzażu, na tle którego „krzakówka” była szczególnie smaczna, a wytwórca jej — Plus, ogromnie ujmujący. Więc ująć go było niemożliwe.

Plus uważał siebie za króla poleskich samogoniarzy i miał ku temu dostateczne podstawy. Więc, gdy jako repatriant powrócił na łono Ojczyzny, o której i pojęcia by nie miał, że istnieje, jeśli by nie szlachetne porozumienie przyjaciół Polaków w Jałcie, to przejęty hasłem odbudowy Kraju, włożył zardzewiałą nieco, w czasie dwumiesięcznego transportu na otwartych lorach, koronę i pierwszy odbudował w Toruniu swój zakład. A ponieważ przejął się ogromnie przyniesioną ze wschodu ideą pracy kolektywnej, to wziął do spółki Minusa, też repatrianta, lecz z Grodna, który z zawodu był fryzjerem, a z braku pracy w „Ojczyźnie” omal nie zastosował brzytwy do przecięcia sobie gardła.

Instytucję swą mieli na Podgórzu, przy ulicy Poznańskiej nr 38. Była zainstalowana w piwnicy dużej, nadwyrężonej kamienicy, w której mniej zniszczonych kątach gnieździło się trochę repatriantów. Dzielnica ta ogromnie ucierpiała z powodu wysadzenia w powietrze, na pobliskich torach dworca towarowego, pociągu z amunicją, przez wycofujących się z miasta Niemców. Kamienica jest położona po przeciwnej stronie jeziora i obok wypływającego stamtąd strumienia, więc o wodę do zaciera, kotła i chłodnicy było łatwo, a bragę — po wypędzeniu samogonu — mogli wylewać do strumienia.

7 maja 1945 roku, o godzinie 10 wieczór, Plus z Minusem zabrali się do następnego wypędu samogonu. Minus dwoma wiadrami nosił wodę z jeziora do chłodnicy. Tymczasem Plus umocowywał drewniane pokrywy na kotle z wodą i na braźnicy. Potem zaczął wmontowywać do naczyń rurki i chłodnicę.

Rozniecono suty ogień w palenisku pod kotłem. Plus zaczął szpachlować ciastem z żytniej mąki szpary w pokrywach — aby para — gdy woda się zagotuje, nie przebijała się na zewnątrz.

A Minus od czasu do czasu wynurzał się z czeluści ciemnego i krętego korytarza i sapiąc ze zmęczenia lał wodę do chłodnicy.

— Minus dwa — mówił, bo miał zwyczaj, jako fryzjer pracujący na procentach u właścicieli zakładów, obliczając swój zarobek, odliczać go od ogólnej sumy, przez niego zapracowanej na klientach.

— Plus dwa: sześć. Jeszcze cztery — wnioskował Plus.

O jedenastej wieczór główna robota była skończona. Drzewa na opał narąbali jeszcze wczoraj. Na ruinach było o nie łatwo. Plus z Minusem usiedli w kucki naprzeciw „aparatu” i z lubością nasłuchiwali, miłego sercu, chlupotania i cmokania w beczce z zacierem. Beczka stała na podwójnie złożonym sienniku, aby osłabić dudnienie pary w beczce, które przypomina turkot motocykla.

A z ulicy dolatywało nieustanne dudnienie kół bolszewickich taborów. Pełży nieskończonym węzłem na wschód, wywożąc z Ziemi Odzyskanych i strefy sowieckiej w Niemczech zdobycz wojenną: poduszki, pierzyny, kołdry, bieliznę, ubrania, meble, naczynia stołowe i kuchenne, maszyny do szycia i do pisania, radia, rowery, zegary, wózki dziecięce; nawet szafy, stoły, krzesła, dywany, portierey i linoleum.

—Ależ ich gołą! — z uznaniem dla techniki golenia mówił fryzjer.

—Bez pary wypędzą z nich soki! — dodawał samogoniarz.

Dudnienie „zdobytch” wozów bolszewickich było bardzo pomyślne dla samogoniarzy, bo zagłuszało turkot „aparatu”. Gorzej było, gdy zaczynały iść olbrzymie trzody krów lub koni. Wówczas hałas zewnątrz się zmniejszał, a było wyraźnie słyhać dźwięki „aparatu”.

Dwunasta godzina. Od dziesiątej pali się ogień pod kotłem. Braź-nica już prawie godzinę jęczy, mlaska, warczy i turkocze. Plus z Minusem co chwila macają rurę, prowadzącą parę z braźnicy do chłodnicy i ciągle spoglądają na wylot kranika, pod który zawczasu podstawili spory fajansowy dzbanek. Oczekują niecierpliwie pierwszych kropli alkoholu.

W pewnej chwili rozległo się lekkie syczenie, potem świst, później charkot... Para zaczęła się przebijać przez zamazane ciastem szpary w pokrywie. Plus się porwał na nogi i zaczął co prędzej zamazywać ciastem zagrożone miejsce. Lecz ciśnienie było tak duże, że przerywało szpary w innych miejscach. Plus szalał. Para kaleczyła mu ręce, lecz on ofiarnie smarował, szpachlował, wtłaczał ciasto w coraz inne miejsca. Wtem rozległ się jeszcze ostrzejszy świst i to samo zaczęło się robić z braźnicą. Minus gorączkowo rzucił się na pomoc swemu szefowi, lecz sytuacja wciąż się pogarszała. Pokrywa zaczęła jednym bokiem wysuwać się z kotła. Kłęby pary wypełniły piwnicę. Wtem stała się rzecz zdumiewająca. Jakiś nie znany im typ wbiegł do środka. W mig rozejrzał się po otoczeniu.

Plus z Minusem struchleli.

„Wsypa! Pięć lat kryminału pewne!”

Byli jednak tak przerażeni, że nawet nie próbowali uciekać. A przybysz rzucił się ku palenisku. Wprost gołymi rękami wygarnął ze środka płonące szczapy. Następnie wetknął jedną z nich w dłoń Plusowi i rozkazał:

— Świeć, durniu!

A Minusowi krzyknął:

— Nieś tu zaraz cegłę!

Wskazał dłonią na zawalony częściowo gruzem korytarz.

W pięć minut pokrywa była zaszpachlowana, a po brzegach jej leżały piramidki cegieł. Dopiero potem przybysz podsycił ogień pod kotłem. Węgłe w palenisku — w oczach osłupiałych ze zdumienia właścicieli gorzelnii — mieszał rękami.

Aparat znów ożył i pieszczotliwie zaśpiewał, zagruchał, zaturko-tał. Wówczas nieznajomy zwrócił się do samogoniarzy:

— Warn w urzędach siedzieć: papiery smarować, a nie wódkę pędzić! — rzekł z niezmierną pogardą.

— Wy wiecie, ile alkoholu się marnuje przez taką durną robotę?!

Zawstydzony Plus mrugał tylko oczami i czuł, że korona zaczyna osuwać się mu z głowy na bok. Zrozumiał, że jest szczeniakiem wobec tego dziwnego pana, który nawet węgle rękami miesza. A ponieważ u ludzi prostych nie ma piekielnej zawodowej zawiści, to czuł dla niego nie urazę, ale uznanie i sympatię.

Przybysz gniewnie odsapnął, pogłaskał czule dłonią postępującą zalotnie braźnicę, potem wyciągnął dłoń ku samogoniarzom.

— Jestem Marek.

— Plus.

— Minus.

Nastąpiła idylla. Marek, który w Piekło stale pędził samogon na użytek całego oddziału, umiejętnie regulował ogień pod paleniskiem, sprawdzał rurki, pokrywy, szpachlówkę. Plus z Minusem z szacunkiem na niego patrzyli.

— Zacier też marnie zrobiony — Marek pociągnął nosem powietrze i zawyrokował: — Będziemy mieli tylko 18 litrów 35-procentówki, a należy się 35 litrów.

— Trzydzieści pięć! — Plus z podziwu aż gębę otworzył.

— Masz zegarek? — zwrócił się do niego Marek.

— Mam — niezbyt chętnie odpowiedział Plus, bo obcując dużo z żołnierzami krasnej armii, przekonał się, że pozytywna odpowiedź na takie niedyskretne pytanie zwykle powoduje dla właściciela chronometru konieczność pytania się potem samemu innych o godzinę.

Marek spojrział na wskazówki cyferblatu, dotknął ręką rurki od braźnicy i powiedział:

— Za pięć i pół minuty zacznie kapać.

Trzy pary oczu uważnie patrzyły na wylot chłodnicy. Punktualnie za 5 i pół minuty do garnuszka spadła pierwsza kropla. Dwie pary oczu spojrzały z uznaniem na Marka.

Niedługo potem alkohol potoczył się niteczką, później nitką, następnie sznureczkiem, potem sznurkiem, dalej ciurkiem, a wreszcie całą dziurką... Gdy garnuszek się wypełnił, Marek podstawiał na jego miejsce kubek i powąchał pierwszy — dochodzący często do 80% mocy — wypęd. Skrzywił się straszliwie. Splunął z najwyższą odrazą nałogowego abstynenta i od razu, jak zwykłą wodę, w oczach osłupiałych z podziwu Plusa z Minusem, wysączył do dna pół litra samogonu. Wówczas powiedział melancholijnie:

— Żadna robota! Smród nie wódka! Beczka nie wyparzona. Mąka była nadpsuta. Drożdże stare. Zacier za wcześnie zdjęty.

Wstał i bez pożegnania ruszył ku wyjściu z piwnicy. Wówczas Plus porwał się z miejsca. Wyciągając błagalnie ręce ku Markowi zawołał:

— Mistrzu kochany, zostań! Bądź naszym dyrektorem!

Marek stanął. Spojrział na Plusa z Minusem, na „aparat”, na wypełnione alkoholem flaszki, na grające w palenisku płomienie. Wciągnął w nozdrza odór bragi i swąd smolnych szczap... Przypomniało mu się nieco Piekło... Skrzywił się i... został.

A nad ranem z piwnicy, nie zważając na możliwość wsypy, rozległa się zadzierżyscie piosenka:  
*Wszędzie dobrze, wszędzie dobrze, A najlepiej w Piekło: Najedzą się, napiją się — Siedzą sobie w cieple.*

Nowo zorganizowana spółka opijała swe powstanie. Na czarnej głowie Marka, na której przed tygodniem kwitły piękne czarcie rogi, a którą UB ozdobiło — mniej symetrycznie — guzami, ukazała się, po dobrowolnej abdykacji Plusa, korona króla pomorskich samogoniarzy. I to nie wskutek protekcji, beczelności lub sprzyjających okoliczności, tylko jako uznanie dla wiedzy, talentu i inteligencji.

Marek zrozumiał, że zaczyna nie byle jaką karierę.

Spółka Plusa z Minusem, pod fachowym kierownictwem Marka, wstąpiła w okres wspaniałego rozkwitu. Pierwszy wypęd, według wskazówek diabła, dał im 35 litrów doskonałego bimbru. Wbrew uświęconym tradycją zwyczajom, Marek nie dał im w trakcie pracy ani kropelki nektaru, lecz wlewał wszystko do ogromnego filtru, skąd alkohol powoli się sączył do 50-litrowej butli. Filtr był sporządzony z blachy, a wewnątrz — prócz waty, żwiru i węgla — był specjalny preparat, znany diabłowi z praktyki w Piekło. Powodował chemiczne strącanie trujących olejków etylowych i metylowych, więc po przejściu przez filtr alkohol był tak czysty jak po najlepszej rektyfikacji. Dopiero gdy braga była wylana, beczka wyparzona, kocioł wyszorowany, nowy zacier postawiony, a piwnica sprzątnięta, diabeł wyjął z butli filtr i wlał do dużego dzbana kilka litrów oczyszczonego bimbru. Wypełnił po brzegi dużą szklankę i zrobił oko do swych pomocników.

— Zdrowie Lucyfera!

Wypił, oblizał się i podał wypełnioną wódką szklankę Plusowi, któremu z niecierpliwości aż ręce drżały. Król poleskich samogoniarzy wziął szklankę z rąk króla pomorskich bimbrowników i spojrzał pod światło. Wódka była czysta jak poranna rosa w kielichu narcyza. Wypił ją wolniutko, spojrzał na Marka i nagle zaczął płakać.

— Zmarnowałem ja swoje życie! Taką harę pędziłem. A toż bimber może być lepszy od monopolówki! Wypił i Minus.

—O! No i bimber! Ty chyba u diabła uczył się pędzić.

—Sam diabeł jestem — odrzekł Marek dumnie.

Po każdym wypędzie wspólnicy wysprzedawali samogon. Robotę podzielili w ten sposób, że każdy z nich obrabiał inny rejon. Wychodzili na miasto, mając w kieszeniach po kilka półlitrówek bimbru. Sprzedawali go za gotówkę lub wymieniali za rzeczy rosyjskim żołnierzom, którzy stanowili wyłączną prawie ich klientelę.

Plus operował przy ulicy Poznańskiej, bo nie lubił daleko chodzić. Był przyzwyczajony na Polesiu, że nabywcy do niego przychodzili, a nie on do nich. Sprzedawać było łatwo, bo klientów miał tysiące. Byli nimi właśnie jadący ze zdobyczą żołnierze. Chętnie kupowali bimber, płacąc gotówką, czasem złotem, częściej rzeczami. I, dziwna rzecz, bardzo rzadko się zdarzało, że żołnierz nie płacił za wódkę, chociaż łatwo mógł to zrobić, bo proceder był nielegalny.

Minus sprzedawał swą część na torach dworca towarowego, zatłoczonych powracającymi z frontu transportami wojska. Wybierał wagony, wyładowane dobrze zdobyczą, i obserwował znajdujących się tam bohaterów. Potem się zbliżał do nich i proponował po rosyjsku:

— Krasawcy, może wódkę kupicie?

Odpowiedź była zawsze pozytywna. Rozpoczynało się próbowanie wódki. Potem targ. Przeważnie wymienny. Kupowano bimber chętnie i czasem Minus sprzedawał w jednym wagonie wszystko, co miał. I tu załatwiano sprawy „uczciwie”. Może wynikało to z podziwu dla właściciela bimbru, który mogąc sam go wypić nie robił tego, lecz lekkomyślnie się pozbywał drogiego płynu.

Marek zwykle likwidował swój towar na Nowym Rynku. Było to daleko od ich przedsiębiorstwa, lecz tam najlepiej było sprzedawać za gotówkę.

Po dwóch wypędach bimbru pod dozorem Marka, spółka zaczęła porastać w pierze. Plus z Minusem mieli dobre garnitury i obuwie. Poza tym sporo gotówki. A Marek wyładował kieszenie plikami banknotów.

19 maja diabeł udał się na Nowy Rynek z trzema litrami samogonu. Sprzedawców bimbru było tu dużo, lecz i nabywców nie brakowało, więc handel wymienny i za gotówkę szedł tu na wielką skalę. Nawet chłopci ze wsi, zamiast produktów, przywozili samogon i sprzedawali go z dużym zyskiem.

Gdy Marek lawirował w zalegającym rynek tłumie, to zauważył babinę, która wyjęła z kosza indyka i puściła go na ziemię. Ptak się otrząsł, nastroszył pióra i dumnie unióśł głowę. Wtem rozległ się po rosyjsku okrzyk:

— Patrzcie, patrzcie, chłopcy: jaki zwierz!

— Do ptaka podobny...

— Taki ptak nie może być!

— A cóż to? pies?

Indyk jeszcze więcej się nastroszył i hardo paradował w utworzonym kole. Rosyjscy żołnierze przez pewien czas ze zdumieniem patrzyli na indyka.

— A jak szypi!

— Zobacz, co piórami wyrabia!

— Co to u niego na nosie?

— To chyba nie prawdziwy ptak!

Nagle jeden z nich parsknął śmiechem. To było jakby sygnałem do rozpętania ogólnego wybuchu śmiechu. Krasnoarmiejców nadbiegało coraz więcej. I po kilku minutach w krąg dumnego indyka szalała burza śmiechu. Jeden żołnierz tarzał się już po ziemi. Dwóch dostało czkawki. Niektórzy tracili oddech i już się nie śmiali, a porykiwali, wyli i jęczeli, z oczu zaś im łzy leciały.

Marka też ogarnęła wesołość. Śmiał się nie z indyka, lecz uległ ogólnemu nastrojowi. Śmieli się i Polacy, patrzący na to widowisko. Z pobliskiego budynku nadbiegli żandarmi, lecz i ich porwał ogólny szal. Już dwóch żołnierzy kurczyło się na ziemi. Jeden z nich miał siną twarz, a z ust mu nie śmiech się wrywał, lecz piana się toczyła.

Wtem spojrzenie Marka padło na dziwną postać mężczyzny. Stał wysoki, chudy, elegancko, lecz skromnie ubrany. Na twarzy miał absolutny spokój. Ani obojętność, ani wzdargę, tylko spokój. Patrzył na indyka, na tarzających się po ziemi żołnierzy, na ryczący tłum i nic... Tylko spokój. To wydało się Markowi tak dziwne, że przestał się śmiać i patrzył ze zdumieniem na nieznanego, którego nie wiadomo dlaczego nazwał w myśli: Amerykanin. Może dlatego, że był tak obcy wszystkiemu, co tu się działo? Patrzył zimnymi oczami — jakby afisz na ścianie czytał; twarz zaś była szarą, gumową maską. Spojrzenia ich się spotkały. Trwało to przez kilka sekund. Wtem ręka nieznanego się uniosła i Marek zobaczył — jak wówczas w Komendanturze — że wabi go długi, kościsty palec. I jak wówczas poszedł na ten niemy znak lawirując między wstrząsanymi wybuchami śmiechu ludźmi.

Nieznanomy przemierzał plac w kierunku apteki "Pod Orłem". Tam wszedł we frontowe wejście i wolno kroczył schodami w górę.

Marek szedł za nim. Na klatce schodowej drugiego piętra „Amerykanin” stanął.

— Wiele masz bimbru?

— Trzy litry.

— Po ile?

— Po trzysta litr.

— Drogo. Wszędzie po 250.

— Mój bimber najlepszy w Polsce.

— Pokaż!

Marek wyjął z kieszeni litrową flaszkę. „Amerykanin” przewrócił ją denkiem do góry i spojrzał pod światło. Potem wyjął korek, odpił trochę i splunął. Odpił znów prawie ćwierć flaszki, lekko się skrzywił i oddał butelkę Markowi, który nie wyczytał z twarzy klienta żadnego wrażenia, lecz był pewien, że bimber się spodobał.

— Sam pędzisz, czy sprzedajesz tylko?

— Sam.

— Potrzebuję więcej jak trzy litry. Zapłacę ci po 300 złotych litr.

— Dziś więcej nie mam. Za dwa dni będzie nowy wypęd. Wówczas mogę sprzedać 30 litrów.

„Amerykanin” włożył flaszki bimbru do teczki i dał Markowi 3000.

— 900 za ten bimber, a 2100 zadatek za tamten, co wypędzisz. Kupuję wszystko po 300. Proszę o adres.

Właściwie adresu, według umowy ze współnikami, nie wolno było nikomu dawać, lecz Markowi to nawet do głowy nie przyszło. Wziął pieniądze i opowiedział dokładnie, jak odnaleźć jego gorzelnię.

— Wódkę spakuj w skrzynię. Za to zapłacę osobno — rzekł „Amerykanin”.

— Dobrze. Tylko chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia?

„Amerykanin” spojrział uważnie w oczy Markowi.

—Tego i ja dokładnie nie wiem — rzekł obojętnie. — Byłem właścicielem kopalni wody. W kopalnię trafiła tonowa bomba. Lotnik dobrze wycelował. Odtąd mam wodowstręt i używam tylko alkohole. Nazywam się Leon Ryż. A mieszkam pod kapeluszem. Jestem królem szabru.

—A ja jestem królem bimbru. Nazywam się Marek. A pochodzę z Piekła.

—Zachwycające. Żegnam pana Marka.

Tymczasem trzy oddziały straży pożarnej zalewały rynek strugami wody z hydrantów. Starano się w ten sposób uspokoić szalejący w huraganie śmiechu tłum. To wywarło skutek. Ludzie uciekali z placu. Kilka salw karabinowych przyśpieszyło zupełne opróżnienie go. Wkrótce na rynku zostało tylko kilkunastu kurczących się na ziemi w konwulsjach krasnoarmiejców i dwóch zmarłych. Tylko ptak nadal dumnie paradował środkiem rynku. Lecz seria z karabinu maszynowego zmusiła i jego do położenia się. Rannego indyka milicja zabrała do worka. Dopiero wówczas drużyna sanitarna zaczęła oczyszczać plac z martwych i konających w konwulsjach śmiechu żołnierzy radzieckich.

A nazajutrz można było przeczytać w miejscowej prasie:

*„W dniu 19 maja na Nowym Rynku elementy reakcyjne usiłowały wywołać zaburzenia o charakterze antydemokratycznym. Ofiarami ich padło kilku żołnierzy radzieckich. Główny winowajca został pochwycony i będzie ukarany z całą surowością prawa. Organy UB są na tropie całej organizacji, usiłującej szerzyć zamęt w społeczeństwie i otrzymującej dyrektywy z wiadomych sfer zagranicznych”.*

## ROZDZIAŁ IV

### Okręt wypływa z portu

Już dwa razy Leon Ryż zakupił całą produkcję towarzystwa z nieograniczoną bezczelnością pracującego pod firmą: „Marek, Plus i Minus”. Gdy się zjawiał po raz trzeci, to rzucił pieniądze na braż-nicę i długo, jakby bezmyślnie, patrzył po otoczeniu. Potem powiedział głucho:

— Ladies and Gentlemen! Bardzo...

Lecz nie dokończył, bo zalany w deskę Plus porwał się na nogi z worka mąki, na którym siedział:

— Ja nie pozwalam na takie wyrazy! Tu jest państwo demokratyczne i jesteśmy wszyscy równi sobie! Ot co!...

—Szanowny pan albo za dużo wypił, albo nie dopił. W Anglii to jest zwykły zwrot grzecznościowy.

—Więc jazda do Anglii! A my się znamy na tych kawałach! Nam propagandy nie...

Wtem Minus, którego, jako fryzjera, cechowała ogromna delikatność i grzeczność, przerwał wystąpienie Plusa w ten sposób, że trzasnął go w zęby i obalił na worek.

— Jesteś cham i jeśli nie znasz się na rzeczy, to milcz! Człowiek dobrze wychowany nigdy nie przeszkadza innym wypowiedzieć swe zdanie. Dopiero potem należy mu się zbić pysk, zrugać i...

W tej chwili Minus zatoczył się od potężnego ciosu, którym zdzielił go Marek.

—Kto jest dyrektorem gorzelni: wy czy ja? Wasza rzecz robić, co się należy, i milczeć! A wy przeszkadzacie szanownemu klientowi wypowiedzieć swe mądre i cenne zdanie! Jeśli to jeszcze raz się powtórzy, to będę musiał podać się do dymisji! — Tu Marek się zwrócił do Ryża: — Proszę kontynuować.

—...Muszę stwierdzić — rzekł Ryż — że wódka waszej firmy jest najlepsza, jaka istnieje, natomiast organizacja pracy idiotyczna. Wy pędzicie w ciągu 8 dni 60 litrów. 10 idzie na własną konsumpcję, a 50 zostaje. Koszt produkcji i wydatki własne pochłaniają dalsze 20 litrów. Zostaje 30 na trzech, czyli 10 na jednego. Mało więcej jak litr dziennie zysku dla każdego z was. A praca trwa bez przerwy i ryzyko ogromne. Natomiast, przy dobrze zorganizowanej pracy, można pędzić co dzień z 200 kilogramów mąki bez żadnego ryzyka. Więc łatwo podnieść waszą produkcję dwudziestokrotnie. Wówczas zmniejszają się wydatki, wzrastają zaś zyski.

Bimbrownicy zaczęli z nadzwyczajną uwagą słuchać Ryża.

—...Mówię o tym nie dlatego, aby z was kpić, lecz dlatego, że zależy mi na dostarczaniu dużych ilości dobrego bimbru. To pierwsze. A drugie jest to, że mam możliwość zorganizować wam racjonalnie

postawioną gorzelnię. Więc pytam was, panowie, czy się zgadzacie natychmiast rozpocząć pracę w porządnie zorganizowanym przeze mnie przedsiębiorstwie?

—Ja się zgadzam, a oni muszą się zgodzić — odparł Marek. — Z tego wynika, że wszyscyśmy jednogłośnie przyjęli pańską propozycję.

—Doskonale. Więc proszę po wypędzeniu tego zaciera następnego nie stawiać. Pojedziemy do Radomia. Tam jest moja baza nr 2. A gorzelnię zainstalujemy w Bąkowcu. Mam tam znajomych wśród kolejarzy. Proszę się przygotować do odjazdu.

—Dobra — rzekł Marek. — Tylko jeszcze jedna sprawa. Czy musimy jechać koleją?

—Tak.

—Więc ja nie jadę.

—Dlaczego.

—Nie mam dokumentów.

—Nie ma pan dokumentów?!

—Nie mam.

—Żadnych?

—Tak.

—Jakże pan dotychczas żył?

—U nas w Piekło nikt nie ma dokumentów.

—Żarty na bok. W centralnej Afryce obywatelowi wystarczy ciało. Już w Ameryce potrzebne są ciało i dusza. W Anglii ciało i paszport. W Hiszpanii dusza i paszport. We Francji dusza, ciało i paszport. W Rosji tylko paszport. A w obecnej Polsce demokratycznej władzom opiekującym się narodem polskim są potrzebne: paszport, metryka, świadectwa zatrudnienia, szczepienia, odwszenia, moralności politycznej, lojalności psychicznej, prawomyślności, wierności; przynależności klasowej, zawodowej, partyjnej; o służbie w wojsku i cywilu; o stosunku do władz wszystkich kolorów, od dnia narodzenia się ich i jego aż do śmierci ich albo jego. A pan z tego wszystkiego nie ma nic?

—Nic.

—Wstyd?

—Tak.

Leon Ryż przez pewien czas patrzył na Marka. Trudno zrozumieć, z jakim uczuciem: podziwem czy pogardą? Potem wyjął bloczek i napisał w nim kilka wierszy. Dając kartkę Markowi powiedział:

— Proszę zapamiętać sobie ten adres, a potem zniszczyć go. Dziś wieczorem, o godzinie 7, proszę tam pójść. Jest to mieszkanie mistrza legalizacji. Będzie uprzedzony. Pieniędzy radzę nie żałować, a kupić dobry komplet dokumentów. To drogo kosztuje, ale się opłaca. Jeśli zabraknie panu gotówki, to ja koszta pokryję na poczet naszych przyszłych rozrachunków. Do widzenia.

Punktualnie o godzinie 7 Marek się zgłosił pod wskazany mu adres. Przyjął go imponująco wyglądający pan. Wprowadził do zawalonego stosami książek i papierów pokoju. Tam ulokował Marka przy stole i naparzył kawę. Dopiero potem usiadł w fotelu i wolno cedząc przez zęby to kawę, to słowa, zaczął objaśniać:

—Ja tego proceduru nie uprawiam zawodowo. Traktuję to jak artysta i ...pomagam. Podkreślam to: pomagam. Pana polecił mi gorąco pan Leon. To mi wystarcza. Chcę wiedzieć, czym mogę panu pomóc?

—Nie mam żadnych dokumentów i chcę się zalegalizować.

—Dobrze. Kim pan chce być?

—Wszystko mi jedno. W rzeczywistości jestem diabłem 9 kategorii, wydelegowanym z Pieła na Ziemię przez Lucyfera...

—Rozumiem. Pan chce mieć dokumenty umysłowo chorego. To w obecnych czasach jest dobre. Rosjanie dla wariatów mają respekt. To u nich zostało z dawnej wiary ludu; wierzą, że umysłowo chorzy są we władzy szatana lub że ustami ich przemawiają wyższe siły.

—Ależ wcale nie chcę wariackich dokumentów.

—Więc co?

—Chcę mieć porządne dokumenty porządnego obywatela.

—Ja legalizuję według kategorii. Pierwsza, najtańsza: zaświadczenie z pobytu w obozie koncentracyjnym. Daje możliwość zameldowania się i uzyskania innych legalnych dokumentów.



Kosztuje 10 dolarów. Druga: zwykłego obywatela, który wskutek działań wojennych zmienił miejsce pobytu. Kosztuje 50 dolarów, bo trzeba zrobić komplet z 5 dokumentów. Trzecia: repatriant z ziem wschodnich. Kosztuje 100 dolarów. Komplet się składa z 10 dokumentów. Sama „karta ewakuacyjna” ma 14 pieczęci i 9 podpisów. Dlatego to drogie. Poza tym jest kategoria specjalna. Kosztuje 200 dolarów. To są autentyczne dokumenty, których nie można sprawdzić, bo miasto zniszczone, właściciel zaś zginął.

Marek był u mistrza legalizacji trzy godziny. Zapłacił za komplet dokumentów 10000 złotych i zostawił do uregulowania Ryżowi 150 dolarów. Za to miał wspaniałą serię dokumentów, z których wynikało, że jest urodzony w Warszawie, przy ulicy Chmielnej nr 14. Zawód: palacz w kotłowni. Był w armii Berlinga. Otrzymał kontuzję i jest inwalidą. Ma lat 42. Kawaler, bezwyznaniowiec, Polak.

— Więc proszę pamiętać — mówił mistrz legalizacji — rodzina zginęła w Warszawie w czasie powstania. Pan otrzymał kontuzję i na pewien czas stracił pamięć. Kompania, do której pan należał, nie istnieje. Była częściowo wybita pod Brześciem, resztki zaś zniszczono pod Poznaniem. Został pan jeden. Batalion, do którego pan należał, raczej resztki tego batalionu, wysłano jako garnizon do Suchowaja. Tu pan masz dziennik swego imiennika. Jest dość obszerny i z niego może pan dobrze się zorientować, kim pan jest i gdzie pan był. Więc jak pańskie nazwisko?

—Wierzba.

—Imię?

—Antoni.

—Rok urodzenia?

—1903.

—Doskonale. Pamięć ma pan dobrą. Trzeba tylko wejść w tę rolę i uwierzyć samemu w to, co stwierdzają dokumenty. To zwykle przychodzi po załatwieniu kilku urzędowych formalności.

Marek dumnie kroczył ulicami Torunia. Był już nie biednym, wypędzonym z Piekła na pokutę w Polsce diabłem, lecz bohaterem walki z hitleryzmem i zasłużonym obywatelem.

1 czerwca 1945 roku uważam za datę powstania wspaniałego trustu bimbrowego pod firmą: „Ryż, Wierzba i Plus z Minusem”. Centralę trustu zainstalowano w Radomiu. Urzędował tu szef przedsiębiorstwa, Ryż, który dojeżdżał tu z Poznania, z bazy nr 1, i co sobotę odbierał tygodniową produkcję trustu. Natomiast zacier robiono w składnicy kolejowej materiałów technicznych w Bąkowcu. Miejsce było idealne do tego procederu, bo nikt obcy wejść tu nie mógł. Wierzbę, Plusa i Minusa urządzono na fałszywe dokumenty — jako: pomocnika maszynisty, palacza i dozorca Składnicy...

Pracę zorganizowano w ten sposób, że wchodzący do spółki maszynista, wraz z Minusem, dostarczał mąkę z Radomia i odwoził tam wypędzony bimber. Zacier robił Plus w Składnicy kolejowej. Miał do dyspozycji 4 ogromne beczki, w których robiono rozczyny z 200 kilo mąki w każdej. A sama procedura wypędzania samogonu odbywała się na lokomotywie, którą dowożono, na kilku lorach, szyny i podkłady kolejowe do budującej się bocznicy — w kierunku na Kozienice.

Prócz stałych członków trustu było jeszcze 6 wspólników — kolejarzy. Lecz to niezbyt obciążało przedsiębiorstwo, bo było czym się dzielić. Dziennie wypędzano około 150 litrów. Całym przedsiębiorstwem kierował Ryż. On robił zakupy mąki i drożdży, i likwidował owoce pracy. Kolejarze otrzymywali wynagrodzenie bimbrem — po 5 litrów dziennie. Ryż obliczył, że po opłaceniu wszystkich wydatków pozostaje dla trustu 100 litrów samogonu dziennie. Z tego przeznaczył 30 litrów na budowę bocznicy, a 30 otrzymywali — w gotówce — Wierzba, Plus i Minus. Wynosiło to po 3000 złotych dla każdego dziennie. Nic dziwnego, że wspólnicy pracowali z entuzjazmem.

Co dzień rano pod Składnicę podjeżdżała lokomotywa. Wychylał się z niej pomocnik maszynisty, Marek. Plus już czekał na niego. Pompą przelewano zacier do umieszczonej na tenderze dużej braźnicy. Potem wąż zniknął, a lokomotywa, wioząca na dwóch lorach szyny i podkłady kolejowe, sapiąc i postępując wjeżdżała na tor bocznicy i majestatycznie sunęła naprzód. Praca odbywała się doskonale. Od kotła lokomotywy szła rura do braźnicy. Pary nie brakowało, więc zacier prędko wrzał. Z braźnicy szła rura do baku z zimną wodą, gdzie była umieszczona chłodnica. A alkohol wylewał się wprost do cynkowej beczki, przez wstawiony u góry olbrzymi filtr. Zwykle w ciągu 5 godzin cały wypęd był gotów. Lokomotywa sapała, jęczała, postękiwała i melancholijnie kursowała tu i tam po torze. Potem zatrzymywała się przy strumieniu, biegnącym pod torami. Tam wylewano pompą do wody użytą



bragę. Potem wracano do Bąkowca i tam wyładowywano beczkę z bimbrem do Składnicy.

Przypuszczam, że w historii gorzelnictwa — od czasów Noego aż po dziś dzień — była to jedyna gorzelnia pracująca w ruchu, na kołach. Organizacja pracy była dobra, bezpieczeństwo 99-procentowe, wódka 45%, zyski duże, więc trust kwitł jak krzak róży w czerwcu. A był to właśnie czerwiec.

Dobry podział pracy zostawiał wszystkim dużo wolnego czasu. Wspólnicy spędzali go według upodobań. Plus tego pił, a potem z litrem bimbru w kieszeni szedł na poszukiwania towarzyszy do dalszej pijatyki. Minus, który miał ogromnie czułe serce, elegancko ubrany szukał przygód miłosnych w Bąkowcu. Prawdopodobnie robił to z dużym powodzeniem, bo parę razy wrócił z podrapaną twarzą i podbitymi oczami. A Marek — kto by to pomyślał — z diabelskim uporem zabrał się do kształcenia. Kupował polskie i rosyjskie tygodniki, gazety, broszury i czytał, czytał, czytał... A z tego, co czytał, musiał wywnioskować, że wszystko, co Polska miała, ma lub mieć będzie: i kulturę, i dobrobyt, i wolność, i bezpieczeństwo, zawdzięcza Rosji. To mu było ogromnie przyjemne, bo od czasu wyzwolenia go z Bezpieki przez pułkownika NKWD miał w sercu miłość dla Rosjan, niechęć zaś dla Polaków.

Pewnego dnia — w połowie czerwca — Marek przeczytał „Konstytucję Związku Socjalistycznych Republik Rad”. To ostatecznie zrobiło go rusofilem. Gdy zapoznał się z treścią artykułu 127: „Obywatelom ZSRR zapewnia się nietykalność osobistą. Nikt nie może być aresztowany bez postanowienia sądu lub bez sankcji prokuratora,” to, wspominając aresztowanie go przez polską milicję i bicie w Bezpiece, poniewczasie zapłakał nawet, macając swój złamany nos. Odtąd „Konstytucja Stalinowska” zrobiła się jego ulubioną książką. Nosił ją na sercu i postanowił, że gdy będzie musiał wrócić do Piekła, zabierze ją ze sobą i pokaże wszystkim diabłom, aby się przekonali dokumentarnie, że Rosjanin ma takie prawa, że nawet palcem tknąć go nie wolno. A szatan w Piekło, nieraz złośliwie nastawiony, potrafił nawet szturchnąć diabła pięścią.

Marek bardzo żałował, że nie ma tu Ryża, do którego inteligencji miał wielki szacunek. Tyle było pytań, tyle niezrozumiałych kwestii nagromadziło się w diabelskim mózgu, lecz nie było do kogo z tym się zwrócić. Pewnego razu pokazał Plusowi okólnik następującej treści:

*„Ministerstwo Sprawiedliwości. Nadzór Prokuratorski. Warszawa, dn. 30 maja 1945 r. Nr 6632/45. Wojna i związane z nią zdziczenie obyczajów, repatriacja ludzi rozmaitych narodowości, przeciągających przez obszar Rzplitej, nagminne opilstwo doprowadziły do tego, że mnożą się wypadki gwałtu na kobietach. Wynikiem jest niejednokrotnie cięża i zarażenie chorobą weneryczną...”*

Król polskich samogoniarzy przeczytał okólnik i zwrócił go królowi pomorskich bimbrowników.

—O co ci chodzi?

—Chciałem się dowiedzieć: jaka to repatriacja ludzi różnych narodowości, przeciągających przez obszar Rzplitej, odbywa się w Polsce?

Pytanie było podstępne, bo Marek wiedział, że repatriacja dotyczy Polaków z terenów wschodnich Polski na zachód. Więc według jego zdania, Polacy sami gwałcili i zakażali Polki, tylko polskie Ministerstwo Sprawiedliwości nie chciało do tego się przyznać, zwałało zaś winę na jakieś tajemnicze „różne narodowości”. Jednak Plus wcale nie był zakłopotany. Splunął i powiedział:

— Bujda cały twój okólnik. Tu chodzi o zwalczanie bimbru. Rozumiesz? Przecież wyraźnie napisano: „nagminne opilstwo”. Teraz zabiorą się do nas jeszcze ostrzej.

Od tego czasu Marek nie pytał więcej o nic Plusa, którego zresztą uważał za mało inteligentnego. Lecz czytał jeszcze więcej, starając się zapoznać z terenem, na którym będzie musiał żyć przez wiele miesięcy.

## ROZDZIAŁ V

### Alleluja!

Czerwiec płynął w słońcu bujny, jaskrawy, jak rzucona w błękit nieba czerwona chorągiew. I wraz z naturą tak samo pysznie rozkwitł wspaniały trust Leona Ryża i Spółki. Zwiększano wypędy, rosły dochody, a bocznica kolejowa, wybudowana z łaski i inicjatywy króla szabru, kokieterijną drabinką połączyła Bąkowiec z Kozienicami. Teraz zamierzano przez parę miesięcy wykańczać jej detale i zwiększać... wypędy.

Ryż wiedział, że okres rozkwitu bimbru chyli się ku upadkowi i wkrótce się skończy, więc śpieszył wyzyskać koniunkturę. Już na rynku zaczęła się ukazywać monopolówka. Z początku była po 700 złotych litr, a potem cenę zniżono na 400. To zmniejszyło popyt na bimber. Ratowała sytuację jeszcze ta okoliczność, że wódki było mało i sprzedawano ją w większych tylko miastach. Lecz na pewno za kilka miesięcy będzie uruchomionych dużo gorzelni, a cena jeszcze się obniży. Wówczas era bimbru skończy się i konkurencja z gorzelniami, pędzącymi wódkę z taniego surowca, nie będzie się opłacała. Od kilku miesięcy król szabru prowadził racjonalną eksploatację zdobyczy wojennej bohaterów Czerwonej Armii. W tym celu przywoził bimber do Poznania i tam wymieniał go, przez swych agentów, na bardzo wartościowe rzeczy. Było to łatwe, bo żołnierze, wracający z frontu do Rosji, chętnie oddawali za wódkę wszystko, co zdobyli na Zachodzie. Pierwsze partie żołnierzy starały się przewieźć łupy do Rosji, lecz gdy się dowiedziały, że na linii Curzona jest „filtr” sowiecki, z którego i bohaterowie niezupełnie cało wychodzą, a rzeczy znikają w nim wszystkie — jak olejki etylowe i metylowe z samogonu w filtrze diabła Marka — to zaczęto rzeczy sprzedawać, a pieniądze przepijać. Chociaż ogół obywateli brzydził się nabywaniem łupów, jednak było sporo ludzi, którzy zniszczeni wojną i różnego koloru wybawicielami kupowali, jeśli mieli za co, potrzebne im rzeczy. A wytworzyła się pewna kategoria rekinów, którzy z tego zrobili sobie proceder i nawet sami rzucili się „za szabrem” po przejściu wojska.

Leon Ryż miał swą bazę nr 1 w Poznaniu, przy ulicy Walki Młodych. Otworzył tu sklep komisowy, przy którym było dwupo-kojowe mieszkanie. Tu król szabru koncentrował wszystko i stąd robił wycieczki w teren. Sklep był przeważnie zamknięty, a na drzwiach wisiała kartka „Remont”. Pewnego dnia, na początku lipca, Ryż siedział w dużym pokoju, którego okna wychodziły na zawalony gruzem z górnych pięter dziedziniec i robił bilans strat i zysków za ostatni kwartał. W tymże czasie na dworzec główny — jedyny wówczas w mieście — przybył pociąg z Torunia. Z niego wyszedł mężczyzna średniego wzrostu, wieku i tuszy. Zgrabnie lawirując między tłumami rosyjskich żołnierzy i cywilnej publiczności, skierował się ku wyjściu z dworca. Był to Marek. Kilka razy zapytywał przechodniów o ulicę Walki Młodych, lecz nikt mu nie powiedział, gdzie to jest, więc wytrwale krążył po mieście, szukając potrzebnej mu tabliczki na rogach ulic. W pewnym miejscu zobaczył bardzo sympatycznego staruszka, który powoli kroczył chodnikiem.

—Przepraszam pana, gdzie jest ulica Walki Młodych? — spytał go Marek.

—A pan pewnie przyjezdny? — nie odpowiadając na pytanie odezwał się staruszek.

—Tak. Jestem z Torunia.

—Więc, panie kochany, nie radzę pytać o ulicę Walki Młodych czy Walki Starych, a lepiej pytaj pan o ulicę Święty Marcin. Bo to czasem za takie pytanie można i po uszach oberwać. Poznaniacy nie lubią, jak im ulice przekręcają. Zawsze była Święty Marcin i będzie Święty Marcin. A jak tam jaki przybędą nazwie, to u nas to nieważne. Dużo ich tu było. Przyjdą, napaskudzą i pójdą. A ulice jak były tak i są.

—Więc gdzie jest ulica Święty Marcin?

—A ta, panoczku, ta. W prawo i w lewo.

Marek podziękował i w parę minut później znalazł sklep komisowy, nad którym wisiał szyld: „Energia”. Drzwi były otwarte i Marek wszedł do wnętrza. Zza lady podniosła się młoda, brzydka dziewczyna.

—Pan co sobie życzy?

—Chcę widzieć szefa.

—Szefa? — obrzuciła badawczym spojrzeniem Marka. — Szefa nie ma. Wyjechał do Warszawy.

—Jaka szkoda! Przyjechałem z Torunia w ważnej sprawie.

—A pan kto?

—Ja... Wierzba Antoni jestem. Inwalida walki o wyzwolenie od jarzma hitlerowskiego — diabeł już się nasobaczył operować demokratycznym słownikiem.

—O to mnie nie idzie. W jakiej sprawie potrzebny panu szef?

—Jestem jego podwładny. Też król, tylko innego gatunku. Nas zebrało się trzech takich królów. Jeden ja, drugi omal nie wpadł do kryminału, trzeci zaś może trafić, jeśli pojedzie do Radomia.

W tym momencie drzwi prowadzące ze sklepu do mieszkania się uchyliły i, ku wielkiemu zdumieniu Marka, ukazał się w nich Ryż.

—Szefie kochany, wszystko zginęło!

Ryż uniósł dłoń w górę.

— Spokojnie, spokojnie. Nic w naturze nie ginie, tylko dziurka od obwarzanka po jego zjedzeniu. Poproszę do gabinetu.

Marek wszedł za ladę, a stamtąd do pełnego różnych rupieci pokoju. Ryż wskazał mu ręką krzesło. Sam usiadł na stole i zapalił papierosa. Potem rzucił krótko:

— Mów!

Marek, płacząc się, zaczął dość nieskładnie opowiadać szefowi następującą historię:

— To, szefie, było przedwczoraj. To znaczy w poniedziałek. Bimber Minus zdał szefowi w sobotę, więc do następnej soboty trzymaliśmy wszystko w magazynie. W poniedziałek rano pojechałem na linię. Wypędziłem zacier. Wróciłem. Zdałem bimber Plusowi i odstawiłem wraz z maszynistą lokomotywę. Potem Minus poszedł na dziewczki, Plus na popijachę, a ja położyłem się na trawie koło magazynu i czytam sobie wspaniałe dzieło towarzysza W. Gomułki, Wiesława „PPR w walce o niepodległość Polski”.

Czytam i się zachwycam. Niech sobie szef wyobrazi: ten człowiek pisze lepiej jak nasz szef informacji i propagandy w Piekło.

—To mnie nie interesuje. Proszę mówić o gorzelnii.

—Właśnie mówię. Otóż czytam, czytam i oderwać się nie mogę, a tu przychodzi pięciu drabów, Polacy naturalnie, i pytają, kto jestem.

Mówię:

—Pomocnik maszynisty: Mam wolny czas, więc uświadamiam się demagogicznie i dokształcam politycznie. A oni powiadają, że chcą obejrzeć Składnicę, bo na bocznicy, z rosyjskiego transportu odszkodowania od Niemców, cały wagon dziecinnych wózków wykradziono. Ja im mówię dorzecznie, że my dzieci nie mamy, i po szynach do jazdy wózki dziecinne nam się nie nadają. Zresztą mamy lokomotywę. Oni zaś powiadają, że bym głupich żartów nie robił, tylko spełniał, co każą, bo dostanę w skórę. Przypomniałem sobie toruńskie lanie, więc nie sprzeciwiałem się. Poszliśmy do Składnicy. Widzę, że magazynier aż się trzęsie ze strachu, to ja z nimi już sam gadałem. Obejrzeliby magazyn i może by poszli, ale jeden zauważył drzwi do kotłowni. Plus zamknął je na kłódkę i poszedł.

—A tam co jest? — pyta.

—Prywatne mieszkanie palacza kotłowni — powiadam.

—Otworzyć!

Wtedy ja mówię: po pierwsze klucza nie ma, bo kolega poszedł w sprawie służbowej znajomych odwiedzić w mieście. A po drugie, na mocy artykułu 128 Stalinowskiej Konstytucji:

„Nietykalność mieszkania obywateli i tajemnicę korespondencji ochrania prawo”, nie macie prawa tam wchodzić. Wówczas jeden z nich mówi:

— Po pierwsze: jesteś dureń. A po drugie: taką ci zaraz konstytucję na (tu powiedział bardzo nieprzyzwoity wyraz) wypiszemy, że dwa miesiące będziesz rakiem chodził.

Złamali kłódkę i poszli do kotłowni. A tam cztery beczki zacieru i beczka bimbru z dwóch wypędów. „Oho! — mówią. — Tu coś lepszego od wózków jest!” I dawaj próbować bimber. Podobał się bardzo. Wiadomo: moja robota. Tymczasem wchodzi pijaniutki Plus, a niedługo potem Minus z podrapanym nosem. Wzięto nas w obroty. Zebrano wszystkich dziesięciu. Pytają: co? kto? jak? A my mówimy całą prawdę. To znaczy, że chcieliśmy odbudować linię kolejową, którą hitlerowcy zniszczyli i rozkradli, a nie było za co, więc zaczęliśmy pędzić bimber. Czego człowiek nie zrobi dla dobra demokratycznej ojczyzny! Z początku nie bardzo nam uwierzyli. A potem, gdy zapoznali się dokładnie z instalacją gorzelnii i gatunkiem bimbru, zaczęli wierzyć. I im dłużej trwało badanie, tym było lepiej. Zaczęto nawet podziwiać naszą pomysłowość i patriotyzm. I może by wszystko dobrze się skończyło, ale zabrakło bimbru.

—Co? Beczki bimbru zabrakło?!

—A tak, szefie. Bo wie szef: do wieczora tam już cała Bezpieka się zebrała. A poza tym: milicja kolejowa, milicja miejska i wszyscy kolejarze.

—No dobrze, opowiadaj dalej.

—Jak bimbru zabrakło, to jeden z nich się zastanowił i mówi: „Tak nie można... To trzeba inaczej rozpatrzyć. To sprawa poważna”. Wtedy Plus powiada:

—Obywatele, kochani, nie martwcie się. U mnie cała beczka zacieru gotowa. Tylko sprowadzić

lokomotywę, a on — tu dureń na mnie palcem pokazuje — dwieście litrów nam wypędzi.

Wszyscy, rozumie szef, rzucili się do mnie. Hurra! — krzyczą. — Niech żyje! I dawaj mnie w górę rzucać. A sufit był niski. Jak machnęli za trzecim razem, to ja omal na dach nie wyleciałem. Niech szef pomaca: jaki guz.

Marek nachylił głowę ku Ryżowi.

— Dobrze. Opowiadaj dalej.

A dalej było tak. Sprowadzili lokomotywę. Ja bragę pompuję, a w krąg lokomotywy mityng. Jeden wlaź na beczkę po bimbrze i tak gada:

— Towarzysze! Jesteśmy świadkami wielkiego dzieła proletariatu, który z niczego zrobił coś! Ta najwspanialsza w świecie linia kolejowa musi się nazwać: „Zwycięstwo Demokracji”!

Wszyscy krzyczą: „Hurra!” Jeden to tak się rozczulił, że wszystkie swoje medale zdjął i na lokomotywie z przodu powiesił. A tamten mówca ryczy:

— Pojedziemy, towarzysze, otwierać wiekopomną linię kolejową, stanowiącą wkład polskiego, uświadomionego robotnika w dzieło odbudowy Kraju!

— Czy nie można krócej? — spytał Ryż.

— Trudno, ale można — westchnął Marek. — No i pojechaliśmy. Lokomotywę i tender oblepiło z 50 ludzi. Ja bimber pędzę.

Lokomotywa sapie. I co parę kilometrów stajemy. No, naturalnie, pijemy: zdrowie lokomotywy, moje i nowej linii kolejowej. Dojechaliśmy do końca, a potem nazad. Tam to jeszcze dobrze szło, ale jak pojechaliśmy z powrotem, to naczelnik milicji zaczął krzyczeć: „Alleluja!” A wszyscy za nim. I nic innego, tylko: „Alleluja!” Wie szef: nawet w Piekło czegoś podobnego nie widziałem: wszyscy pijani, lokomotywa zarzygana, a tu: „Alleluja i alleluja!”

— Ale co dalej?

— Otóż to najgorsze. Walimy z powrotem. Wódki dość, ale przekąski ani-ani. Maszynista prowadzi lokomotywę, tańczy i ryczy, alleluja! Za nim naczelnik milicji. Na plecach mu wisi i prosi: „Kochany obywatelu, wal prosto do bufetu. Po jakiego czorta fatygować się i złazić. Wódka na miejscu i bufet tu musi być! „I wie pan: pojechali do bufetu.

— Jakże to?

— Bardzo prosto: linia się kończy naprzeciw bocznej ściany bufetu. Maszynista jak puścił lokomotywę, to przejechaliśmy z pięć metrów po cemencie, wybiliśmy ścianę i zatrzymaliśmy się akurat naprzeciw bufetu. Wszyscy krzyczą: alleluja! Za szklanki i: hurra! to na bimber, to na bufet. Widzę, że będzie kiepsko. Połowa leży bez przytomności. Reszta zwariowała. Myślę sobie tak: nic dobrego tu się nie doczekam. Trzeba zwiewać. Szukam Plusa i Minusa. Minus oparł się rękami o ścianę i rzyga... A Plus wlaź pod lokomotywę i chrapie. Jak tam się wcisnął, pojęcia nie mam. W żaden sposób nie mogłem go stamtąd wydostać. Nie było rady. Nie mogłem przecież kolegów w biedzie porzucić. Podniosłem lokomotywę i wyciągnąłem Plusa. Potem wziąłem Plusa pod lewą pachę, Minusa pod prawą i biegiem na peron.

— Czekaj, czekaj — rzekł Ryż. — Podniosłeś lokomotywę? Sam?

— Tak, szefie.

— No wiesz...

— Szef nie wierzy?... To dla mnie drobnostka. Przedtem łyknąłem pigułkę, którą mi Lucyfer w Piekło dał. Napisano na niej: „Siła”. Inaczej bym nie uniósł...

Ryż patrzył na diabła i mrużył lewe oko. Marek zrozumiał, że szef mu nie wierzy i z irytacji dostał wypieków. Potem spojrzął w okno. Nagle wybiegł na dziedziniec i w oczach zaciekawionego Ryża podniósł przysypany gruzem wrak spalonego czołgu i rzucił go dalej na rumowisko. Zrobił to z takim wysiłkiem, jakby to był nie czołg, lecz duża, ciężka walizka. Potem wrócił do pokoju i otrzepał ręce.

— I teraz mi szef nie wierzy?

— Muszę wierzyć. Proszę mówić dalej.

— Dalej nic ciekawego nie było. Władowałem ich na pociąg do Radomia. Stamtąd pojechaliśmy do Warszawy. A z Warszawy do Torunia. Zostawiłem ich tam i jazda tu. Wiedziałem, że szef ma bazę nr 1 przy ulicy Walki Młodych, więc chciałem zdać raport i uprzedzić, żeby szef nie jechał do Radomia.

Ryż wstał z miejsca i pierwszy raz podał dłoń Markowi.

— Dziękuję.

—Nie gniewa się szef?

—Nie ma za co i nie ma po co. Gdzie są Plus z Minusem?

—Na starej melinie. Mówili, że znów puszcza w ruch tamtą gorzelnię. Czy ja jestem szefowi potrzebny?

—Nie jestem teraz pańskim szefem, a tylko panem Leonem. Potrzebny mi pan nie jest, ale jeśli zechce pan odpocząć tu pewien czas, to, prawdopodobnie, będzie coś nowego. Gorzelni uruchamiać znów nie chcę, bo wkrótce to się nie opłaci. Jeśli pan chce, to proszę zostać u mnie. Miejsca tu dość. Może pan wypocząć, zwiedzić miasto. A tu są książki w różnych językach. Proszę korzystać. W ogóle proszę traktować tu wszystko jak swoje własne.

—Dobrze. Zostanę tu. Tylko chcę poprosić sze... przepraszam, pana Leona, o pewną rzecz.

—Co takiego?

—Czy mogę, od czasu do czasu, pytać o cokolwiek nie należące do interesów?

—O co panu idzie?

—Ja, proszę pana, zacząłem się kształcić i nie zawsze rozumiem to, co piszą w gazetach lub książkach. Więc chcę, od czasu do czasu, zapytać o wyjaśnienie mi jakiejś sprawy.

—Dobrze. Tylko nieczęsto, bo ja nie lubię roli nauczyciela.

—W porządku. Więc mam takie, ważne dla mnie, pytanie: co to jest Anglia? Pytam dlatego, że przeczytałem w Bąkowcu roczniki rosyjskich gazet od roku 1939 do 1945. I wychodzi tak, że w roku 1939, 40, 41... do lipca, Anglia była podżegaczem wojennym przeciw pokojowej Germanii. Od lipca 1941 po koniec 1944 roku Anglia była wybawicielką narodów podbitych przez Germanię.

A teraz wciąż czytam, że jest to państwo, które dąży do odebrania innym narodom wolności i do eksploatawania ich. Więc chciałbym wiedzieć: co to jest Anglia?

Ryż przez chwilę myślał, a potem rzekł:

— Anglia to jest państwo, gdzie obywatel ma wielką wolność, bo musi robić to, co mu się chce robić.

Marek długo nad tym się zastanawiał i powiedział:

—Nie rozumiem.

—Więc muszę wyjaśnić prościej: Anglia jest to państwo, gdzie obywatel z własnego upodobania, lecz bez entuzjazmu, robi to, do czego w państwach totalistycznych trzeba zachęcać karabinami maszynowymi, szubienicami i więzieniem.

Na tym się skończyła rozmowa Marka z Ryżem. A odgłos zająć w Bąkowcu Marek znalazł dopiero 19 marca 1946 roku w gazecie „Ziemia Pomorska”.

„Głos Ludu” zamieszcza następującą niezwykłą wiadomość:

— Sąd Okręgowy w Radomiu rozpatrywać będzie dosyć osobliwą sprawę. Oto oskarżeni są kolejarze, pracujący przy bocznicy kolejowej Bąkowiec—Kozienice, o pędzenie bimbru. Sprawa ta staje się swoista dlatego, że kolejarze ci pędzili bimber nie dla osobistego zysku, ale na cele odbudowy tej właśnie bocznicy, którą okupant rozebrał i wywiózł, a którą oni postanowili na odcinku kilkunastu kilometrów odbudować i właśnie, posiłkując się dochodami z nielegalnego interesu, odbudowali.

## ROZDZIAŁ VI

### Strategia króla szabru

Diabeł Marek miał piekielną inteligencję i w ciągu miesiąca wchłonał taką masę wiadomości, na jaką zwykłemu obywatelowi trzeba by lat. Lecz wiadomości te były nagromadzone bezładnie. Utworzyły dżunglę w mózgu czarta i spowodowały, w wielu wypadkach, zamęt pojęć. Ludzie bardzo go interesowali, lecz nie umiał ich szacować jak psycholog, a jedynie „wyczuciem”... jak pies albo dziecko. Plusa momentalnie scharakteryzował jako twardego i tępego durnia. Minusa — jako ambitnego, lecz słabego ślamazarę. Wielu innych „rozgryzł” w parę minut, ale z Ryżem zgłupiał. Król szabru był dla niego zagadką i nie umiał pojąć ani jego czynów, ani ich powodów, ani jego dążeń. Wszystko, co Ryż robił, było wyrafinowane, wyrachowane, a jednak marnował to z łatwością i bez żalu.

Z dotychczasowych doświadczeń Marek się zorientował, że każdy człowiek wytwarza w krąg siebie pewną aurę, którą można wyczuć i określić. Każdego można scharakteryzować i prymitywnie ująć w

pewien szablon. Lecz w wypadku Ryża stanął wobec zagadki. Przede wszystkim zdumiewała Marka ta okoliczność, że król szabru nigdy się nie śmiał ani uśmiechał. A poza tym absolutnie nie mógł zrozumieć: co mówi lub robi poważnie, a kiedy drwi lub żartuje. Leon Ryż miał postawę dygnitarza albo rasowego „dużego pana”, lecz czasem tak lekkomyślnie, a nawet dziecinnie się zachowywał, że to zdumiewało. Poza tym był bardzo przenikliwy. Marek zapamiętał, jak na rynku w Toruniu Ryż wybrał go z tłumu otaczających indyka ludzi i wywołał. Zaprowadził na klatkę schodową i dopiero tam spytał o samogon. Ale skąd wiedział, że on samogon ma? Przecież flaszki były dobrze ukryte po kieszeniach, według fachowych wskazówek zawodowych bimbrowników: Plusa i Minusa.

Dziś rano Ryż wstał bardzo wcześnie. Chodząc cichym, elastycznym krokiem po zawalonych górą rzeczy i rupieci pokojach, zagotował wodę, wytarł mokrym ręcznikiem całe ciało. Powtórzył tę czynność wodą kolońską. Potem starannie się ogolił i ubrał. Dostrzegł, że Marek go obserwuje, i się odezwał:

— Wolę mieć czyste ciało niż czyste sumienie... Jest to słuszne zdanie pewnej pięknej studentki medycyny w Monachium, która się wyróżniała wyjątkowo amoralnym prowadzeniem.

Marek milczał.

— Nie posiadam zaufania do ludzi, którzy lekko pracując mają, na przykład, brudne paznokcie... — jakby na głos medytował Ryż.

„Ot piła! — myślał Marek. — Będę musiał krótko ściąć paznokcie”.

A Ryż prędko, z wprawą starego kawalera i taką też niedbałością o estetykę zastawy, przygotował śniadanie. Jadł wolno i bardzo mało. Kędyś powiedział Markowi:

— Najwięcej nieszczęść na świat sprowadzają żarłoki. Stworzyli kult brzucha, zniszczyli zaś kult ducha. Odtąd brzuch rządzi mózgiem ludzi i ich losami. A najzawilsze kwestie mają źródło w chęci zabezpieczenia sobie procesu nadmiernego żarcia.

Ryż skończył śniadanie. Znowu zaczął myć ręce, a przy tym nucił:

*Przyjechali furmani z długimi biczami.*

*Zabrali dziewczynę z siwymi oczami...*

Marek, nie wylaząc z łóżka, powiedział:

—Panie szefie, chcę o coś zapytać.

—Wasza piekielna mość! — odezwał się Ryż. — Uprzejmie proszę po raz wtóry nie tytułować mnie szefem. Poczuję się do wyższej godności. Ja się pogodziłem z nadzwyczaj przyjemnym oświadczeniem pana o pokrewieństwie z władzami piekielnymi, więc proszę łaskawie się pogodzić i z moją rezygnacją z zaszczytnego stanowiska pańskiego szefa. Przyjemnie mi być na równej stopie z delegatem wielmożnego pana Lucyfera.

—Panie Leonie, chciałem właśnie tego...

—Nie tego, a pewnie zapytać?

—Właśnie.

—No?

—Co to jest grypa?

—Grypa?!... Grypa w Polsce jest trzech rodzajów. Pierwszy: z powodu zaziębienia. Środki lecznicze: aspiryna, alkohol, gorąca herbata, dobrze zbudowana kobieta. Słowem: środki rozgrzewające, zależnie od gustu i możliwości psychicznych oraz finansowych chorego. Druga: mundurowa. Bierze z powodu długich języków, a krótkich mózgów. Trzyma od paru dni do paru lat. Środki lecznicze: też alkohol i kobieta. Może być niezbyt piękna, ale sprytna i operująca gotówką. Grypa numer 3. Niemundurowa. Bierze zależnie od zamiarów lub fantazji tych, którzy klimat w Polsce regulują. Trzyma od dwóch lat do końca życia. Wynik często śmiertelny. Środki zapobiegawcze: brak ambicji, nachalstwo, łgarstwo, giętki grzbiet, wazelina. Środki lecznicze nie istnieją. Zadowolony pan Antoni z odpowiedzi?

—Niech już tak będzie. Ja pomyślę nad tym.

— Doskonale. Rzadka obecnie zdolność. Ja wychodzę na miasto i proszę czekać mnie o godzinie 5 po południu. Będę miał zaszczyt zreferować panu pewną sprawę i wystąpić z poważną propozycją.

—Dobrze. Będę czekał.

—Thank you! Jak powiedział pewien Anglik, po wysłuchaniu ogłoszenia mu wyroku śmierci!

Punktualnie o godzinie 5 wrócił Ryż. Przyniósł dużą mapę i rzucił ją na stół. Potem oświadczył

Markowi:

—Dziś, o godzinie 7 wyjeżdżam na parę dni na ziemię lubuską.

—Gdzie?

— To znaczy na Ziemię Odzyskane, w kierunku na południo-zachód od Poznania. W związku z moją podróżą, aby nie stawiać potem pana wobec rzeczy dokonanych, zreferuję panu pewne moje poglądy na pewne sprawy, aby mieć pewność, że pan propozycję zrozumie.

Leon Ryż usiadł na stole i zakurzył papierosa. A potem zaczął wolno i cicho mówić, nie zwracając wcale uwagi na Marka.

— Najobrzydliwszą dla mnie rzeczą jest eksploatacja eksploatowanych i dlatego wolę zawsze wyeksploatować to, co pochodzi z nieuczciwej eksploatacji, niżli w sposób legalny i bezczelny wyzyskiwać pracę nędzarzy... W zasadzie nie lubię wchodzić w kolizję z prawem, jeśli tego nie wymaga konieczność, bo to może poważnie skomplikować i utrudnić życie. Jeśli organizowałem naukowo produkcję bimbru, to jedynie dlatego, że natura nie znosi pustki. A brak alkoholu tę pustkę wytwarzał. Więc zwalczałem ją, jak mogłem, mimo ryzyka. Teraz ta sprawa odpada. Alkohol, dzięki opiece naszych władz, płynie już strumieniem, a sądząc z ich aspiracji i zrozumienia sytuacji w kraju, popłynie wkrótce rzeką. Więc na tym polu ja swą rolę spełniłem. Lecz, aby nie trwać bezczynnie, postanowiłem, jako król szabru, zająć się nauką eksploatacją Ziemi Odzyskanych. I to w zupełnej zgodzie, a nawet pod ochroną istniejących w kraju władz i przepisów.

—Przepraszam pana Leona. A co to jest szaber?

—Szaber?

Ryż wstał i z szafy w kącie pokoju przyniósł i podał Markowi kilową sztukę stali, ukształtowaną w ten sposób, że jeden koniec stanowił zagięte, zwężające się kolanko, a drugi wyglądał jak wyłużony stożek.

— To jest szaber. Po rosyjsku: fomka. Tym narzędziem posługują się złodzieje do włamań najrozmaitszych kategorii. Wyraz ten zagubił, a raczej zmienił swe znaczenie i określają nim obecnie dyletanckie kradzieże albo przywłaszczenie cudzej, pozostawionej bez dozoru własności, szczególnie w wypadkach, gdy można to robić bezkarnie. Właściwą nazwą dla tego procederu byłoby maruderstwo. Lecz słowo to Ministerstwo Oglupiania i Demoralizowania Publicznego wydarło ze słownika. Więc zostało zastąpione przez twardy i dumny szaber. Zwykle dzieje się tak: szaber zaczynają silni i możni, gdy zaś zgarną maselko i zbiorą śmietankę, wówczas rozparci w szabrowanych fotelach piętnują i prześladują tych, którym została serwatka. Ja się uważam za króla szabru nie dlatego, abym miał z szabru duże zyski, lecz dlatego, że poruszam się w tej chaotycznej dziedzinie świadomie i systematycznie. A traktuję to nieco sportowo. Właśnie w związku z szabrem przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który chcę zrealizować, przede wszystkim — aby zarobić sporo pieniędzy i zapewnić sobie na długo niezależność, a następnie, żeby się przekonać, czy obliczenia teoretyczne, w tym wypadku, będą zgodne z praktyką.

Ryż mówił cicho, bezbarwnie, nawet jakby ze znużeniem, lecz Marek uważnie go słuchał.

—Pomysł mój prosty i nie wchodzący w kolizję z prawem.

—Co to jest: kolizja?

—Kolizje stwarzają prawnicy i politycy dla obracania prostych spraw w zawile, aby powodować komplikacje i ciągnąć z nich zyski. A pospolicie to znaczy: sprzeczność, przeciwstawienie się lub rozbieżność.

—Aha...

—Ziemię Odzyskane obecnie są oszabrowane ze wszystkiego, co przedstawia pewną wartość, a daje się wywieźć bagażem. Jednak jest możliwość jeszcze zrobić tam duży kapitał, w krótkim czasie. Interesuje to pana?

—Nie bardzo. Lecz uważam — tak jak i mili Rosjanie — że kapitał własny jest rzeczą ogromnie przyjemną i pożyteczną.

—W porządku. Więc wprowadzę pana w istotę sprawy. Zapewne czytał pan w gazetach o „hienach ludzkich”, które ścinają obicia z mebli lub prują pierzyny i poduszki, wysypując z nich pierze, aby zabrać wsypki, które łatwo można spakować i wywieźć w dużej ilości?

—Czytałem.

—Dobrze. A ja to widziałem. Otóż zamierzam wykorzystać właśnie podły proceder „hien”, a raczej



jego skutki, aby dobrze zarobić... Niech pan sobie wyobrazi duże miasto, w każdym mieszkaniu leżą zwały wyrzuconego z wyspek pierza, przeważnie dobrego puchu. To się poniewiera, leci z wiatrem, zaśmieca okropnie pokoje, podwórza, ulice, leci na miasto i jest bardzo trudne do usunięcia. Widziałem, jakie kłopoty mają z tym osiedleńcy na wsi. Piwnica i pokoje są zasypane pierzem. Często się zdarza, że i w stodołach lub oborach pełno pierza. Siana, zmieszanego z pierzem, bydło, jeśli u kogo jest, nie je. Próbowano usuwać pierze spryskując je wodą, a potem zgarniając grabiami. Lecz trudna to robota. Można, przy większym wkładzie pracy, oczyścić jedno gospodarstwo, jedno mieszkanie, lecz wieś lub miasto... nie sposób. A przecież to kapitał. Duży kapitał, który się marnuje bezużytecznie i sprawia ludziom szkody i kłopoty.

—A skąd tak wielka suma zysków i jak ją osiągnąć? Jeśli zbierać pierze do worków i wozić na sprzedaż, to podróż będzie więcej kosztować jak pierze — odezwał się Marek.

—Słusznie — powiedział Ryż. — Lecz ja nie zamierzam wozić workami, a chcę zorganizować to na wielką skalę. Przede wszystkim trzeba w dużym mieście uzyskać koncesję na wyłączny zbiór i eksploatację pierza. Znaleźć skład. To łatwe. Potem zebrać grupę z trzech do pięciu ludzi, która się zabierze do pracy. Iluż mieszkańców zrujnowanych miast Polski nie ma dosłownie na czym głowy położyć! Nawet w szpitalach brak poduszek. Ja wnioskuję: w każdym opuszczonym mieszkaniu jest kilkadziesiąt, a czasem i kilkaset kilo pierza. Przed wojną kilo pierza kosztowało od siedmiu do piętnastu złotych. Poduszka ma przeciętnie dwa i pół kilo, pierzyna siedem. Orientuje się pan? Tymczasem nędzni szabrownicy wyrzucają z pierzyn pierze za 70 złotych, aby wziąć wyspkę wartości 3 złotych.

—Ileż można zebrać pierza w takim mieście, jak pan myśli?

—Mam na uwadze miasto 70-tysięczne. Obliczam, że pierza można tam zebrać minimum 700.000 kilo. Wartość jego stanowi nie mniej jak 7.000.000 złotych przedwojennych. To znaczy najmniej 1.000.000 dolarów. Zbioru pierza mogą dokonać zdrowi, silni, chętni ludzie w sześciu w trzy miesiące, we czterech w 4 i pół miesiąca. Naturalnie będą kosztą wyżywienia, transportu do punktów sprzedaży, sortowania i oczyszczania, lecz to wszystko będzie stanowiło tylko nędzną część zysków. Ryż rozwinął szerzej swój projekt i porwał nim Marka, który wreszcie tak zapalił się, że zaczął fantazjować na ten temat. Omal nie zaprojektował spółki akcyjnej, obejmującej swą działalnością cały zachód Polski. Chętnie się zgodził współpracować z Ryżem w zamierzonej imprezie.

—Więc jednego wspólnika mam — rzekł król szabru.

—Przypuszczam, że ma pan od razu trzech — powiedział król pomorskich samogoniarzy. — Jeszcze Plusa i Minusa.

—Oni przecież znów się zabrali do bimbru.

—Beze mnie długo nie pobimbrują — powiedział Marek z zupełnym przekonaniem.

—W porządku. A teraz wytłumaczę panu krótko strategię mego zamiaru.

Ryż położył na stole dużą mapę Polski. Palec króla szabru zaczął się ślizgać po niej z zachodu na wschód. Jednocześnie monotonnie brzmiał komentarz:

— Główne linie, którymi idzie cywilna eksploatacja Ziemi Odzyskanych, są następujące: północ, z rejonu Gdańska na Bydgoszcz i Toruń przez Tczew. Prusy: przez Olsztyn i Działdowo na Warszawę lub Toruń. Zachód: przez Krzyż na Bydgoszcz lub Poznań. Południo-zachód: na Katowice. Wszystko, co leży w promieniu tych głównych linii, jest łatwe do wywiezienia i dlatego gruntownie wyeksploatowane. A mnie zależy na terenie trudnym do eksploatacji, jednak niezbyt odległym od mej głównej bazy. Proszę uważnie spojrzeć na mapę. Tu jest rejon trudny do osiągnięcia przez pospolitych szabrowników. Ani szabrownik łódzki, ani warszawski tu się nie rzuci całą masą, ze względu na trudności komunikacyjne. I ja obieram ten właśnie rejon. — Palec króla szabru zdecydowanie zanurzył się w rzece Nysie. — Od Poznania to blisko. Lecz aby tam się dostać, trzeba jechać albo przez Zbąszyń i tam przesiadać, albo przez Wolsztyn. Potem dopiero można jechać w kierunku na Nysę. Na tej odległości komunikacja, szczególnie powrotna, jest bardzo skomplikowana i szabrownik albo wywozi rzeczy dobre, albo wcale nic. A pierzyn lub poduszek w ogóle nie bierze. Chyba tylko wyspki. Dlatego teren ten obieram dla naszej przyszłej pracy. Za godzinę jadę tam, aby się przekonać: jakie z większych miast godne jest naszej łaskawej uwagi. Wrócę za trzy dni i wyruszymy w drogę. A pana proszę, aby pojechał do Torunia i przedstawił sprawę szanownym panom Plusowi i Minusowi. Jeśli się zgodzą na tę pracę, to proszę razem z nimi przyjechać tu. Proszę



nie zachęcać ich przesadnie, tylko przedstawić sprawę i zaproponować udział w imprezie, na 10% zysków, której koszt — aż do realizacji wszystkiego — ponoszę ja. Rozumie pan? Na tym skończyła się rozmowa diabła z królem szabru i jeszcze dzisiaj obaj odjechali z Poznania. Jeden na południo-zachód: nad Nysę, drugi na północo-wschód: do Torunia.

## ROZDZIAŁ VII

### Bachus zdradzony

Plus był kiedyś kowalem. Potem ten ciężki i mało popłatny fach zamienił na artystyczne rzemiosło samogoniarza. Odtąd patrzył na życie jedynie przez pryzmat flaszki z mętym i cuchnącym bimbrem. Więc, gdy po ucieczce z Bąkowca znalazł się znów w Toruniu, namówił Minusa do odbudowania gorzelnii. Znów przy ulicy Poznańskiej 38, na Podgórzu, słodko zagruchał w piwnicy aparat samogonowy. Rezultat pierwszego wypędu był następujący: 12 litrów ohydneho, słabego bimbru.

Minus, pogardliwie krzywiąc wargi, mówił:

— To wasza królewska mość powinna sama skosztować. Wątpię, aby się znalazł nabywca, który by ocenił dobroć tego nektaru.

Plus był zażenowany, lecz nie dawał za wygraną.

— Mówię ci, następny wypęd będzie tip-top! Jak u Antoniego: 35 litrów, po 35 procent.

Minus sarkastycznie potwierdził:

— Owszem: będzie 35 litrów, ale wody.

Jednak postawili nowy zacier. Za cztery dni zaczęto go wypędzać. Plus uroczyście, z natchnioną miną, celebrował przy kotle, braźnicy i chłodnicy. Minus sceptycznie i krytycznie go obserwował.

Braga prędko się zagotowała, lecz para zaczęła się przebijać przez pokrywę w kotle. Plus tylko się porwał do szpachłówki, gdy dekiel braźnicy, wraz z rurą, skoczył w górę, a gorąca braga lunęła aż pod sufit piwnicy. Samogoniarze zdążyli tylko zakryć rękami głowy, a potem wyskoczyli na korytarz. Odór alkoholu wypełnił powietrze. Kłęby pary przesłoniły widzialność.

Po dłuższym czasie samogoniarze w milczeniu wrócili do swego laboratorium. Wszystko w krąg było pokryte brązową, lepłą cieczą.

W tym momencie na progu piwnicy ukazał się Marek. Patrzył na zdezelowaną aparaturę, na ociekające brązą ściany i sufit, na okrytą lepkiem dywanem ciasta posadzkę, na brudne, żałosne postacie Plusa i Minusa, i... milczał.

Po dłuższym dopiero czasie, podświadomie naśladowując ton głosu swego mistrza, zaczął referować smogoniarzom zleconą mu sprawę.

— Widzę, że panom przydarzyło się małe niepowodzenie. Są łatwe i dobre sposoby uniknięcia tego na przyszłość. Pierwszy: oczyścić aparat, wymyć, wytrzeć, wysuszyć i wyrzucić do jeziora. Drugi: aby uniknąć poprzedniej pracy, zameldować pisemnie na milicję, że tu się odbywa pędzenie bimbru, sami zaś nogi za pas. Zlikwidują te biżuterie bez waszej fatygi. Można też spalić wszystko razem z domem. A najlepsze to przyjąć propozycję, którą za moim pośrednictwem wielmożny pan Leon Ryż do was kieruje.

Plus ponuro słuchał, lecz Minus się zainteresował:

— Jaka propozycja?

— Bierze was, jako pracowników, na Ziemię Odzyskane do nowego przedsiębiorstwa. Koszta podróży i utrzymania ponosi szef. Jest możliwość zarobić w ciągu trzech do sześciu miesięcy taką sumę, jakiej przy tym aparacie nie zarobicie i w 30 lat. Przypuszczam, że w kilka miesięcy każdy z was może zarobić, zupełnie uczciwie, 100.000 dolarów, bo będziecie mieli po 10% zysków z całego przedsiębiorstwa.

Marek pokrótce scharakteryzował rodzaj pracy i zakończył referat:

— Który z was chce przystąpić do pracy, proszę mi to powiedzieć i przygotować się na jutro do podróży.

— Ja jadę chętnie — powiedział Minus.

— A ja się nie zagadzam — ponuro rzekł Plus.

— Dlaczego?! — zdumiał się Marek.

— 100.000 dolarów to za dużo. Co ja z tym pocznę. Szwindlem pachnie. Wolę bimber pędzić.

Wtrącił się Minus:

— Ale zrozum ty, że bimber to jeszcze większy szwindel. Czy ty wiesz, że wyszła ustawa, która za pędzenie samogonu — na własny nawet użytek — grozi karą więzienia do trzech lat. A za wypęd na sprzedaż kary są ogromne. W mieście są już plakaty, że za wskazanie tajnej gorzelnii dają nagrodę 5.000 złotych. Rozumiesz? Nic dobrego tu się nie doczekasz. Chyba trafisz do ula. Aparat twój marny. Wkrótce i na kartofle nie zarobisz.

Minus potrafił przekonać Plusa, do którego — mimo ciągłych utarczek — przyzwyczał się i którego żałował. Rozpoczęły się przygotowania do podróży. Wspólnicy likwidowali, co mogli. Rzeczy, które trudno było sprzedać w krótkim czasie, odnieśli do sąsiadów na przechowanie. Plus pieczołowicie rozmontował aparat i starannie ukrył go w ruinach.

„Jeszcze może się przydać”.

A pojutrze wieczorem kompletna spółka bimbrowa weszła na dziedziniec domu przy sklepie komisowym „ENERGIA”, położonym — jak mnie, wam i władzom miejskim Poznania wiadomo — przy ulicy Święty Marcin. Ryż był w domu. W oknie paliło się światło. Marek nie wiadomo dlaczego szeptem powiedział do kolegów:

— Zaczekajcie tu. Ja spytam szefa.

Zapukał cichutko do drzwi, a gdy posłyszał z wewnątrz: proszę, wszedł do środka.

— Dobry wieczór panu.

Ryż wstał i podał Markowi dłoń.

—No, jak tam?

—Zgadzą się, panie sze... przepraszam, panie Leonie.

—Dobrze. A czemu nie przyjechaliście razem?

—Przyjechaliśmy... Czekają na podwórzu.

Ryż zrobił zagarniający ruch dłonią.

—Dawać ich tu!

Gdy bimbrowa trójka znalazła się w pokoju, Ryż podał Plusowi i Minusowi na przywitanie wskazujący palec prawej ręki: niezawodny sposób wielkich ludzi do onieśmiania maluczkich. Potem sucho i oficjalnie się odezwał, patrząc w ścianę między ich głowami:

—Wam zreferował pan Antoni moją propozycję?

—Owszem, tylko są pewne zastrzeżenia — zaczął fryzjer.

— Przepraszam szanownego pana. Ja tylko spytałem: czy sprawa wam zreferowana, lecz mowy nie skończyłem. Gdy skończę, chętnie wysłucham pana — ruch podbródka w kierunku Minusa — a potem pana — taki sam ruch ku Plusowi. A propozycja moja jest taka: biorę was ze sobą na Ziemię Odzyskane. Opłacam podróż i daję utrzymanie przez kilka miesięcy za pracę, która ma za cel wspólny nasz interes. Kto zechce odejść wcześniej, będzie mógł zawsze to uczynić. Otrzyma bilet, dokąd zechce w granicach Polski pojałtańskiej, i 1.000 złotych gotówką. Przypuszczam, na podstawie ścisłych obliczeń, że praca nasza, doprowadzona do końca, da każdemu z was dwóch po 100.000 dolarów. Będziecie pracować na 10% zysków, płatnych po likwidacji przedsiębiorstwa, która nastąpi w ciągu roku od dnia jej rozpoczęcia. Zrozumiane? — słowem, ruchem dłoni i wyrazem twarzy spytał Ryż.

—Tak jest — odezwali się jednocześnie Plus i Minus.

—Czy zgadzacie się jechać i pracować ze mną na tych warunkach?

—Tak jest.

—Czy macie pytania?

—Nie.

—Pysznie. Pan, panie Antoni, wskaże tym obywatelom wejście do pokoju ze sklepu i pomoże urządzić się na noc. W drogę wyruszymy jutro po południu, o godzinie czwartej. Dobranoc.

—Dobranoc.

Marek poprowadził bimbrowników do przeznaczonego dla nich lokum.

—Solidny jegomość — rzekł szeptem Minus.

—Hm... — ni to potwierdził, ni to zaprzeczył Plus.

Na peron nr 5 wpadł pociąg z Frankfurtu nad Odrą. Był obwieszony — jak altanka winem — ludźmi. Na buforach ułożono deski i jechało tam pełno podróżnych. Dachy były okryte warstwą ciał. Z

jednego dachu krasnoarmiejcy wyładowywali rowery. Byli pijani, więc nie tracąc czasu na zdejmowanie rowerów rzucali je wprost na tory. Dzwoniła stal, pękały ramy, gięły się koła i kierownice. Do Marka zbliżył się bojec, prowadzący dwa rowery.

— Kup no! Daj dwa litry wódki... Co? drogo?... Ach, ty... — połała się rzeka wyzwisk. — No daj litr... Marek oddalił się od niego. Zobaczył, że się zagapił i zgubił kolegów. Zdenerwował się i zaczął się przepychać wśród zalegających peron tłumów. A czas biegł. Do odejścia pociągu zostało 20 minut. Spytał kolejarza, z którego peronu odchodzi pociąg na Czerwiensk.

— Czwarty A.

Rzucił się na peron 4A, a tam szukał go już Ryż.

— Proszę włączyć oknem.

Plus i Minus pomogli im wleźć do wagonu. Było tam bardzo ciasno, ludzi zaś wciąż przybywało. Pociąg ruszył. Pasażerowie stłoczeni, sprasowani stanowią jakby jeden cierpiący organizm. Klóć się o miejsce na postawienie jednej nawet nogi. Dokąd jadą?... Nie wiadomo... Jedni za szabrem. Inni szukać tego, co wojna i okupanci zabrali: możliwości życia i pracowania normalnie. Są to fale po burzy, które nieustannie przewalają się po Polsce.

Nastrój ponury. Rozmowy zgryźliwe. Głosy złe.

Pociąg mknie na południe, a naprzeciw jemu sunie huragan. Awangardę jego stanowią poszarpane, nisko rwące naprzód, jakby w rozpaczliwej ucieczce, chmury. Dalej tło nieba szaro-żółte, przesiewające słoneczne smugi. Horyzont faluje, przelewa czerń, biel i miedź. Stamtąd na razie nie odgłos huraganu idzie, lecz stłumiony, niski jęk i wibrowanie powietrza. Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Wszystko zaczęło szarzeć, matowieć. Na niebie ani ptaka. Oddech tłumi się w piersi. Robi się duszno. Wtem z kresu nieba wypełzła szara masa. Ciemniała nieustannie, jakby ktoś w nią rzeki smoły chlustał. Sunęła — to opadając, to rosnąc w górę — jak olbrzymi balon. A jednocześnie ogarniała szeroko niebo i wściekłym rozpędem gnała naprzód. Potem szum,, wir... wszystko zszarzało. Zawisł półmrok.

Zboża legły i zamarły. Nagle drzewa się zgięły i tak trwały w dziwnej pozie — pochylone, bezsilne. A pociąg zwolnionym biegiem — choć lokomotywa całą parą darła się w przód — szedł w strefę huraganu. Znalazł się jakby w wodzie i mętym, drżącym, powietrznym wirze... Dal znikła. Przed oknami leciały snopy zboża, gałęzi. Bił w nie żwir z torów.

Lunał deszcz. Otoczył wodą pełną naprzód wagony. Dachy ich i ściany dudnią i jęczą, jak pod ciosami olbrzymich pięści. A w krąg tylko jęk, pęd wichru i chmury, które dławione ku ziemi i parte z tyłu, ciasno zwarte, pędzą naprzód...

Po kwadransie rozpaczliwej walki z wichrem pociąg stanął. Huragan przeszedł. Miało się wrażenie, że lokomotywa, wyczerpana walką, nie może iść dalej. Lecz okazało się, że wicher rzucił na tor kolejowy wyrwane z ziemi drzewo. Usunięto je. Pociąg ruszył dalej.

Ryż jest w dobrym humorze. Objasnia Markowi widziany przez okno teren:

— To — skinał głową w kierunku wyłaniających się z zieleni budynków — wspaniały gród. Można wraz z rzeką do worka zabrać. Burmistrz siedzi na łańcuchu, a magistrat na kółkach. Na noc, żeby akta nie zmokły, wciągają do szopy. Jest w mieście do oświetlenia jedna latarnia. Każdy mieszkaniec musi dać rocznie kieliszek nafty do niej. Gdy pewnego razu, po zbiórce, okazało się, że mają bańkę wody, latarnię zlikwidowano.

Zapadł zmierzch.

Pociąg znów stanął. Nie dotarł do stacji. Okazało się, że idący im naprzeciw pociąg wszedł na niewłaściwy tor. Widać poskręcane dziwacznie szyny, połamane podkłady. Lecz na szczęście wagony nie wywróciły się.

Całymi godzinami ciągnęli ludzie z tamtego pociągu do następnego, który miał nadejść z Poznania, aby nawiązać przerwaną łączność. Nieśli: walizy, toboły, worki, paczki... Szaber... Rekompensata za stracony czas, zawiedzione nadzieje, wydane pieniądze, odpracowane, bezpłatnie, przy żniwach dniówki.

Co wiozą teraz szabrownicy?... Nędzne łachmany, naczynia, przybory kuchenne. Wielu wiezie owoce. Miliony kilogramów dojrzałego agrestu, porzeczek, czereśni zginęło, nie zdjętych ręką ludzką. Tłusty pan szaber, z pierwszej fali, owocami się nie interesował. Dopiero teraz, mizerne paniątko szabruńcio, wylizując talerze po swych poprzednikach, zaczął, włączając na drzewa, a czasem i na miny,

trząść smutne, zaniedbane drzewa owocowe. Nie ma w workach lipcowych szabrowników futer, ubrań, dobrej bielizny, srebra, kryształów, tylko nędzne łachy. A jeśli się zdarzy coś wartościowego, to są to rzeczy, wymienione od „legalnych” szabrowników z pierwszej fali, za wódkę, tytoń lub produkty. Gdy się zatrzymano dłużej z powodu katastrofy, Ryż poszedł na zwiady. Wrócił wkrótce i rzekł do Marka:

— Chodźmy do miasteczka. To blisko. Pociąg ruszy nie wcześniej jak jutro w południe. Muszą naprawiać tory i usunąć wagony. Może prześpimy się gdziekolwiek. Kości boją od tego ścisku.

Marek i Ryż wkrótce znaleźli miasteczko. Szumiały w górze drzewa. Nigdzie ani żywej duszy. Ryż od czasu do czasu wyrывa z ciemności latarką kieszonkową fragmenty ulicy. Wszystko wygląda nierealnie — jak we śnie.

Jakaś brama. Ryż mocuje się z jej otwarciem. Wreszcie przełazą parkan. Drzwi... weranda... dom... Ryż z dziwnym wyczuciem terenu prowadzi Marka. Wchodą do środka. Wszędzie ślady płaudrowania. Znajdują sypialnię. Są łóżka i materace.

— Siadaj. Ja zaraz wrócę.

Mówi już per „ty” — myśli Marek i w ciemności siada na brzegu łóżka.

W sąsiednich pokojach rozlegają się kroki Ryża. Po chwili słyszy je na górze. Przez wybite szyby pędzi wiatr i szeleści papierami. Znow słychać kroki Ryża. Przyniósł olbrzymią storę i wojskowy koc.

— Teraz można spać.

Marek długo nie spał. Marzył o Piekło, gdzie wszystko było tak porządnie zorganizowane, gdzie, aby żyć, nie trzeba było pędzić bimbru, szabrować, narażać się na areszt i więzienie. Mijały godziny. Ryż spokojnie spał, a diabeł wciąż myślał. Niespodzianie i jego sen ogarnął. Obudził się dość późno i zobaczył siedzącego przy stole Ryża. Był umyty, ogolony i pił kawę. Z boku się wdziańczyła duża misa śliw.

— Długo pan spał — rzekł Ryż. — Zagotowałem kawę. Nie mokka, ale ujdzie, bo gorąca.

Za oknem stały drzewa. Liście były ciemne od porannej mgły. Nie obeschły jeszcze, bo słońce nie wzeszło. Marek wstał i zabrał się do kawy. Ze ścian patrzyły na nieproszonych gości portrety. Na jednym z nich kobieta miała namalowane czerwonym atramentem wąsy. Drugi, męski, miał wyklute oczy. Piękne pianino było zdruzgotane. Z szafy bibliotecznej wyrzucono książki na podłogę. Były tu wspaniałe wydania dzieł naukowych i beletrystyka. Na wszystkim w krąg były ślady celowego, złośliwego niszczenia. Mechanizm dużego szafkowego zegara wydarło i rozbito. W rzuconym na podłogę radiu zmiażdżono wnętrze. Wszędzie mnóstwo podartej bielizny i ubrań.

—Kto to robił... i po co? — zdziwił się diabeł.

—Ludzkie ręce więcej sprawiły zniszczeń niż bomby i pociski. Ale to głupstwo. To się zablizni. Są gorsze straty: z ludzi, którzy zgrzytając zębami to miażdżyli, zwierza już się nie wypędzi. Nigdy. Bo drzewa wyrosną jeszcze bujniej. Gmachy nowe powstaną. A tamci bohaterzy zarażą tysiące...

Wreszcie Gubin... Nysą przecięty, granicą rozdarty.

Podróżni wysiadają. Pierwsze wrażenie jest, że w mieście mieszkają tylko żandarmi, milicja i żołnierze. Tyłu ich rozpoczęło połów wśród kierujących się do miasta pasażerów. Wywołało to popłoch.

—Ten nie ma zielonej karty.

—Do Komendy!

—Ej... pani, psiakrew! Pani zaczeka, bo inaczej poproszę! Słychać tłumaczenia, oburzone glosy: „My jedziemy zaraz z powrotem! Co to jest?! Jak wy nas traktujecie! Jesteśmy Polacy!” Dlatego wykwalifikowani szabrownicy albo mają „zielone karty”, albo wysiadają na poprzednich stacjach. Tym bardziej, że tamte tereny są albo słabo zaludnione, albo całkiem puste, więc wydajniejsze od powiatowego miasta.

Jakaś kobieta płacze: „Ja sprzedałam wszystko i przyjechałam tu szukać miejsca na osiedlenie się, aby mnie żandarmi włoczyli! Ja przez całe życie pod eskortą nie chodziłam!”

„Kanada” niezbyt uprzejmie wita przybyszów — bez względu na cel ich przyjazdu. Marek ma chęć dostać się do pociągu i jechać z powrotem. Kowal chmurzy się i zaciska pięści. Fryzjer głupio się uśmiecha do legitymującego mistrza brzytwy milicjanta. Lecz Ryż porusza się tu swobodnie. Wita się żartobliwie z żandarmem. Mili-cjonerowi, który obrabia fryzjera, wsadza pod nos „zieloną kartę”, potem białą — z imponującymi pieczęciami.

— A to — wskazuje ręką swych towarzyszy — moi pracownicy. Tu uśmiech. Tam dyg. Gdzie indziej

rączka. Tu słówko. Tam „zielona karta”. Znów biała. I już sam się przedarł i towarzyszy wyholował za wszystkie kordony, które prędzej niż szabrownika odstraszą na zawsze prawomyślnego obywatela, który przyjechał zbadać możliwości osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych.

A nazajutrz: oddziały, wydziały, referaty, rejestracje, badania, podpisy, sprawdzania... I wszędzie złe, nieufne, niechętnie spojrzenia i słowa. Mętne lub fałszywe informacje...

W kolejce do starosty tłok. Ludzie walczą o przepustkę z powrotem... Kto z nędznym szabrem. Kto i swoje rzeczy stracił. Najbez-bronniejsi są najuczciwsi. Ktoś płacze. Przykro patrzeć, jak po męskiej twarzy płyną łzy.

— Jestem repatriantem. Dwa tygodnie nie mogę otrzymać przepustki z powrotem. Poszedłbym na piechotę, ale dokumenty zabrali... Przyjechałem na trzy dni: znaleźć miejsce i wrócić po rodzinę.

Jeść im nie zostawiłem. Sam głodny. Wszy oblażyły. Odrobiłem 7 dni żniw. Potem znów 7 dni. I ani płacą, ani karmią, ani dokumentów nie oddają. To niech choć do więzienia biorą. Rodzina ma zginąć tam, a ja tu!

Jakaś kobieta krzyczy:

— Nie macie prawa tak postępować z nami. Piąty dzień nie mogę się dostać do starosty. Wszędzie się urządza od ósmej do czwartej. A tu przychodzą o 10, a o 12 na zegar patrzą. Jeśli stąd nie wolno wyjechać, to po co sprzedają bilety na wyjazd!

Starosta przyjmuje interesantów od 10 do 12. Oznajmia to wyraźnie tabliczka na drzwiach, przy których stoi na warcie dwóch aniołów. Lecz kolejka ani z miejsca... Bo u starosty inspektor i referent. Potem jakiś ważny urzędnik, potem jeszcze ważniejszy. Potem dwie pachnące ważne panie, w ważnych sprawach. Potem dwóch wyższych wojskowych. Potem jeden średni, a dwóch niższych. Potem... potem... potem... dwunasta. Są i nadzwyczajne okoliczności: „Wyjechał na powiat... do Legnicy... do Wrocławia... Odprawa...” A w miesiąc później zdarzyła się całkiem nadzwyczajna: znikł „jak sen jaki złoty” wraz z dobrze naładowanym służbowym autem. Smutno.

Takich nudnych historii dowiaduje się diabeł, chodząc, wraz z Plussem, Minusem, no i szefem, po różnych wydziałach, dla załatwienia różnych formalności. I coraz częściej, z głębokim westchnieniem, wspomina Piekło.

## ROZDZIAŁ VIII

### **Stawka na pierze**

Miasto połknęło Ryżę i towarzyszy.

I tu zgłiszczą, i ruiny. Dużo ocalałych od ognia domów zniszczyły wybuchy pocisków i złośliwość ludzka. Lecz w śródmieściu gęsto wykwitają małe chorągiewki polskie, na znak, że dom jest zajęty. Ludzie sprzątają mieszkania, podwórza. Jak mogą — w najcięższych warunkach — szykują je do zagospodarowania. Nie wierzą w obiecaną pomoc, walczą rozpaczliwie z tysiącami trudności, ze złą wolą i nieudolnością otoczenia, a jednak wytrwale starają się uzyskać nową bazę życiową, zamiast odebranej na wschodzie.

Ryż ostro wziął się do pracy nad uzyskaniem licencji na zbiór pierza. Napisał sprytnie umotywowane podanie. Dołączył do tego swój życiorys i parę dokumentów, z których wynikało, że jest kupcem i przemysłowcem od siódmego roku życia. Wreszcie osobistym urokiem, logiką, siłą przekonywania i argumentacji oraz kolosalną pewnością siebie i wiarą w wielki pożytek, który jego przedsiębiorstwo da nie tylko jemu, lecz i miastu, osiągnął to, że się przekonał, iż nic nie osiągnie. Posyłano go z wydziału do wydziału, do inspektora, do starosty, do jego zastępcy... Jedni nie mogli zrozumieć, o co Ryżowi chodzi, drudzy uważali to za kpiny, inni weszli w tym ukryte zamiary... I po kilku dniach usilnych starań okazało się, że uzyskanie koncesji jest niemożliwe.

W dużej, nadwerężonej pociskami kamienicy, w mieszkaniu ze wszystkimi wygodami: duża przestrzeń, dobra wentylacja, i pewnymi niewygodami: brak drzwi, szyb, wody, światła, zlewu, wygodki, zebrała się nasza — jedyna w swym rodzaju — czwórka.

— Szanowni obywatele i współpracownicy! — wstając z miejsca uroczycie rzekł Ryż. — Oznajmiam wam, że ofertę naszą spotkało niezrozumienie i nieprzychylny stosunek do niej władz miejskich. Można to łatwo zmienić. Warto tylko dać łapówkę. Lecz mam taką zasadę życiową, że nigdy nie

wynagradzam nikogo za rzeczy nie dokonane. Musimy przedtem, nim się zwrócę do władz wojewódzkich, a następnie — jeśli i to zawiedzie — do Ministerstwa Przemysłu i Handlu, naradzić się nad tym, jak przekonać władze miejskie o pożyteczności i doniosłym znaczeniu naszej wspaniałej akcji. Sądzę, że w ciągu tych dni zobaczyliście sami, co się dzieje w Gubinie. Jest to nie miasto, lecz żerowisko jastrzębie albo lisia nora. Otóż, naradźmy się nad tym, jak postąpić, aby — nie dając łapówki — koncesję uzyskać. Proszę zwrócić uwagę i na tę okoliczność, że czasu dużo nie ma. Za kilka miesięcy nadejdzie zima i praca nasza stanie się wprost niemożliwa. Poza tym każdy stracony dzień pozbawia nas wielu tysięcy dolarów. Więc środki do uzyskania koncesji muszą być szybkie i skuteczne. Jako najmłodszy głos zabierze pan Minus.

Fryzjer wstał.

— Ja proponuję otworzyć w pobliżu Starostwa fryzjernię. A jak kierownik wydziału przemysłowego przyjdzie się golić: namydłę go, położę brzytwę na gardle i... albo życie, albo koncesja!... Co, nie?

— A jeśli on się goli żyletką albo jest pozbawiony zarostu — mówił Marek.

Wstaje kowal, Plus. Długo milczy, ruszając szczęką i zaciskając dłonie w pięści. Potem głucho mówi:

— Jednemu, drugiemu pysk skuć. Zęby po suficie, żebra po kątach... Wtedy wszystko się załatwi.

Projekt ten zgodne milczenie obecnych uznało w ogóle za głupi. Wówczas wstał Marek.

—A ja proponuję porwać córkę starosty i — jako okupu — zarządzać koncesji.

—Może nie ma córki? Wygląda za młodo — powiedział fryzjer.

—W takim razie można wykraść mu żonę — rzekł Marek.

—A jeśli jest niezona albo ma starą i brzydką, to tylko się ucieszy — krytykuje kowal.

Milczenie. Słysząc tylko, jak diabeł się drapie w gęstą czuprynę, starając się wydobyć z głowy dobry pomysł. Wstał Ryż.

— Jak widzę z dotychczasowych waszych projektów, sprawa się przedstawia beznadziejnie. Przykro mi bardzo uciekać się do łapówki, bo to powoduje zwykle apetyt na dalsze świadczenia tego rodzaju, lecz...

Wtem krzesło, na którym siedział Marek, przewróciło się na podłogę i diabeł krzyknął:

—Jest! Jest sposób uzyskania koncesji w trzy dni bez żadnej łapówki. Jest!

—???

—Bardzo prosty: zrobić jednego z nas niewidzialnym.

—!!!

—...I przy jego pomocy wypełnić Starostwo i mieszkania dygnitarzy miejskich pierzem tak, aby im życie zbrzydło. A wówczas dopiero wystąpić z prośbą o koncesję. Dadzą z pocałowaniem rączki.

—Projekt piękny — rzekł Ryż, nieco zdziwionym spojrzeniem ogarniając Marka. — Tylko jak załatwić z tą... niewidzialnością?

—To już moja rzecz — odparł Marek. — Tylko kto chce się stać niewidzialnym na trzy doby?

—Uważam — rzekł Ryż, starając się zachować poważny wyraz twarzy — że to wypada najmłodszemu, bo będzie musiał porządnie się napracować z tym zapierzeniem Starostwa i mieszkań tutejszych kacyków. Co pan na to, panie Minus?

— Owszem. Ja bardzo chętnie, jeśli to możliwe.

Marek wyjął probówkę i wziął z niej jedną pigułkę z napisem: „Niewidzialność — 3 dni”. Podał ją Minusowi.

— Proszę to łyknąć.

Minus powąchał pigułkę. Pachniała bardzo smacznie, więc tym chętniej ją połknął, nie wierząc zupełnie w zapowiedziany przez Marka skutek. Nagle w pokoju zostało tylko trzech ludzi. Przepraszam: dwóch ludzi i diabeł. Plus i Ryż jednocześnie spojrzeli na Marka. Kowal nawet gębę otworzył z podziwu. A Ryż miał chęć się roześmiać — po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Do późna w noc trwały narady i przygotowania do jutrzejszej akcji. W tym czasie Minus z workiem pierza udał się na miasto — dla rozpoczęcia zamierzonego planu.

Nazajutrz w Starostwie zaczęły się dziać niesamowite historie. Powódź pierza od rana unosiła się po korytarzach i zalewała pokoje. Każde otwarcie drzwi wprawiało w ruch lekkie chmury puchu, który pisał i wirował w powietrzu. Na korytarzach i w salach interesanci wyglądali jak strusie. Urzędnicy i urzędniczki strząsali z ubrań i włosów dokuczliwy puch.

Starosta tego dnia obudził się w złym humorze. Przyśniło mu się, że za zasługi na polu administracji

otrzymał złoty medal. Lecz medal ten ważył 30 kilogramów i nosić go na szyi było bardzo ciężko. Dygnitarz, z powodu zostawionego, po wieczornej wizycie niewidzialnego Minusa, otwartego okna, zaziębił się i dostał „postrzał” w karku. Stąd sen o medalu. Zaczął się ubierać. W trzewikach było pierze. Z obrzydzeniem wyrzucił je. Lecz i ubranie było w puchu. A gdy nalał wody z karafki i zaczął pić, to wnet wypluł wodę wraz z pierzem.

Zły i niewyspany dygnitarz udał się do urzędu. Minus troskliwie, omal nie pod rączkę, odprowadzał go i pieczołowicie ustrajał — jak choinkę — puchem najlepszego gatunku. Zawsze władza.

W korytarzach wysokiego urzędu jakby zima zapadła. Puch się bieli na posadzkach, wiruje, kłębi się w powietrzu. To samo w gabinecie starosty. W kancelariach rozpacz. Pióra wyciągają z kałamarzy, zamiast atramentu, strzępy puchu i mażą nim kleksy na papierze.

— Zawołać do mnie inspektora! — rozkazał starosta jednemu z „aniołów” przy drzwiach.

Do gabinetu wkrótce wszedł sędziwy staruszek. Starosta w pierwszej chwili nie poznał nawet swego młodego zastępcy. Włosy jego były całkiem białe.

—Zobacz pan, jak pan wygląda! — rzekł do niego starosta.

—Pana też poznać trudno. Czy nie spał pan czasem w kurniku? — odparł inspektor, patrząc na swego zwierzchnika, którego fryzurę i ubranie Minus troskliwie ozdobił pierzem.

Minus operował w gabinecie i kancelariach, a na zewnątrz pracowali: Ryż, Marek i Plus. W małych walizkach przynosili dobrze sprasowane pierze i wyładowywali je, niepostrzeżenie, w miejscach ustronnych... O godzinie jedenastej, wskutek otwieranych nieustannie drzwi i ruchu interesantów, starostwo wyglądało jak olbrzymi kurnik albo pasiernia gęsi, w której tysiące lisów i jastrzębi gospodarzyło. Tylko zamiast wrzasku ptactwa, rozlegały się stamtąd przekleństwa i złorzeczenia.

— Zawołać tu do pracy ze dwadzieścia Niemek. Niech sprzątną to świństwo! — wydał rozkaz starosta.

Wnet na korytarzach i w salach zjawiły się Niemki. Wymachiwały szczotkami do śmieci, trzepaczkami. Zbierały pierze na szufelki, zgarniały je ścierkami. Lecz wytworzyły jeszcze większy zamęt, bo nawet to pierze, które się ulokowało w spokojnych kącikach, na szafach, za obrazami, zaczęło trwożnie wirować w powietrzu i mknąć w górę.

Miasto Gubin pierze zasypało. W stołówce zdobyło talerze. Było go pełno w mieszkaniach miejscowych dygnitarzy. Czasem, nie wiadomo skąd, otaczało chmurą idącego ulicą przedstawiciela władzy. A pogoda temu sprzyjała, bo wiatr hulał ulicami, unosząc w chmurach kurzu wiry płatków puchowych.

Nazajutrz przyśniło się staroście, że porósł w pierze i że z województwa przyjechała komisja rewizyjna, która zaczęła go skubać. Obudził się zlany potem i naraz przypomniał sobie, że niedawno zwracał się do niego jakiś poważny, bardzo wymowny jegomość, prosząc o koncesję na zbiór pierza w Gubinie. Starosta wówczas niedbale potraktował interesanta i skierował go do wydziału przemysłowego.

W urzędzie starosta natychmiast zawołał kierownika wydziału przemysłowego.

—Zwracał się do pana niedawno pewien jegomość z prośbą o udzielenie koncesji na zbiór i eksploatację pierza?

—Tak.

—Załatwił pan to przychylnie?

—Nie.

—Dlaczego?

—Sprawa niewyraźna. Bez precedensu. Skierowałem go do wydziału aprowizacyjno-handlowego.

Wnet zawołano kierownika tego wydziału.

— Jak się przedstawia sprawa tamtego pana, który się ubiegał o koncesję na zbiór pierza?

—Nie wiedziałem jak ją załatwić i skierowałem go do pana.

—Otóż, widzicie panowie — rzekł starosta uroczyście. — Wy swoim postępowaniem... Powiem szczerze: biurokratyzmem i nieumiejętnością wczucia się w obecną sytuację, niszcycie zdrową inicjatywę. Zabijacie w zarodku to, co kiełkuje, aby wyrosnąć i się rozwinąć. Przecież taka akcja przyniosłaby korzyść i państwu, i miastu. To, co bezużytecznie się marnuje, mogło dać zasoby człowiekowi z inicjatywą, rozwinęłoby handel. W dodatku oczyściłoby to miasto. Bo tu diabli wiedzą co się dzieje! Proszę jeszcze dzisiaj... już... zaraz... natychmiast przygotować koncesję na zbiór i wyłączną eksploatację pierza w rejonie miasta Gubin i powiatu. Doręczyć to mi. A jegomościa



tamtego natychmiast aresztować i... co ja mówię? nie aresztować, a powiadomić i skierować do mnie. Zrozumiane?

—A gdzie go szukać?

—Posłać po niego kuriera.

Lecz Ryża nie trzeba było szukać. W pewnej, dobrze obliczonej chwili, wstąpił do wydziału przemysłowego. Za parę minut wpadł tam kierownik.

—Ach, to pan!

—Ach, to ja — oschle rzekł Ryż. — Przyszedłem wycofać moje podanie, które zostało potraktowane bardzo niedbale. Mam zamiar uzyskać koncesję w Zielonej Górze.

—Ależ panie! Przeciwnie. Właśnie rozmawiałem w tej sprawie ze starostą. Bardzo przychylnie jest do niej nastawiony i polecił wydać panu koncesję. Poza tym prosił, aby pan do niego się zgłosił.

—Owszem. Chętnie.

Ryż skierował się uroczyście do gabinetu starosty. Za nim kroczył niewidzialny Minus, który, przy tej sposobności, wyładował wprost na głowę dygnitarzowi ostatnią porcję pierza.

O ile dotychczas nie można było załatwić, bo się piętrzyły tysiączne trudności, to teraz zrobiono wszystko w kilka minut. Po kwadransie Ryż wychodził z gmachu Starostwa, pogwizdując „Agnieszkę” i z góry spoglądając na tłoczących się w poczekalniach interesantów.

„Tak się sprawy załatwia!”

## ROZDZIAŁ IX

### Mała historia wielkiego przedsiębiorstwa

— Mam magnes w rękach. Zawsze, wszystko mi się udaje — mówi Ryż, kończąc urządzenie składu na pierze.

Budynek był obszerny, suchy i jasny. Położony był w centrum miasta. Stał tuż nad brzegiem Nysy. Miał nawet centralne ogrzewanie.

— ...Po zbiórce pierza, wieczorem, będziemy je ważyć — mówił dalej Ryż. — Dopiero po wpisaniu do księgi można układać wszystko razem. Później trzeba będzie sortować. Wilgotne wysuszyć, zaśmiecone oczyścić. A teraz trzeba tylko je zbierać.

Zacząła się praca. Od rana wspólnicy wyruszali na miasto i zwiedzali mieszkanie za mieszkaniem, zbierając do worków pierze. Od czasu do czasu znajdowali pod warstwami pierza ukryte dla oczu szabrowników: kryształ, porcelanę, nie zniszczone sztuki ubrania lub bieliznę. Zabierali to też, rzucając na kupę w składzie.

Każdy z nich eksploatował inną dziedzinę. Powstała kwestia: czy zbierać pierze, zaczynając od peryferii czy od centrum miasta? Ryż zdecydował: od śródmieścia. Mniej się traci czasu na dostawę pierza do składu. A gdy zacznie się praca na przedmieściach, to trzeba będzie zrobić tam osobne składy, a potem zwieźć wszystko do głównego magazynu.

Ryż znalazł gdzieś dużo papierowych worków — takich, jakich się używa do pakowania cementu. Wieczorem, po zważeniu pierza, ładowano je do tych worków i układano wszystko systematycznie w głębi składu. Plony ich prędko rosły. Po tygodniu Ryż stwierdził, że zebrano dwukrotnie więcej pierza, niżli obliczył to teoretycznie. Pracę ułatwiała im ta okoliczność, że wpadli na pomysł zwożenia zbiorów do składu ręcznymi wózkami. A Marek, wykorzystując kolosalną siłę, którą obdarzyła go pigułka Lucyfera, zwoził pierze raz na dobę, ogromną, dwukonną platformą.

Diabeł, w czasie swej pracy, często spotykał przygodnych szabrowników. Zawodowi unikali tego terenu jako mocno wyzyskanego. Szukano rozmaitych rzeczy i pytano o nie:

—Czy nie zdarzyło się panu zobaczyć gdzieś wózka dla dziecka?

—Niech pani zbierze kilka zepsutych i zmontuje jeden dobry — życzliwie radził Marek.

Niektórzy z takich nędznych szabrowników „czwartej fali”, brali rżnięte szkła, myśląc, że to kryształ. Wielu zbierało kuchenne naczynia, ścierki. Inni brali dziecinne zabawki, zgarniali rozsypaną sól, suszone jarzyny. Marek na to wszystko nie zwracał uwagi. Pilnie zbierał ogromne ilości pierza i nie spostrzegając, jak z tą pracą mijały dni.

Ranek. Mgły się przekradają miękko po osypanych z dachówek, odartych z blachy domach. Czepiają się gzymsów, zaglądnę do okna. Wspólnicy wychodzą na pustą, ponurą ulicę.



—Trupkiem popachuje — mówi, kurcząc się z zimna poranku, fryzjer.

—Miasto jak padlina, my zaś robactwo na niej — rzekł Ryż.

—Słusznie, wasza ekscelencjo — potwierdza fryzjer, który włożył na głowę znaleziony w rynsztoku cylinder, na gołą szyję zawiązał czerwony krawat i jedzie tak na hulajnodze.

—Tyś zawsze powinien na hulajnodze jeździć — mówi kowal. — Przynajmniej rąk w kieszeniach nie będziesz trzymał.

—Rzeczywiście — mówi Marek. — I to dziwne: fryzjer, ręce zaś zawsze w kieszeniach.

—Ciekawym, jak śpi?— ponuro rzeźił kowal.— Chyba w spodniach, bo w kałesonach kieszeni nie ma. Minus wesoło to przyjmuje i odcina się:

—Dlatego mam zawsze ręce w kieszeniach, bo wiem, z kim teraz obcuje.

—Pieprzy chrzanem! — oburza się kowal.

—Nie podoba ci się, to napisz skargę do Ligi Obrony Zwierząt.

— A ty napisz podanie do muzeum obrzydliwości, żeby przyjęli na manekina — odgryza się kowal.

Towarzystwo udaje się do sadu. Zaczynają zbierać śliwki, których przez noc wiatr sporo nastrząsał.

—Nie wleźć na minę — uprzedza Ryż.

—Cholera wie: gdzie jest.

Rzeczywiście w mieście są częste wypadki z minami. Wiele ofiar już pochłonęły. Co prawda w wielu miejscach są czerwone chorągiewki, znaczące miejsce niebezpieczne, gdzie indziej są napisy: mina, lecz i poza tym jest ich mnóstwo.

—Proszę na wiśnie — woła fryzjer.

—Małe — mówi kowal.

—Chciałbyś jak twój łeb. Lepsza mała krówka jak duży karaluch.

—Po co z siebie małą robisz?

—Z zemsty, bo pogardzam ludźmi. I nie zwracaj na mnie uwagi, bo jestem głupi — podstępnie mówi Minus.

—Racja! — pośpiesznie stwierdza Plus.

—Jestem głupi, ale umiem do tego się przyznać, a ty nie.

— Dzieci, pokłóćcie się — upomina ich Ryż. Na ulicach ukazują się pierwsi przechodnie.

—Szabrownicy pełzną — komunikuje fryzjer. — Nie obłowią się tu... Teraz i zajęte mieszkania nie są bezpieczne od szabru.

—Ja na nich mam sposób — powiedział Ryż. — Zamierzam opatentować.

—Jaki?

—Kładę czerwoną chorągiewkę na podłodze u drzwi albo przybijam do framugi, na drzwiach zaś piszę po rosyjsku: „Miny”.

Wspólnicy z zapasem owoców i kanapkami, zawiniętymi w papier (obiad), idą po swoich rejonach, które coraz bardziej oddalają się od śródmieścia.

Minęły dwa tygodnie. Skład Ryża coraz bardziej zapełniał się pierzem. Pewnego razu szef oznajmił:

— Obywatele! W dwa tygodnie wykonaliśmy tyle roboty, ile planowałem wykonać w miesiąc. Mówię wam szczerze: jak tak dalej pójdzie, to w następnym roku będziemy mieli świetne zyski.

Lecz coś się zaczęło psuć wewnątrz ich spółki. Kowal chodził posepny, milczący. Wieczorami zwoził na skład góry pierza, ze złością zrzucał je z dwukółki i bez kolacji szedł spać. Ryż to dostrzegł, lecz nie mógł zrozumieć, co powoduje ten grobowy nastrój.

Przyczyna tego była następująca. Pewnego dnia, zbierając pierze, kowal trafił na doskonale urządzone warsztat ślusarsko-mechaniczny. Oko fachowca wykryło skarby pod zalegającymi lokal gruzem i rupieciami. Prawie wszystko było na miejscu, bo szabrowników żadnej „fali” ani „linii” nie pociągały znajdujące się tam urządzenia.

Kowal stanął przy kowadle. Od kilkunastu lat nie trzymał młota w ręku. Uderzył w kowadło. Melodyjnie przemówiło do niego. Znów obejrzał wszystko i został olśniony bogactwem, które tu znalazł. Plus wychodził z warsztatu, z pasją rzucał się na zwały pierza, lecz w oczach stale miał widok tamtego warsztatu, który może kto inny zabrać.

Ponury nastrój kowala zastanowił Ryża. Coraz uważniej go obserwował i pewnego razu, po pracy, powiedział:

— Chodź tu na chwileczkę.

Plus, chmurząc się, poszedł za nim na ulicę.

—Mów, co cię trapi — rzekł Ryż. — Jesteś dobry chłop i niepotrzebnie czymś się trujesz. Może to błahostka i łatwo ci pomogę.

—Mam dość tego pierza! — wybuchnął kowal.

—Tak... Czemu?

—W gębie pierze, w oczach pierze, wszędzie pierze, a do ręki nie ma co wziąć! Znalazłem sobie warsztat. Nie chcę, aby się zmarnował. Zbrzydło mi to wszystko!

—Przecież dobrze zarobisz.

—Nie chcę... Nie mogę... Co ja baba?... Ja chcę widzieć robotę, a nie szwedać się z workami po ulicach.

Ryż przez chwilę myślał, potem rzekł:

— Dobrze. Jutro razem obejrzymy twój warsztat. Ja też na tym się znam. Jak dobry, to zaraz weźmiemy patent i możesz zaczynać swoją robotę. Wcale ciebie nie trzymam. A to, co zarobiłeś u mnie, obliczę i otrzymasz wszystko, jak zlikwiduję interes.

W ciągu kilku następnych dni Plus porządkował warsztat. Usunął gruz i rupiecie, wyszorował podłogę, wstawił prowizorycznie brakujące szyby. Nad drzwiami zawiesił chorągiewkę.

Ryż łatwo uzyskał dla kowala patent na ślusarkę i Plus stał się „warunkowo” właścicielem dobrze urządzonego warsztatu. Roboty nie miał i za parę dni zrobiło mu się smutno. Poszedł w swój rejon i zabrał się do zbierania pierza. Teraz nie chmurzył się. Weszło patrzył w oczy Ryżowi, a pierza — choć nieregularnie — zwoził całe Alpy.

— Pani pozwoli trwałą?... Bardzo proszę... Niech pani siada... Gwarancja na sześć miesięcy... Tylko 100 złotych... Konkurencyjna cena...

Niskie ukłony. Skomplikowane dygi i wygibasy przed lustrem... Sylwetka fryzjera pochyła się jak do skoku w wodę.

—Panu strzyżenie?... Rozumiem: pełna fryzura, niski cyrkiel... Owszem, owszem... Golenie też?... W tej chwili! Janko, do golenia!...

Z biegiem czasu Minus znalazł sporo serwetek, mydlanego proszku i pudru. Trafiła mu się nawet flaszka wody kolońskiej. I to na razie wszystko. Ale był pewien, że z biegiem czasu zdobędzie chociaż część potrzebnych mu narzędzi. Chodził ulicami i szukał miejsc, gdzie się znajdowały — zniszczone obecnie — zakłady fryzjerskie. I powiodło mu się. Znalazł w zrujnowanej fryzjerni, zawaloną cegłami i belkami, szafkę. A gdy, ze sporym ryzykiem, dostał się do niej, to tam były potrzebne mu skarby: brzytwy, maszynki, nożyczki... Poza tym było sporo innych, mniej koniecznych do pracy przyborów. Minus przeniósł to do obranej przez siebie fryzjerni i tam dobrze je ukrył od przenikliwych oczu szabrowników. Wieczorem Minus, bez namysłu i żenady, zwrócił się do Ryża: — Mistrzu drogi, odchodzę. Dziękuję za wszystko i... — elegancki ukłon — zapraszam na klienta. Obiecuję 50% zniżki i Fryzjer szalał. Zacierał przed lustrem dłonie. Nisko i wyszukanie kłaniał się. Chodził do tyłu, naprzód, bokiem... Minus znalazł wspaniale urządzonego zakład fryzjerski, względnie mało uszkodzony. Piękne fotele, wspaniałe lustra... Wszędzie nikiel, marmur, kafle. Wszystko lśniło i oszołomiło celowością urządzeń, bogactwem. Lecz poza tym nie było tu nic: ani jednej brzytwy, żadnych narzędzi do pracy. Tylko lokal.

Minus mało się interesował teraz pierzem, natomiast szukał wszędzie narzędzi i przyborów fryzjerskich. Oddałby za nie chętnie te „tysiące” dolarów, które mu miała dać zbiórka pierza. Zaczęła go trawić tęsknota do pracy zawodowej.

gólnie dobrą robotę. Was, koledzy — ukłony w stronę kowala i Marka — też proszę zaszczyścić mój zakład. Te same warunki. Może być: strzyżenie, golenie, manicure, pedicure, usuwanie włosów, malowanie nosa, masaż twarzy, regulacja brwi, przyciemnianie rzęs, farbowanie włosów, ondulacja...

—Fu, małpa! — nie wytrzymał kowal.

—Dziękuję za uznanie krewniakowi.

Ryż ze smutkiem patrzył na swych pracowników i powiedział:

—Bunt aniołów. Nie ma rady. A ty — zwrócił się do Marka — do buntu się nie dołączysz?

—Mnie nie wypada: jestem diabłem — odrzekł Marek.

Przed składem Ryża stało rzędem pięć Niemek. Starostwo dało je do pracy. Ryż uszykował kobiety po

wojskowemu i z nadzwyczajną powagą szacował, oglądając ze wszystkich stron. Dziewczyny, nieco zdziwione, patrzyły po sobie, patrzyły na Ryża i nie wiedziały, o co mu idzie. Jednak cierpliwie stały w miejscu i dokładnie odpowiadały na dawane przez Ryża w niemieckim języku pytania. Marek, siedząc na dużej pace pierza, obojętnie obserwował tę scenę.

Ryż zbliżył się do tęgiej, nieco rudawej Niemki i zadeklamował:

*Du bist meine Diamanten und Perlen! Du bist meine goldene Sterne!*

Kobiety, jak na komendę, pokazały w uśmiechu pięć plutonów czystych, białych, zdrowych zębów. Ryż zaczął uczyć je pracy. Traktował swe niewolnice dobrze. Dawał jeść, to co miał i co sam jadł z Markiem.

Lecz niedługo Niemki miały tak sympatycznego szefa. W tydzień po ich przyjściu do pracy zdarzyła się dziwna i dla wszystkich nie wyjaśniona katastrofa. Skład towarowy runął, grzebiąc pod gruzami ogromne ilości pierza i króla szabru, Leona Ryża.

Był ciemny wieczór.

Noc okryła mętną, szarą Nysę i zrujnowane miasto.

Duszno. Wkrótce burza się rozpęta.

Wiatr hulał po mieszkaniach... Droga otwarta... Wertuje ciekawie stronicie tysiącami rozrzuconych wszędzie książek... Przegląda albumy rodzinne... Otwiera i zamyka drzwi i okna... Szarpie strzępy firanek.

A ze ściany patrzy na to wszystko wyklutymi oczami przekrzywiony na bok portret maniaka z małymi wąsikami... Portret człowieka, który chciał szabrem zdobyć dla swego narodu to, co można osiągnąć jedynie pracą rąk i mózgu.

Spadła błyskawica.

Ryż zamknął od wewnątrz duże drzwi na zasuwę i usiadł do stołu, gdzie zaczął przy świetle świecy robić obliczenia ilości towaru. Wiatr zgasił mu świecę. Ryż wstał i poszedł w ciemności zamknąć okno. Poczul, że noga o coś zawadziła. Szarpnął ją i... nastąpił straszliwy wybuch. Ekspłodowała duża mina. Gmach się chwiał, pochylał i osuwał. Potem wszystko runęło w dół.

Zwały cegieł zagrodziły rzekę i woda strumieniami wdarła się w przerwy między złomami murów, zatapiając skład. Twórca tego przedsięwzięcia zginął pod gruzami — na posterunku.

Siwy, smutny ranek ukazał oczom ludzkim olbrzymią kupę gruzu. W pobliżu jej stała mała grupka: pięć Niemek i Marek. Kobiety szeregiem stały naprzeciw tego miejsca, gdzie wczoraj było wejście do składu. Diabeł podszedł do nich:

—Jesteście

wolne.

Kobiety odeszły.

—Halt! — krzyknął Marek po chwili.

Diabeł przypomniał sobie, że ma dla nich w teczce śniadanie. Otworzył ją i podchodząc kolejno do każdej, dał im zawinięte w papier kanapki. Posłyszał pięć razy: danke i Niemki odeszły.

Marek długo patrzył w milczeniu na gruzy, potem usiadł na złomie muru i powoli zjadł śniadanie. Porcja Ryża została w teczce. A teczka była wszystkim, co ocalało na pamiątkę diabłu po jego dziwnym szefie.

## ROZDZIAŁ X

### Nowy okres życia czarta

Marek poszedł do mieszkania, gdzie odbywała się kiedyś narada nad sposobem uzyskania koncesji na zbiór pierza. Diabeł miał tam swą kwaterę główną. Spał zwykle na dużym, odartym z obicia tapczanie. Nakrywał się — zamiast kołdry — dużym sztandarem, który znalazł w jednym z mieszkań pod zwałami pierza. Sztandar ten, uszyty z czerwonego i zielonego jedwabiu i haftowany złotymi nićmi, Markowi bardzo podobał się. Należał kiedyś do Powiatowego Związku Kucharek. Diabeł właśnie po to wstąpił do swego mieszkania, aby zabrać tę luksusową kołdrę. Z trudnością wtłoczył podwójnie uszyty materiał do teczki Ryża i ruszył w drogę.

Diabeł nie poszedł na stację, bo wiedział, że bez przepustki ze starostwa nie wyjedzie stąd. Jako doświadczony już szabrownik znał wszystkie „chody”, więc skierował się ku wyjściu z miasta, aby boczną drogą dotrzeć do odległego o 5 kilometrów stąd przystanku kolejowego.

W drodze, mijając pewne osiedle, Marek zobaczył przy szosie naładowany tobołami duży dziecinny

wózek. Obok niego siedziało na ziemi dwóch mężczyzn i kobieta. Gotowali w dużym rondlu zupę. Jeden z mężczyzn wachał spory kawał gotowanego, parującego mięsa, z obrzydzeniem się wykrzywił, lecz żarłocznie je pochłaniał.

— Śmierdzi ścierwo, ale szkoda wyrzucić. A może pan — zwrócił się do diabła — da zapalić?

Marek, zaciekawiony, usiadł obok nich na cementowym słupku. Wszyscy skręcili z jego tytoniu papierosy.

—Dwa dni nie paliłem — skarżył się ten, który żarł mięso. — Aż w brzuchu mnie ssie.

—Ty byś sumienie miał — zwróciła się do niego kobieta. — Takiego cygara ukręcił!

—Za cygaro odwdzięczę się. A sumienie moje w 1939 roku zdechło. Jak wojna zaczęła się... Patrzyłem, patrzyłem i widzę, że to inaczej się nazywa: głupota. Więc do worka je i razem z kamieniem do wody chlust... Przyjm pan na pamiątkę od włóczęgi — podał diabłowi piękny, okuty metalem po brzegach, portfel.

Marek wahał się, czy wziąć.

— Bierz, bierz! — zachęciła go kobieta. — Dasz mu pan na parę skrętów tytoniu i będzie szczęśliwy. Bez palenia zły, cholera. Żyć z nim nie można.

Diabeł wziął portfel i dał im połowę tytoniu, który miał. „Będę mniej palił”.

Z rozmowy okazało się, że ludzie ci przyjechali tu, aby się osiedlić. Zatrzymano ich, odebrano dokumenty i skierowano do żniw. To zraziło ich do wszystkiego. Wygłodzili się, obdarli, zanosili okropnie bieliznę, bo praca była ciężka i upały wielkie. Ledwie wydostali dokumenty, wzięli przepustki i ruszyli w powrotną drogę. Już im nie w głowie było osiedlanie się. Naszabrowali w dwa dni łachmanów i naczyń. Teraz idą na przystanek. Marek zainteresował się, dlaczego, mając przepustkę, nie jadą ze stacji w mieście?

— Bo tam odbierają wszystko. Nie tylko szaber, ale i własne rzeczy zabiorą. Tak to jest. Tylko im szabrować wolno. A nam lepiej w Poznaniu albo Łodzi w piwnicy żyć, jak tu w pałacu... Zjedliśmy wszystko, co przywieźli ze sobą, kupić zaś nie ma gdzie... Powiedz: jak tu osiedlić się. Tu każde gospodarstwo miało najmniej jedną krowę i konia. A teraz na cały powiat kilka koni, co starostwo zabrało, i trzy chore na pryszczycę krowy. Było tego dziesiątki tysięcy... Kto to zszabrował? Ja?... A kto zszabrował elektrownie?... Tu przecież wszystko robili w gospodarstwach elektrycznością!... Tak to jest, że tu tylko bogaty może się osiedlić i do Poznania po produkty jeździć. Biedak nie wytrzyma od razu. Bujda wszystko!

Marek wkrótce poszedł dalej.

Na przystanku zastał duży transport rosyjskich żołnierzy. Ponieważ władał swobodnie wszystkimi językami świata, wdał się w rozmowę. Zapytał: dokąd jadą? Do Rosji... Dość tej wojaczki... Wywalczyliśmy dla was swobodę i koniec...

—My by tu zostali — powiedział inny krasnoarmiejec — ale wy nas nie lubicie. Warn, Polakom, nie dogodzisz... Pojedziemy do domu, a was niech kapitałiści dalej gnębią!

Marek poczuł, że do oczu mu łzy napływają. Nagle chlipnął i zaczął płakać, rozmazując dłonią łzy po zakurzonej twarzy. Żołnierze zdziwili się:

—Ty czego beczysz?... Taki chłop, a płacze jak baba!

—Jak nie płakać — mówił diabeł. — Bez was nam tu będzie bardzo smutno.

Wojskowy transport żołnierzy wkrótce odszedł. Zmartwiony Marek doczekał się towarowego pociągu i wślizgnął się na lorę, z rosyjską zdobyczą wojenną z polskich Ziem Odzyskanych. Wtłoczył się w kątek między olbrzymimi pakami, w których były części jakichś maszyn. Świat — z odjazdem Rosjan — stracił dla niego wszystkie barwy.

Nad wieczór pociąg przyszedł do Sulechowa. Zdrętwiały z zimna i braku miejsca diabeł postanowił zatrzymać się tu, aby odpocząć. Na stacji panował duży ruch. Marek szedł torami w kierunku dworca. W pewnej chwili posłyszał okrzyk:

— Ej, ty, kapelusz! Chodź tu!

Zobaczył przed sobą tamtego żołnierza, z którym rano rozmawiał na przystanku w pobliżu Gubina. Marek radośnie go przywitał.

—Zatrzymacie się tu? — spytał.

—Tak. Rozmyśliliśmy się. Nie pojedziemy do Rosji. Jak wy płaczecie po nas, to zostaniemy.

—Ty jemu nie wierz — wtrącił się drugi żołnierz. — Nie dlatego, że was żal, zostaniemy, ale nie ma jak

dalej jechać, bo lokomotywa dwa koła zgubiła, maszynista zaś, po pijanemu, drogę stracił. Marek patrzył na nich i szczęśliwie uśmiechał się. Widząc to, jeden z żołnierzy powiedział:

— Ty się nie martw. Jesteśmy tacy goście, co do domu nie śpieszą. Prędzej ty do Rosji pojedziesz jak my.

Czwarty tłumaczył obrazowo:

— Widzisz sam, że na jednym boku długo spać niewygodnie. Trzeba się przewrócić. Ot i my tak robimy: przewracamy się.

Uszczęśliwiony diabeł poszedł na dworzec. Tam spotkała go inna przyjemność. Zobaczył udekorowane czerwonymi chorągwiemi budynki. Wszędzie wisiały afisze, zapraszające na uroczysty obchód święta październikowej rewolucji. Wdzięczyły się barwne plakaty z napisami: „WIELKIE ŚWIĘTO NASZEGO WIELKIEGO SOJUSZNIKA”. Budynki z zewnątrz i w środku zdobiły liczne hasła i portrety wodzów.

Marek dowiedział się, że dziś przypada 28 rocznica październikowej rewolucji w Rosji. Czytał afisze, zapraszające ludność miasta na uroczystą akademię, na apel poległych bohaterów i było mu tak dobrze i wesoło, jak wówczas, gdy kursując na lokomotywie między Bąkowcem a Kozienicami pędził bimber. Mimo swego diabelskiego fachu i piekielnego pochodzenia, Marek miał bardzo czułe serce. Sympatia dla Rosjan, która się zrodziła w nim w toruńskim NKWD, wybujała wielkim purpurowym kwiatem.

Uroczysta cisza zalegała rynek w Sulechowie. Pośrodku jego płonęło olbrzymie ognisko. Płomienie strzelały w górę, skry pędziły w głąb nieba i tam mieszały się z gwiazdami. Za ogniskiem umieszczono trybunę, na której stali rosyjscy i polscy dowódcy garnizonu i członkowie Zarządu Miejskiego. Z dwóch stron rynku — naprzeciw siebie — stały dwie kompanie wojska: polska i rosyjska. Trzecią stronę zajmowała ludność cywilna.

Obok ogniska stał kapitan i z arkusza papieru wyczytywał nazwiska poległych żołnierzy batalionu. Padaly w alfabetycznym porządku. Z drugiej zaś strony ogniska chorąży odpowiadał:

— Poległ w czasie walk o Brześć.

— Poległ w czasie walk o Poznań.

Widok ten — mimo wykorzystania uroczystości do celów propagandy rosyjskiej — był piękny i wzruszający. Lecz koniec jego zakłóciło dziwne zajście. Kapitan wyczytał ze spisu ostatnie nazwisko:

— Wierzba Antoni!

Chorąży nie zdążył odpowiedzieć: „Poległ w czasie walk o Poznań!”, gdy z tłumu rozległ się głos:

— Jestem.

I na plac wkroczył Marek. Nie przyszło mu nawet do głowy, że może poważnie narazić się, wprowadzając w błąd władze. Przyzwyczaił się do swego fałszywego nazwiska i gdy posłyszał je, odezwał się i wyszedł na plac. Dopiero stojąc przed ogniskiem przypomniał sobie słowa mistrza legalizacji w Toruniu, od którego kupił dokumenty: „Kompania, do której pan należał, nie istnieje”. Przyszło mu do głowy, że źle zrobił, iż wyszedł z tłumu, lecz było już za późno.

Dalszy ciąg uroczystości na rynku odbył się w gmachu Starostwa. Urządzono tam bankiet dla wybitniejszych osobistości miasta. Marek również tam znalazł się i nawet skoncentrował na sobie ogólną uwagę. Ponieważ mówił dobrze po rosyjsku i Rosjan — jak wiemy — lubił wszystkich, dlatego wciąż się znajdował w ich towarzystwie.

Marek nie tylko nie wpadł, odgrywając fałszywą rolę bohatera, który sam tylko ocalał z kompanii żołnierzy, lecz nawet znalazł kilku ludzi z innych kompanii, którzy go „poznali”. Naturalnie i Marek „przypomniał ich sobie”. A ponieważ z zainteresowaniem przeczytał kiedyś „Dziennik” autentycznego Wierzby, to kojarząc to, czego się dowiedział z „Dziennika”, z tym, co słyszał od uczestników walk, potrafił skomponować krótką i dość wiarygodną historię swego ocalenia.

Na bankiecie wódki nie brakowało. Toastów, z okazji święta rewolucji, padło mnóstwo, więc Marek dobrze sobie podpiał. I gdy zakołowało mu w diabelskim mózgu, uwierzył w to, co sam poprzednio opowiadał. Zaczął fantazjować. Opowiedział, jak wysadził w powietrze ręcznymi granatami czołg niemiecki. Wierzono mu zupełnie.

W pewnej chwili lieutenant rosyjski — z którym Marek najwięcej rozmawiał i do którego poczuł ogromną sympatię — podniósł się z miejsca i wygłosił uroczyste:

— Zdrowie bohatera walki o oswobodzenie Poznania od hitlerowskich szakali!

Toast przyjęto i spełniono z entuzjazmem. Marek, rozczulony do ostatecznych granic diabelskiej wytrzymałości, wstał i też powiedział:

— Za pomyślność Rosji i rozszerzenie jej wielkich swobód na cały świat!

Markowi ściskano ręce. Rozlegały się okrzyki: „hura!” Entuzjazm był ogólny. Nagle diabeł coś sobie przypomniał. Sięgnął pod krzesło i wyjął nieodłączną swą tekę. Odpiął ją i wszedł na krzesło. Przed oczami obecnych ukazała się barwna chorągiew gubińskiego „Powiatowego Związku Kucharek”. W ciszy, która zaległa salę, Marek oznajmił:

— W uroczystym dniu święta naszego wielkiego sojusznika, ofiaruję to, co mam najdroższego i co własnoręcznie zdobyłem na hitlerowcach, kochanemu przedstawicielowi kochanej Rosji!

Z tymi słowy narzucił sztandar na barki lieutenanta. Wzruszenie ogarnęło wszystkich, nawet niemłodego już prezydenta miasta, który, jako doktor medycyny, powinien był lepiej od innych panować nad swymi uczuciami. Marek zaczął całować lieutenanta. Lieutenant diabła. Obaj zniknęli pod barwnym, jedwabnym sztandarem, lśniącym czerwienią, zielenią, złotem haftów i kutasami... Było to ogromnie wzruszające. Chorągiew potem — razem z czartem — zrobiła karierę, bo specjaliści stwierdzili dokładnie i nieomylnie, że należała do jednego z najbardziej krwiożerczych pułków armii hitlerowskiej.

Marek jechał do Poznania. Osobą jego zainteresowały się najwyższe władze wojewódzkie. Miał zgłosić się w Wojewódzkim CK PPR i być na audiencji u wojewody. W Sulechowie wydano mu zaświadczenie o chlubnej służbie wojskowej i bilet drugiej klasy na podróż pociągiem. Diabeł ulokował się w wagonie dla wojskowych, na odartej z obicia kanapce, i patrzył przez małą szybkę, w zabitym dyktą oknie. Snuł się szary zmierzch. Pociąg pędził naprzeciw nocy, która pieszczotliwie otulała go coraz gęstszym mrokiem.

Przyszedł konduktor i zaczął umocowywać w latarni nad drzwiami kawałki świecy. Parę razy spojrzął na Marka, potem odezwał się do niego życzliwie:

— Czemu pan nie jedzie w „twardym” wagonie? Tam jeszcze można gdziekolwiek się wtłoczyć.

— Po co mam się „wtłaczać”, kiedy tu dość miejsca? Mam bilet drugiej klasy.

— Jak pan uważa. Tylko uprzedzam, że tymi wagonami teraz jeżdżą wyłącznie Rosjanie. Nabierze się pan „żywego srebra”.

Istotnie, po godzinie jazdy diabeł poczuł swędzenie na karku. Wrażenie to zaczęło się zwiększać i ogarnęło całe ciało. Marek wściekle się drapał, lecz miejsca nie zmienił. Zamierzał w pełni wykorzystać swe prawo jazdy w wagonie przeznaczonym dla wyższej rasy.

Pociąg wjechał na mocno zrujnowany dworzec poznański. Wszędzie było pełno ludzi. Nawet przejścia i tunele podziemne zalegały tłumy siedzących na rzeczach lub wprost na posadzce pasażerów. Diabeł przedarł się ku wyjściu z dworca na plac. Zdziwił się, że miasto było puste. Na ulicach nie zauważył żadnego przechodnia. Pomyślał, że zapewne władze miejskie zabroniły chodzić wieczorem ulicami. Zbliżył się do grupki żołnierzy rosyjskich, którzy złożyli rzeczy pod ścianą drewnianego baraku i siedząc na nich rozmawiali.

— Powiedzcie mi, towarzysze, czy nie wolno chodzić po mieście? Przecież dopiero siódma godzina.

— Ależ wolno. Idź, dokąd chcesz. Teraz swoboda... A ty kto taki będziesz?

— Jestem wasz towarzysz. Razem walczyliśmy z hitlerowcami. Jeden z żołnierzy mrugnął do drugiego, a potem odezwał się do

Marka.

— To pięknie. Lubię takich dzielnych chłopów.

Zaczął protekcyjnie klepać Marka po ramieniu, a nawet po piersi. Po kilku minutach zainteresowanie żołnierzy osobą Marka znikło. Ale co dziwniejsze: znikła i jedyna pamiątka po Leonie Ryżu — teczka. Brak zegarka diabeł stwierdził dopiero w godzinę potem. Marek szukał teczki, którą przed chwilą położył na rzeczach swych towarzyszy walki z hitlerowcami.

— Ty czego tam się koszkasz? Jeszcze coś zwędzisz!

— Szukam teczki. Tylko co położyłem i nie ma.

— A któż teraz rzeczy z rąk wypuszcza? Ech, ty, durniu! Tyle tu podejrzanych elementów się szwenda!

Marek skierował się ku wyjściu z placu na ulicę. Wtem jakiś obdarty chłopiec odezwał się do niego po polsku:

— Te, panie! Lepiej nie chodź pan na miasto.

—Dlaczego?! Przecież nikt nie zabrania!

—Ale nikt i nie pójdzie. Widzisz pan: pełen dworzec ludzi. Czekają do rana. Bo pójść pan pójdiesz, ale nie wiadomo dokąd zajdziesz. Obrabują, lecz mogą i zabić.

Ale Marek nawet nie zwrócił uwagi na jego słowa. Poszedł ulicą Roosevelta, w kierunku mostu przez tory kolejowe. Wszędzie było pusto. Kilka razy wymiły go jedynie sylwetki rosyjskich żołnierzy. Niektórzy z nich zatrzymywali się i oglądali szacująco diabła. Marek wesoło i przyjaźnie do nich się odzywał i szedł dalej.

Wkrótce był na dziedzińcu domu, w którym mieścił się sklep komisowy Leona Ryża „Energia”. W osłoniętym od wewnątrz oknie, przez szpary w okiennicach, było widać światło. Diabeł zapukał cicho we drzwi. Po chwili z wewnątrz rozległ się głos:

—Kto tam?

—Ja... Antoni Wierzba.

—Jaki Wierzba?

—Bohater walki o Poznań.

—Ja w nocy żadnym bohaterem nie otwieram.

—Ależ, proszę pani, ja tu mieszkałem. Jestem współnikiem pana Leona Ryża, król Marek.

Było słycać wewnątrz mocowanie się z zasuwami, trzask haków u góry i u dołu, wreszcie brzęk łańcucha i zgrzyt klucza w zamku. Drzwi uchylono. W wejściu stała tamta brzydka dziewczyna, która rozmawiała kiedyś z Markiem, gdy diabeł po raz pierwszy przyjechał do Poznania. Marek dostrzegł, że dziewczyna trzyma w ręku siekiere i badawczo go ogląda. Więc bał się wejść.

— Proszę prędzej do środka!

Diabeł wstąpił do pokoju. Dziewczyna zaczęła starannie zamykać drzwi. Potem zwróciła się do Marka:

—Skąd pan tu się wziął?

—Przyjechałem z Sulechowa.

—To dlaczego nie przyszedł pan wcześniej?

—Dopiero co pociąg przyszedł.

—Z tego, co pan mówi, mam wnioskować, że pan teraz przyszedł z dworca?

—Tak.

—Niech pan takich rzeczy nie opowiada!

—Ależ to prawda!

—I pana nie obrabowano?! Podziwiam pańską fantastyczną odwagę!

Marek patrzył w oczy dziewczynie i coraz więcej zastanawiało go, a nawet niepokoiło, jakieś dziwne wrażenie, którego nie mógł zrozumieć. „Kogo ona mi przypomina?”

— A gdzie pan zostawił Leona?

Marek chciał odpowiedzieć, ale nagle rozczulił się jak wówczas, gdy dowiedział się, że transport rosyjskich żołnierzy opuszcza Polskę. Siorbnął nosem, z oczu polały mu się łzy i zaczął beczeć jak pięcioletni brzdąc.

— Umarł mój szef... Nie ma komu teraz mnie uczyć... A wszystko ci podli hitlerowcy... Żeby nie te przekłete pierzyny i poduszki, toby żył...

Marek opowiedział historię ich wycieczki do Gubina i jej zakończenie. Dziewczyna uważnie go słuchała. Kilka razy pytała o szczegóły. Nagle przyjrzała się Markowi i rzekła:

—Pan ma na ubraniu pełno robactwa!

—Tak... Cóż ja zrobię?

— Ale tak nie można! To się rozpełźnie po innych rzeczach. Po godzinie Marek wykąpany, w bieliźnie i ubraniu swego szefa,

siedział przy stole i pił herbatę. Jeszcze trochę pochlipywał z żalu po swym szefie, lecz powoli uspokajał się. Teraz, z pewną obawą i dziwnym szacunkiem, jakiego nie miał dla nikogo — bo dla Rosjan żywił tylko wielką miłość — spoglądał na dziewczynę, która, nie zwracając na niego uwagi, wypełniała rubryki jakiegoś urzędowego formularza. W pewnej chwili dostrzegł w wycięciu bluzki, pochylonej nad stołem dziewczyny, dolną część piersi i wyraźny przedział między nimi. Poczul, że twarz zaczyna mu się rumienić i że — pod wpływem białej pigułki Lucyfera — jest nie tylko człowiekiem, lecz i mężczyzną. W tej chwili dziewczyna podniosła głowę. Dostrzegła wyraz oczu

diabła i zapięła bluzkę. Potem powiedziała:

— Jeśli tu za gorąco, to mogę wypuścić pana na podwórze.

— Nie, proszę pani.

— Powiedz mi pan: jak by pan odpowiedział na te mądre pytanie Zarządu Miejskiego dla właściciela przedsiębiorstwa?

Podkreśliła paznokciem pytanie nr 879 i wyszła do następnego pokoju. Diabeł słyszał, że szykuje tam pościel dla niego. Zaczął czytać pytanie nr 879 Wydziału Przemysłowo-Handlowego: „Panna czy mężatka? A jeśli tak, to dlaczego?” Przewrócił w tył kilka arkuszy formularza. W rubryce pierwszej: „Nazwisko i imię właściciela przedsiębiorstwa lub zakładu handlowego?” było napisane dużymi literami: „Ryzówna Bronisława”. Diabeł wszystko zrozumiał: i to nieuchwytnie prawie podobieństwo w wyrazie oczu i wykroju warg, i ten spokój oraz pewność siebie w każdej sytuacji. Podziwiał to dawniej u swego szefa, Leona Ryża. Ogarnęła go radość — taka, jakby jego szef (jedeny lubiany przez niego Polak) nagle ożył.

Dziewczyna wróciła do pokoju. Zatrzymała się i patrzyła na dziwny wyraz twarzy Marka.

— Pani przecież jest siostrą pana Leona!

— Tak.

Diabeł skoczył ku niej. Padł na kolana i zaczął całować jej pantofle. Posłyszał płynący z góry spokojny głos:

— A może już dość tej przyjemności?

Marek wstał i szczęśliwymi oczami patrzył na nią.

— Proszę pana — rzekła dziewczyna. — Radzę panu trochę spokojniej objawiać swe uczucia, bo...

— Bo co?

— Bo wy trzaskam po pysku i wyrzucę za drzwi.

I Marek, który na zawsze zapamiętał głównemu szatanowi uderzenie go w pysk, który za bicie go w Bezpiecze znenawidził wszystkich Polaków, teraz odrzekł czule, a nawet prowokująco:

— Proszę bić, ile się pani podoba, tylko nie wyrzucać. Jednocześnie tak oddanym spojrzeniem patrzył na dziewczynę, że zmiękczył ją.

— Niech pan idzie spać. Jutro pomówimy o tym, co z panem począć dalej... Ciekawa jestem, co by pan odpowiedział na tamto pytanie?

— A nie wyrzuci mnie pani?

— Nie.

— Niech pani napisze: panna ze względów estetycznych. Albo: mężatka ze względów fizjologicznych.

— Pan nie taki głupi, jak wygląda. Ale jak podać fałszywy stan rzeczy?

— Można zrobić prawdziwy. Ja, na przykład, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby... — diabeł się zażenował.

— Jeśli mam to rozumieć jako propozycję matrymonialną, to uważam, że nie czas teraz i że forma nieodpowiednia. Dobranoc panu.

— Proszę pani: jedna tylko prośba!

— Co takiego?

— Czy mógłbym od czasu do czasu o coś panią pytać?

— O co panu idzie?

— Co to jest Rosja?

Dziewczyna milczała i patrzyła w oczy diabłowi, kombinując: jakie pobudki wywołały to pytanie. Diabeł, przypominając sobie odpowiedź Ryża o Anglii: „Jest to państwo, gdzie obywatel ma wielką wolność, bo musi robić to, co mu się chce robić”. — Czekał, co powie dziewczyna. Wreszcie posłyszał obojętny, znudzony głos... jakby z zaświatów płynącą odpowiedź Leona Ryża... „Rosja jest to państwo, w którym obywatel musi chcieć robić to, co mu każą robić”.

Odpowiedź ta, którą Marek — tak jak i poprzednią — niezbyt dokładnie zrozumiał, wprawiła go w zachwyty. „Jakie szczęście: niezupełnie straciłem mego szefa! Gorzej tylko, że to kobieta... A może to i lepiej?”

I Marek z tymi myślami usnął. A przez sen uśmiechał się szczęśliwie, jak wówczas, gdy na dyżurze w kotłowni nr 13 zdrzemnął się przy stole i przyśnił, że główny szatan udekorował go orderem Lucyfera



I stopnia. Co mu się teraz śniło? Diabli wiedzą. Można tylko przypuszczać lub wyobrazić sobie.

## ROZDZIAŁ XI

### Pogromca reakcji

Diabłowi w głowie wirowało od nadmiaru wrażeń. Był na audyencji u wojewody, który łaskawie go przyjął i wypytywał o bohaterskie wyczyny w walce z hitlerowcami. Marek kłamał już swobodnie i artystycznie. Szczególnie pięknie opowiadał o zdobyciu przez niego sztandaru, czym wprawiał w podziw wszystkich. W Związku Zachodnim, przy ul. Chełmońskiego nr 1, zapoznano go obszernie z ideowymi założeniami Związku. Wreszcie znalazł się w Wojewódzkim Komitecie PPR. Tam zaproponowano mu wstąpienie do partii. Marek wahał się.

—Muszę nad tym poważnie się zastanowić.

—Dlaczego?

—Nie chcę należeć do Polskiej Partii Robotniczej, bo kocham naprawdę tylko Rosjan i mam zaufanie jedynie do RKP.

—Więc doskonale się składa: PPR jest właśnie aktywem RKP w Polsce.

I wymowny sekretarz łatwo przekonał diabła w tym, co %ie dobrze każdy Polak. Więc Marek wstąpił do partii i otrzymał legitymację. Oświadczono mu, że na razie przydzielą go do Rady Kontroli Nastrojów jako inspektora lotnego. To da mu sporo czasu do uporządkowania swych spraw i wypoczynku po bohaterskich walkach.

W tydzień po przyjeździe do Poznania Marek miał prawdziwe dokumenty i dobre stanowisko. Wypłacono mu z góry dużą pensję, wraz z różnymi dodatkami i — co najważniejsze — dano mu skierowanie do Wydziału Aprowizacji i Handlu w celu otrzymania paczki UNRRY. Musiał w tej sprawie złożyć dwa podania, napisać cztery wnioski, następnie w Oddziale Kartkowym, przy ul. Sierociej nr 11, otrzymał zaświadczenie na odbiór 5-kilowej paczki. Dopiero wówczas skierowano go do magazynu Społem, przy ul. Składowej. Tam wydano Markowi paczkę i zarządano ulgowej wpłaty 270 złotych. Diabeł zdumiał się.

—Dlaczego mam płacić za paczkę, którą Ameryka przysyła w darze?

—Takie jest zarządzenie.

—Co mnie obchodzi wasze zarządzenie. Jestem bohater, członek PPR i inspektor Kontroli Nastrojów. Stwierdzam, że ta okoliczność psuje mi nastrój.

—Szanowny towarzyszu, proszę zrozumieć to, że jako członek PPR otrzymuje towarzysz paczkę taniej, bo bezpartyjni obywatele, którzy jakimś cudem zezwolenie na paczkę uzyskają, płacą 307 złotych.

Marek z bólem serca musiał zapłacić 270 złotych. Ale było za co, bo gdy przyszedł z nią do biura i paczkę na stole rozpakował, to bezpartyjni urzędnicy i urzędniczki aż zzielenieli z zawiści.

—Patrzcie: prawdziwa czekolada!

—A jakie papierosy!

—Co za wspaniałe konserwy! Ach, jeśliby choć połowę takiej paczki otrzymać!

Marek również był zdumiony, lecz tego nie ujawnił. Natomiast poszedł do kierownika Rady Kontroli Nastrojów i spytał:

—Towarzyszu! w głowie mi się nie mieszczą pewne rzeczy.

—Co takiego?

—Jak zrozumieć, że Ameryka, o której nędzy tak dużo czytam w prasie, może dawać nam tak wspaniałe paczki?

—Propaganda... Rozumie towarzysz?... Sami z głodu zdychają, a nam ślą, aby zrobić sobie w przyszłości z Polski kolonię i ją wyeksploatować.

—Dobrze. Ale na paczce napisano, że jest to dzienna porcja dla czterech żołnierzy.

—Otóż z tym i wpadli. Czy może towarzysz wyobrazić sobie żołnierza, który by takie coś otrzymał na cztery dni. Przecież to majątek!

—Słusznie, towarzyszu. Ależ ta amerykańska propaganda chytra! — diabeł zrobił oko kierownikowi.

—Nie bardzo — rzekł kierownik. — My z paczek skorzystamy. Pieniądze za nie weźmiemy i jeszcze im napaskudzimy. To trzeba umieć!

I kierownik łaskawie poklepał Marka po ramieniu.

Diabeł uradowany wrócił do biura. Z ważną miną usiadł do stołu i pogardliwie spoglądając na bezpartyjny motłoch, rozwinął dziennik „Głos Wielkopolski”, z dnia 22 listopada 1945 r. Z przyjemnością przeczytał artykuł pt. „Doniosłe uchwały Rady Ministrów”. Szczególnie podobał mu się następujący fragment:

#### „KONTROLA PRASY I WIDOWISK

*Centralne Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, funkcjonujące dotychczas przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, przejęte zostaje przez Prezydium Rady Ministrów i przemianowane na Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk”.*

Zrozumiał, że władze czuwają i że elementy reakcyjne muszą siedzieć cicho w mysiej dziurze. Nagle... na odwrotnej stronie tejże karty, tegoż pisma, w rubryce „Listy do Redakcji”, przeczytał pięć pytań, z których cztery — prawomyślne — były w Niemców, aby przemycić pytanie nr 5:

„5. Kto otrzymuje dary UNRRY, gdyż takiego obdarowanego obywatela dotąd nie spotkaliśmy? Ufny, że zapytania moje nie pozostaną bez odpowiedzi, łączę wyrazy niekłamanego szacunku i poważania.

*Rom. Słowikowski Poznań, Wierzbicice 25”.*

—Mam ciebie, reakcjonisto, sanacyjna sobako, pacholku kapitalistyczny, faszystowski sługusie! — krzyknął diabeł i bez czapki na głowie, z paczką UNRRY pod lewą ręką, a gazetą w prawej wypadł z urzędu. Z szybkością około 100 kilometrów na godzinę wpadł na Wierzbicice 25. Drzwi mu otworzył jakiś bardzo nędznie ubrany i nieszczęśliwie wyglądający obywatel.

—Chcę widzieć Romana czy Romualda Słowikowskiego — rzekł diabeł.

—Ja właśnie jestem.

—Ogromnie mi przyjemnie — powiedział Marek, kładąc paczkę UNRRY na stół i z gazetą w rękę zbliżając się do pana Słowikowskiego. — Czy obywatel przesłał do Redakcji ten list?

—Owszem ja. Ale co za prędko i cudowny skutek! Widzę, że mi pan przyniósł paczkę UNRRY!

—Bez żartów, obywatelu — rzekł groźnie diabeł. — Obywatel pisze w swym podstępny liście, że „nie spotkaliście obdarowanego obywatela”. Otóż jestem takim obywatelem. Na dowód tego pokazuję paczkę. I żeby oduczyć was od demagogicznych i antyrządowych wystąpień publicznych, sprawię wam lanie.

Za pięć minut diabeł wyszedł na miasto, z paczką UNRRY pod pachą i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku w pepeerowskiej duszy. Mimo to, że był nalany po brzegi powagą swego stanowiska, zauważył, że idący ulicami ludzie zatrzymują się i ze zdumieniem go oglądają.

—Patrzcie, patrzcie: ten czarny otrzymał paczkę UNRRY!

—Nie może być. To pewnie tylko puste pudełko.

Marek z diabelskim uporem zaczął tropić objawy nieprawomyślności i wnet stał się pogromcą reakcjonistów. Na przykład: nazajutrz po odpowiedzi, w zastępstwie Redakcji, na piąte pytanie pana Słowikowskiego, Marek własnoręcznie złapał i dostarczył Bezpiece czterech reakcjonistów.

Pierwszym był sprzedawca zabawek na ulicy Dąbrowskiego, który reklamował tekturowe pudełeczka z drucianym pałakiem i naciągniętą nicią. Gdy pocierał tę nić woskowanym papierem, pudełko wydawało dźwięki, podobne zupełnie do gdakania kury. Jednocześnie szyderczo wykrzykiwał:

— Kury z UNRRY! Kury z UNRRY! Marek natychmiast ulokował go w Bezpiece.

Drugim reakcjonistą była kobieta, która, stojąc w ogromnej kolejce po miesięczny przydział soli, mówiła podstępnie do innych kobiet:

—Słyszałam, że wkrótce na kupon 10 ser dadzą.

—Co kuma mówi? Dużo dadzą?

—Po gomółce na osóbkę.

Diabeł ją zaraz: cap! „Nie wyśmiewaj kapitalistyczna agentko wielkich wodzów narodu”.

Trzeci reakcjonista siedział w stołówce i mimo pogłoski, które twierdziły, że w Poznaniu wykryto wyroby z ludzkiego mięsa, jadł z apetytem klops i tak mówił do towarzysza przy stole:

—Wkrótce mięso stanieje zupełnie.

—Tak?!... Dlaczego?

— Bo ze wschodu pędzą jeszcze dziesięć dywizji bydła. Czwartym reakcjonistą był gazeciarz, który biegł jezdnią i krzyczał:

— „Wolności” nie ma. „Rzeczpospolita” sprzedana. „Ziemia Pomorska” kosztuje dwa złote, został

tylko „Głos Ludu”!

Marek wytrwale krążył ulicami. Chodził po rynkach i restauracjach. Często odwiedzał dworzec i uniwersytet. Wyłapywał wszędzie elementy reakcyjne. Dużo osób aresztował za piosenkę: „Demokracja”.

Dostało się i tym, którzy opowiadali anegdotę o „odbudowie”, zastanawiając się nad tym: kiedy taka mała Polska odbuduje tak wielką Rosję?

Aresztował nawet tych, którzy na pytanie: jak im się obecny ustrój albo władze podobają?, odpowiadali: nie można narzekać!

O winie decydowała, w tym wypadku, ta okoliczność: czy odpowiadający mówi to szczerze, czy z „chytrym” uśmiechem.

Jednak najwięcej osób aresztował za bardzo modne wiersze: „Moja pani”.

Diabeł pracował z wielkim zapałem i całkowitym oddaniem się wielkiej idei tępienia reakcjonistów. Ze szczególnym zamiłowaniem robił to dlatego, że byli to Polacy. Pracował nieraz po 20 godzin na dobę. I po pewnym czasie przyszedł do przekonania, że aby kwestię „reakcji” zlikwidować zupełnie, trzeba aresztować wszystkich, nie należących do PPR, PPS, milicji, Bezpieki i NKWD. Nawet złożył w tym sensie memoriał do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Na co otrzymał rzeczową odpowiedź: „Obecny stan taboru kolejowego i aktualna taktyka PPR nie pozwalają na wywiezienie 24.000 000 reakcjonistów naraz. Ministerstwo pracuje planowo”.

Chociaż Marka słusznie uważam za wroga nr 1 polskiej reakcji, lecz do jednego reakjonisty... zatwardziałego, zdecydowanego, Marek miał wielki sentyment. Był nim, a raczej była Bronisława Ryzówna. Wobec niej sprytny i bezwzględny diabeł był łagodny jak baranek. Zwykle po pracy — dla dobra demokracji ludowej — Marek szedł na wypoczynek do domu. Ryzówna oddała mu pokój przy sklepie i tam diabeł miał swe lokum. Marek gotował sobie jedzenie na prymusie, a potem z zapałem pochłaniał literaturę partyjną. Od czasu do czasu składał wizyty swej gospodyni. Zawsze bardzo uważnie śledził jej humor i — jeśli przypuszczał, że ją krępuje albo nudzi — natychmiast przepraszał i wynosił się do swego apartamentu. Wyglądało to nawet tak: że boi się jej. O pracy swej, jako inspektora kontroli nastrojów, nie wspominał ani słówkiem.

Pewnego wieczora Marek nieco wcześniej wrócił do domu. Zapukał do drzwi Ryzówny i wszedł. Dziewczyna czytała jakiś gruby foliał, na który diabeł spoglądał z podziwem i szacunkiem.

—Czy pani pozwoli, że trochę posiedzę?

—Dobrze.

—Ja, właściwie, mam pewną propozycję...

—Jeśli dotyczy małżeństwa, to niech się pan nie trudzi.

—Zupełnie przeciwnie... chciałem zaprosić panią do kina.

—Do kina?!... A wie pan, to dobra myśl. Chodźmy. Samej niezbyt przyjemnie wieczorem wracać do domu. Jakie filmy idą?

Marek pośpiesznie wyjął gazetę.

—W „Apollo” „Świat się śmieje”.

—Bolszewicki. Nie pójdę — rzekła Ryzówna.

—To może do „Bałtyku”. Idzie „Kurhan Małachowski”.

—Też bolszewicki.

—W takim razie pójdźmy do „Muzy”. Wyświetlają „Antoni Iwanowicz się gniewa”.

—Przecież i ten bolszewicki.

—No to do „Warty”.

—A tam co?

—„Za siedmioma górami”.

—Również bolszewicki.

I Marek musiał zrzec się przyjemności pójścia do kina razem ze swoją sympatią. Poczul nawet pewną urazę do władz miejskich, że chociaż w jednym kinie nie dają filmu polskiego albo zagranicznego. Diabeł siedział przy stole, słodkimi oczami spoglądał na dziewczynę i wreszcie znów się odezwał:

—To ja proszę pani pójdę sobie.

—Nie będę protestowała.

—Chciałbym tylko tego...

—Zapytać.

—Tak.

—Proszę.

—Co to jest polityka?

—Polityka jest to sposób, w jaki jednostki — nie mający żadnych przekonań — narzucają lub wywołują w społeczeństwach jakieś przekonania, aby z tego procederu ciągnąc dla siebie zyski...

Po chwili Marek poszedł do swego pokoju. Tam zabrał się do pism i książek. Rano — po krótkim, nocnym wypoczynku — szedł znów na miasto tropić reakcjonistów. Robił to z coraz większą wprawą i powodzeniem. Lecz pewnego razu nieco przesadził. Szedł ul. Działyńskich i podsłuchiwał rozmowę po rosyjsku dwóch cywilów.

—Ty wiesz, co to jest Rosja?

—No?

—Rosja to autobus. Jeden kieruje, połowa siedzi, a reszta stoi, trzęsie się i czeka, kiedy usiądzie.

Marek zatrzymał ich.

—Proszę iść ze mną.

—Po co?

—Dokąd?

—Do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Jeden z cywilów poczęstował Marka soczystym, wielopiętrowym epitetem. A drugi wyraził chęć sprawienia mu lania. Lecz diabeł, wykorzystując swą kolosalną siłę, wstrząsnął ich i oszołomionych, prawie nieprzytomnych, zaniósł łatwo do Bezpieki. Oddał reakcjonistów władzom i poszedł na dalszy połów.

Wynikła straszna awantura. Okazało się, że Rosjanie są oficerami, którzy chodzili po Poznaniu w cywilnym ubraniu. Bezpieka prędko się zorientowała, z kim ma do czynienia i zwolniła ich. Lecz Rosjanie, przez swe władze, upomnieli należycie Województwo... Gdyby Marek nie był tak sławnym, odznaczonym wielu orderami bohaterem, to sprawa ta na pewno skończyłaby się dla niego marnie. Lecz obroniono go. Poinformowano władze rosyjskie, że jest to bohater walk, który miał kontuzję głowy. Że jeszcze nie jest zdrow i że go natychmiast usuną ze stanowiska i będzie odpowiednio ukarany.

Nazajutrz kierownik Wojewódzkiej Rady Kontroli Nastrojów wezwał do siebie Marka. Diabeł oczekiwał pochwał i wesoło przyszedł do zwierzchnika. Lecz kierownik miał zimną, oficjalną minę. Nie zaproponował Markowi nawet, by usiadł.

—Obywatel wykazał wczoraj brak poszanowania dla Rosjan. Gdyby nie wasze dawne zasługi musiałbym  
przekazać  
sprawę  
do  
sądu.

—O co chodzi?! — zdziwił się Marek.

—Obywatel zatrzymał wczoraj na ulicy dwóch Rosjan.

—Tak jest. Wysztychali ustroj sowiecki.

—To obywatela nic nie obchodzi. Obywatel miał poleczone śledzić reakcyjne nastroje wśród Polaków. Jasne? Zwalniam obywatela z pracy i przekazuję do dyspozycji sekretarza partii. Sprawy nie wytaczam. Do widzenia.

Marek, bardzo rozgoryczony, poszedł do Sekretarza PPR. Tam go nieco łagodniej upomniano i dano urlop wypoczynkowy. Teraz diabeł poczuł jeszcze większą nienawiść do Polaków, którzy nie potrafili docenić jego pracy i gorliwości.

Wieczorem tego dnia Marek spytał Ryzównę:

— Kto to jest komunista?

—Komunista jest to człowiek, który nie lubi, jeśli ktoś ma kapitał, natomiast ogromnie lubi, gdy sam ma kapitał i ku temu wytrwale zdąża.

—Ale ci polscy komuniści są dziwni. Niby sprzymierzeńcy Rosji, lecz jeśli się wystąpi w obronie ustroju sowieckiego, to gotowi są za to do więzienia wpakować.

Ryzówna spojrzała w twarz Markowi i rzekła:

—Radzę panu w ogóle o komunizmie nie mówić. To było modne, a nawet bardzo popłatne, za sanacji. Wówczas komunistów podziwiano, uwielbiano, kształcono, wysyłano za granicę, dawano stypendia.

Jeśli wsadzano czasem do więzienia, to dlatego, aby mogli zrobić karierę. Gorzej było z tymi komunistami, których wydalono do Rosji. Tam ich rozstrzeliwano. Ale u nas było im cudownie.

—Nie rozumiem pani. Przecież w Polsce jest nawet partia komunistyczna: PPR.

—Co z pana za dzieciak! Czy pan jeszcze nie orientuje się, że na razie o komunizmie nawet mówić nie można. Niech pan to sobie zapamięta: komunizmu nie ma, rosyjskich wpływów nie ma; jest tylko wolna, niepodległa, demokratyczna Polska i na tym koniec. A Rosja komunistyczna jest tylko sąsiednim państwem, sprzymierzonym z Polską, ale bez żadnych na nią wpływów.

—Rzeczywiście! — rzekł zachwycony diabeł. — Teraz rozumiem, dlaczego Polacy tak mnie potraktowali. Po prostu nie lubią tych, którym jest sympatyczny rząd rosyjski. Co za przewrotny naród!

## ROZDZIAŁ XII

### „Zwycięstwo idei”

Przez pewien czas diabeł, mając dużo wolnego czasu, poświęcał go lekturze. Od czasu do czasu chodził do kina, do teatru lub na odczyty. Później tak się stało, że przez tydzień nie wychodził z pokoju. Nawet przestał pytać Ryzówny. Dziewczyna, która nadal prowadziła marnie prosperujący sklep komisowy, zwróciła na to uwagę i pewnego razu spytała Marka:

— Co z panem się dzieje? Pójdź pan chociaż na spacer. Nie można całe dni czytać.

—Ja nie czytam. Piszę.

—Listy miłosne czy historię obyczajów?

—Nie, proszę pani, powieść.

—O, powieść!

—Tak. Powieść.

—Poczuł pan powołanie pisarskie.

—Żadnego powołania. Tylko przeczytałem ogłoszenie Związku Zachodniego o konkursie na powieść, na temat Ziemi Odzyskanych. Zainteresowała mnie pierwsza nagroda.

—Ile?

—Pani nie uwierzy: 10 000 złotych. To, według obecnego kursu giełdy, wynosi sześć funtów szterlingów. Za to można kupić dość dobre trzewiki.

—Rzeczywiście ogromna nagroda!

—Otóż to... A ponieważ ja potrafię zrobić wszystko, co chcę, to i powieść napiszę. Szczególnie mi to łatwe, bo znam trochę Ziemię Odzyskaną i wyczuwam wymagania jury konkursu i wydawców.

—A jaki tytuł będzie miała pańska powieść?

—„Zwycięstwo idei”.

—Niezbyt pociągający.

—Mnie chodzi o pociągnięcie nagrody, a nie o zainteresowanie czytelnika.

Marek w dalszym ciągu, z natchnioną mordą, ruszając uszami, czasem wysuwając pół języka i z mądrą miną na głupim pysku oraz idiotycznym zapalem rasowego pisarza, machał swe dzieło.

Aby zapoznać czytelnika z mentalnością diabła, podam streszczenie powieści:

Antoni Wierzba „ZWYCIĘSTWO IDEI”

(Powieść współczesna)

On — dzielny pepeerowiec. Porzuca dobre stanowisko w stolicy i jedzie, ochotniczo, na „Dziki Zachód” organizować życie. Tam napływają inni, dzielni partyjnicy i wspólnie budują polski „wał nad Odrą”. Zwalczają wszystkie trudności. Wykrywają zamaskowanych faszystów i sabotażystów. Życie zaczyna kwitnąć.

Ona — burżujska córka. Przyjechała szabrować. Zostaje zatrzymana.

On — jako kierownik Bezpieki — bada ją. Młodość, uroda, lecz brak zdrowego instynktu społecznego pod wpływem wychowania w Polsce sanacyjnej. Lecz wystarcza kilka ognistych jego przemówień oraz — naturalnie — spojrzeń i ona topnieje jak masło na gorącej patelni. Ze łzami w oczach błaga o przyjęcie jej do PPR. Z pomocą jego osiąga ten ogromny zaszczyt. Wówczas zaczynają razem budować „nowy świat” i — wspomagani przez garnizon rosyjskich żołnierzy — utrwalają fundamenty polskości na „Dzikim Zachodzie”.

Ona — poprzednio — jako szabrowniczka znalazła ukryty przez hitlerowców wielki skarb. Zamierzała ostrożnie i powoli zlikwidować go na własną korzyść. Lecz teraz, jako partyjniczka, zrozumiała podłość tamtego zamiaru i ujawniła to staroście powiatowemu — też dzielnemu pepeerowcowi. Skarbu nie rozgrabiono, nie przepito. Do stolicy poszły telegramy. Zainteresowały się tym władze... Część skarbu przekazano na odbudowę stolicy, do dyspozycji BOS. Resztę zostawiono na miejscu, dla podźwignięcia miasta z ruin. Mógł nim dysponować specjalny komitet, w skład którego weszła i ona — była burżujka i szabrowniczka, a teraz partyjniczka i pionier mlekiem, miodem i szlachetnymi bolszewikami płynącego kraju — raję.

Komitet, na wniosek dawnej burżujki, postanawia:

1. Założyć Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.
2. Zbudować wspólny pomnik bohaterów Armii Czerwonej.
3. Wysłać telegram z wyrazami uznania dla wodzów demokracji ludowej.

Akcję wieńczą: cywilny ślub, demokratyczna uczta w gmachu Bezpieki i partyjny pocałunek.

Diabeł prawie bez przerwy pisał swą powieść, bo chciał zdążyć wysłać ją na konkurs. Późno spostrzegł ogłoszenie i miał tylko dwa tygodnie. Lecz diabelski upór i podnieta w formie zapowiedzianej nagrody 10.000 złotych, pozwoliły mu stworzyć dzieło w tak krótkim terminie. (Marek, przed rozpoczęciem pracy nad powieścią, połknął czwartą pigułkę Lucyfera, z napisem: „Talent literacki”.) Powieść została wysłana w ostatnim dniu terminu. Wkrótce diabeł dowiedział się o tym, czego był pewien z góry — że uzyskał pierwszą nagrodę. Marek natychmiast udał się do Związku Zachodniego i zażądał pieniędzy. Lecz powiedziano, że nagroda zostanie mu wręczona na specjalnym zebraniu — w sposób uroczysty. Laureat zdenerwował się:

— Mam wasze specjalne zebranie tam, gdzie każdy uczciwy diabeł ma ogon! — jako literat bardzo wykwintnie wyraził swą myśl Marek. — Proszę natychmiast o forszę, inaczej podaję do sądu z powodu oszustwa. Mamy teraz ustrój demokratyczny i nie zgadzam się na sanacyjne bujanie elementów natchnionych. Zresztą palce mi tak wyłażą z trzewików, że mogę nimi publicznie figi pokazywać.

Diabeł groził policją, milicją, Bezpieką, NKWD, NKGB, sądami i ledwie go uspokojono. Gdy wreszcie wyszedł za drzwi, prezes powiedział do sekretarza:

—Ależ to nieufna bestia!

—Możliwe, że jako pisarz ma wielkie doświadczenie.

—Przecież to debiutant.

—Więc może sam był kiedyś wydawcą.

—Chyba to...

Wkrótce powieść wydano książką i zaczęto drukować ją w odcinku. Recenzje były entuzjastyczne. Prasa ogłosiła światu ukazanie się nowego wielkiego talentu. Jeden z „dużej miary” krytyków napisał ogromny artykuł o tej powieści, z którego przytoczę tylko dwa krótkie zdania:

„Od czasu ukazania się powieści wstrętnego reakcjonisty, Sergiusza Piaseckiego, „Kochanek Wścieklej Niedźwiedzicy”, nie notowano podobnego sukcesu, tylko jeśli tamta powieść „brała” czytelnika barwnymi spekulacjami erotyczno-awanturycznymi, to „Zwycięstwo idei” Antoniego Wierzby można uważać za wyraz idealistycznie skonkretyzowanych koncepcji demokratycznych, naświetlonych pod kątem racjonalnie zsublimowanych i obiektywnie wy-koncypowanych — z subiektywną zdolnością filozoficzno-dialektyczną — stanowiącą trwałą szaniec metodologiczny w logicznym powiązaniu pierwiastków empirycznych z materialistycznym ujmowaniem koncepcji społecznych, dających skryształowaną amplitudę ewolucji demokratycznych i stanowiących funkcję wyrazów konkretnego transcendentalnego naświetlania zjawiska społeczno-politycznego, którym jest kojarzenie przeciwstawnych elementów społecznych i politycznych, w konfrontacji ich z emocjonalnymi czynnikami procesów psychofizycznych, wywołanych konfliktami natury biodemologicznej w kształtowaniu idei demokratycznych. Jeśli powieść pachółka krwawej międzynarodowej plutokracji, Piaseckiego, mogli bez szkody czytać tylko ludzie o twardych fundamentach moralnych, to powieść Wierzby nadaje się przede wszystkim dla ludzi nie posiadających żadnych moralnych założeń”. Wspaniała ta recenzja, wyróżniająca się przejrzystością myśli i uczciwością sądów, bardzo się podobała Markowi, więc wyuczył się jej na pamięć.

Uroczystość wręczania nagrody Antoniemu Wierzbie była wspaniała. W wielkiej sali galowej Związku Zachodniego zebrała się elita Poznania. Z Łodzi przyjechał delegat Związku Pisarzy. Byli kores-

pondenci wiem pism. Przybyli nałani ważnością swych stanowisk redaktorzy Moskaluk i Moskiewski. Było kilku przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zjawilo się sporo pisarzy, chociaż wyprzedzili ich — jako element łatwo zapalny — poeci demokratyczni: lekka kawaleria literatury. Był nawet sam... Enkawudejsza.

Marka to wszystko bardzo mało interesowało. Uważnie obserwował otoczenie i starał się wywnioskować: dadzą forszę czy nie? Leciwały mu mimo uszu słowa uroczystych przemówień na jego cześć. Obojętnie przyjmował pełne złości, zawiści i ukrytych uszczypliwości gratulacje kolegów po piórze, i z niepokojem czekał: kiedy dadzą pieniądze. Wreszcie wręczono mu plik banknotów.

—Dobrze obliczone? — spytał diabeł.

—Naturalnie.

Mimo to Marek sprawdził. Coś mu tam nie zgadzało się. Przeliczył jeszcze raz i skonstatował:

—Brakuje 100 złotych.

—Nie może być.

—Proszę sprawdzić.

Przeliczono pieniądze. Rzeczywiście brakowało 100 złotych.

—Przeliczyłem się — powiedział sekretarz.

—Nie doliczył się obywatel — sprostował diabeł.

Po wręczeniu Markowi nagrody odbył się bankiet. Wygłoszono uroczyste mowy, w których podkreślano wielką rolę pisarzy w kształtowaniu nowych form życia demokratycznego. Enkawudejsza mówił przeszło godzinę. Mowę jego zdobiły wyrazy: sanacja, reakcja, zgniły intelektualizm, tendencje pseudonarodowe, czujność demokratyczna... Pisarze, szczególnie zaś poeci, z wielkim zainteresowaniem słuchali go i bali się nie tylko poruszyć, lecz nawet mrugać. Jedynie Marek pałaszował drugą już porcję gęsi i popijał „marcowym piwem”.

Gdy towarzystwo podpilo, zaczęto tańce. Ponieważ zarząd nie był przygotowany na tę ewentualność, więc orkiestrę musiano zaimprovizować. Kowal z „Kuźnicy” bębnił pięścią w stół; trębacz z „Odrodzenia” umiejętnie wysyłał sygnały demokratyczne w rurze od rosyjskiego samowaru. Orkiestrą tą z wielkim talentem dyrygował osobiście sam Enkawudejsza. Wykonywano tylko demokratyczne tańce: kozaka, triepaka, kamarińskiego. Ponieważ tancerzom zabrakło pań, więc poeci demokratyczni, odpowiednio się krygując, spełniali z talentem i szczególnym powodzeniem u wielu pisarzy demokratycznych role pańienek. Niektórzy wykazali w tym tak wielkie uzdolnienie i byli tak czarujący, że wyróżnił ich nawet delegat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To dla wielu z nich stało się początkiem błyskawicznej kariery dyplomatycznej.

W pewnej chwili Marek zbliżył się do Przylizusia, którego szczególnie cenił jako wielkiego twórcę demokratycznego.

—Chciałbym, obywatelu kolego, dowiedzieć się: jakie są przyjęte formy w społeczeństwie polskim, zaznaczam — nie postępowym — przy składaniu pannie propozycji małżeństwa.

—Hm... To zależy...

—Od czego?

—Kto, gdzie, kiedy, komu, w jakim celu, takową propozycję z siebie wyparowuje lub uwypukla.

—Ja, w domu, dzisiaj, paniencie, żeby się z nią ożenić.

—Ongiś stosowano taką metodę. Kawaler brał miotłę kwiatów i, w wyszukanych, dostatecznie głupich słowach, klęcząc, błagał ją o serce lub rękę, chociaż miał na myśli co innego. W razie gdy spostrzegł, że panna waha się, groził jej, że popełni samobójstwo i swą śmiercią obciąży jej sumienie. Teraz można zagrozić poważniejszymi konsekwencjami... zależnie od stopnia nieprawomyślności danej osoby. Bo prawomyślnych teraz prawie nie ma...

— A jakie może być „wyszukane” zdanie? Bo mnie, jako prozaikowi, nic pięknego do głowy nie przychodzi.

Przylizus uniósł wzrok ku sufitowi i drapał się po brzuchu, wydobywając z siebie natchnienie.

— Może obywatel zacząć tak: „O, dyktatorze mego, w radosnych zasiękach płomiennej miłości uwikłanego, serca! O, moja słodka, jak unrowska paczka, i wdzięczna, jak idea demokratyczna, sylfido...”

Marek z podziwem słuchał go, notował to w pamięci, jednocześnie zaś spoglądał zachłannie na duży bukiet kwiatów, zdobiący środek stołu biesiadnego.



Bankiet zakończono odśpiewaniem:

*Moskwa moja, strana moja! Ty samaja lubimaja. Moguczaja kipuczaja — Nikiem nie pobiedimaja!*  
Wszyscy śpiewali z zapalem wielkim. Szczególnie poeci. Jeden z nich mówił potem głośno, aby słyszał Enkawudejsza i delegat MBP:

— Co za cudna pieśń! Czy nie przypomina wam Mickiewicza: „O Litwo, ojczyzno moja!” Lecz jest nieskończenie lepsza i formą, i treścią od początku „Pana Tadeusza”.

Wszyscy rozeszli się w bardzo dobrych humorach, bo spostrzegli, że Enkawudejsza był zadowolony. Marek pośpiesznie szedł do domu z olbrzymim bukietem kwiatów, który, w zamęcie pożegnalnym, zwędził ze stołu. Otworzył drzwi do swego pokoju. Tam popluł na dłonie, przyglądał kudły na głowie i, rozgrzewany miłością oraz alkoholem, zapukał do pokoju Ryzówny.

— Proszę.

Marek wszedł, klapnął na kolana i, wyciągając przed siebie — jak tarczę! — olbrzymi bukiet kwiatów, jednym tchem wyrzucił:

— Kochana syfilido! Jesteś wdzięczna jak paczka unrowska, i/a słodka jak idea demokratyczna. Składam do twych stóp: swe serce, sławę pisarską, kwiaty i 10.000. W zamian za co proszę tylko o rękę. A jeśli nie, to uzyskam ją za pomocą Bezpieki, bo wiem z kim mam do czy...

Kwiaty kopnięte frunęły w górę, a Marek, trzaśnięty w mordę, opadł na ręce.

— Poszedł wont, durniu!

Diabeł co prędzej wyniósł się na czworakach do swego pokoju i tam zaczął płakać. Ryzówna, zirytowana, zamknęła drzwi na zasuwkę. Słyszała, jak z dala dolatuje beczenie Marka. Trwało to bardzo długo. Propozycja Marka początkowo ją zgniewała, lecz później — przypominając ją sobie — zaczęła się śmiać. Wreszcie otworzyła drzwi i świsnęła. Potem zawołała:

— Ej, tam, panie literacie, chodź no pan tu!

Marek, trąc palcami zaczerwienione oczy, ukazał się w pokoju Ryzówny.

—Czego pan tak się wygłupia? Powieść pan zdolny napisać, lecz nie potrafisz oświadczyć się!

—To nie ja... To Przyliżuś winien.

—Nie rozumiem.

—Zapytałem go, jako poety, który powinien umieć delikatnie wypowiadać delikatne uczucia, i on mi doradził.

—Ach, to tak! Więc proszę posłuchać mnie uważnie, gwiazdo polskiej, demokratycznej literatury. Mamy listopad 1945 roku. Proszę się zgłosić do mnie za rok i w sposób mniej poetycki wnieść propozycję małżeńską. Rok wystarczy mi na sprawdzenie pańskich uczuć. Do widzenia.

Marek długo nie spał. Przewracał się z boku na bok i kłął Przyliżusia. Nie cieszyła go już nawet uzyskana nagroda.

„Rok — myślał zakochany diabeł — jak to wytrzymać! A pierwszego maja kończy się termin mego pobytu w Polsce”.

Wreszcie Marek postanowił, że pierwszego maja nie połknie siódmej pigułki Lucyfera, mającej przemienić go w diabła i przetransportować do Piekła.

„Zostanę w Polsce i ożenię się z Ryzówną, a potem wyemigruję razem z nią do Rosji, aby odetchnąć wolnością i żyć w dobrobycie” — postanowił czuły diabeł i słodko usnął.

## ROZDZIAŁ XIII

### **Demokratyczne biuro porad literackich**

Praktyczny diabeł postanowił wykorzystać swą zdolność komponowania powieści i zaczął eksploatować ją na wielką skalę. 3 grudnia w pismach ukazało się następujące ogłoszenie:

**NIEBYWAŁA OKAZJA**

*Każdy może stać się wielkim pisarzem. DROGA DO SŁAWY OTWARTA. DEMOKRATYCZNE Biuro Porad Literackich laureata konkursu Związku Zachodniego, autora super arcydzieła hiper demokratycznego:*

*„Zwycięstwo idei”. Wykonuję: prędko, tanio, solidnie i fachowo plany utworów literackich, daję nowe tematy, nicuję i odświeżam stare. Członkom PPR — UB - MGB — ulgi*

**DYSKRECJA ZAPEWNIONA**

3 grudnia Marek rozpoczął urzędowanie w swym biurze. Ry-zówna mu pomagała. Czart z diabelską



szybkością narzucał szkice powieści i dyktował je dziewczynie, która przepisywała jego elaboraty na maszynie.

Diabeł z natchnionym wyrazem na plugawym pysku, drapiąc się to pod pachami, to po głowie, dyktował:

—Temat nr 37. Tytuł: „Kłeska Faszysty”. Osoby: on — przystojny szatyn, lat 35. Waga 70 kilo. Wzrost 170 cm. Wysportowany, elegancki. Wysłannik rządu londyńskiego w celu szerzenia nastrojów reakcyjnych w Polsce demokratycznej. Ona — platynowa blondynka, wysoka, dobrze zbudowana, cera morelowa, uszy jak muszelki, zęby jak perełki, usta jak wiśnie, oczy jak śliwy, piersi jak pomarańcze, paznokcie jak migdały...

—Czy nie dość tej owocarni?

—Przepraszam panią. Mój pegaz trochę się zagalopował.

W ciągu godziny narzucono plan akcji, założenia ideowe, charakterystyki postaci, spis i treść rozdziałów. Następnie powieść wciągnięto do katalogu. W tym momencie przy drzwiach brzęknął dzwonek i do „Energii” weszła elegancko ubrana pani, która u ronda kapelusza miała gęstą woalkę, szczelnie zakrywającą twarz.

—Czym mogę pani służyć?

—Chciałabym napisać ładną powieść. Właściwie mam najwspanialsze tematy, bo moje życie to wielki i piękny romans, ale gdy zaczynam pisać, to mi albo pomysły puchną, albo bohaterowie tak nieprzyzwoicie zachowują się, że wprost przykro!

—To zdarza się pisarzom o dużym temperamencie. My mamy wielki wybór konsekwentnie, matematycznie ułożonych planów powieści, z wyszczególnieniem rozdziałów, z twardą konstrukcją, która nie pozwala bohaterom robić, co im się podoba. To ułatwi ogromnie autorowi wykonanie całości. W jakiej cenie życzy sobie pani temat?

—Na cenie mi nie zależy. Chciałabym coś bardzo uczuciowego i jednocześnie ogromnie mądrego.

—Mądrych powieści nie ma. Są: ciekawe i nieciekawe. Najciekawsze są te, które pisali idioci o idiotach. Ja pani radzę wziąć „Miłość, wolność i obowiązek”. Albo „Pamiętnik aktywistki”. Sądzę, że ogromnym sukcesem będzie się cieszyć „Wampir z Bristolu”. Jest to historia biednej dziewczyny, która pracowała jako pokojówka w hotelu „Bristol” i została uwiedziona przez łódzkiego fabrykanta gumowych wyrobów higienicznych. Chciała popełnić samobójstwo, lecz... w ostatniej chwili... Tu rozpoczyna się wzruszająca część „ideowa”: poznaje pięknego młodzieńca, wroga sanacji i kapitalistów. Powieść kończy się zdemaskowaniem kapitalisty, który był agentem hitlerowskim, opanowaniem fabryki, w której on staje się dyrektorem. Ona zaś awansuje na kierownika hotelu „Bristol”.

Klientka wybrała temat nr 14, „Kwiaty demokracji”. Zapłaciła 5.000 złotych i spytała:

—Teraz mogę uważać się za wyłączną właścicielkę tematu?

—Naturalnie. Oddajemy pani wszystkie kopie i skreślamy ją z katalogu.

—A dlaczego państwo sami nie wykorzystujecie tematów?

—Brak czasu. Rozumie pani? Powieść trzeba pisać miesiąc. Przepisywać drugi miesiąc. Więc wolę sprzedawać tematy, których, przy mojej zdolności kompozycyjnej, mogę wykonać dziennie kilka. Mnie zależy jedynie na rozwoju literatury demokratycznej, kto to zaś wykona szczegółowo, jest obojętne.

Drugi klient przyszedł wieczorem. Miał na twarzy czarną maskę. Wybrał z katalogu „Kłeskę Faszysty”, zapłacił 3.000 złotych i ulotnił się. Następnego dnia sprzedano 5 tematów za 20.000 złotych. Marek ręce zacierał z zadowolenia i z... zimna.

—Proszę pani — zwrócił się diabeł do Ryżówny. — Ja tak strasznie marznę.

—Co zrobić... nie ma węgla... Niech pan poprosi w Komitecie o przydział węgla. Panu należy się.

—Owszem: należy się. Ale węgla nawet Województwo nie otrzymało. Starają się od kilku miesięcy na próżno. Musimy przede wszystkim zaopatrzyć w węgiel Rosję, aby odwdziżyć się jej za wybawienie od hitlerowców.

—Ładna historia!

—Ale to nie darmo... Płacą...

—Jeszcze jak! Wydobycie tony węgla kosztuje nas około 150 złotych, a sprzedajemy z dostawą do Tarnowskich Gór mniej jak za 50.

—Za to płacą też towarem: bawełną.  
—Abyśmy ją przerabiali na materiały, które potem zabierają.  
—To już zapłata za obronę nas od faszystów i reakcjonistów.  
—Ładna obrona: ludzie wieczorem boją się na ulicę wyjść, aby z obrońcą się nie spotkać.  
—Mnie nie ruszyli i nie ruszą. Więcej ucierpiałem od Polaków, jak od Rosjan.  
—Przyjdzie czas i na pana. Czytał pan o likwidacji 17 grup niełojalnych?  
—Czytałem.  
—Do której pan siebie zaliczył? Bo tam dla wszystkich jest miejsce.  
—Dla mnie nie ma. Diabłów nie wymieniono.  
—Tylko.  
—Ale naprawdę tu tak zimno, że nie mogę pracować.  
—Piekielne życie! — rzekła Ryzówna.  
—Tylko nie piekielne! Tylko nie piekielne! — oburzył się Marek. — Tam było ciepłutko. A czy nie można kupić węgla na wolnym rynku?  
—Można. Kosztuje 5000 tona.  
—Szalenie drogo!  
—W Warszawie 7000.  
Wreszcie zdecydowano, że kupią tonę węgla, bo dochody były duże i przedsiębiorstwo dobrze prosperowało.  
Nazajutrz przyszło do Marka trzech delegatów z Wojewódzkiej Rady Kultury i Sztuki.  
—Pan jest Antoni Wierzba?  
—Owszem. Obywatele w sprawie kupna tematów?  
—Nie. Zamierzamy przeprowadzić z panem wywiad dla pism.  
—Tysiąc złotych za każdą godzinę gadania — rzekł diabeł.  
Delegaci byli zdziwieni, bo przypuszczali, że laureat będzie zachwycony reklamą jego osoby i dzieła w prasie. Lecz, gdy okazało się, że laureat mówi poważnie, dali mu 1 000 złotych. Marek je schował, zapiął kieszeń agrafką, położył zegarek na stole i powiedział:  
— Zaczynajcie! Jeżeli godzina skończy się, to drugi tysiąc albo uprzejmie żegnam.  
Po zakończeniu wywiadu chciano sfotografować diabła, lecz za to zażądał 500 złotych. Musieli zapłacić i zrobili trzy zdjęcia... Laureat uśmiecha się do publiczności; laureat z mądrą miną pisze siedząc za biurkiem; laureat rozwalony w fotelu, z papierosem w ustach, snuje wspaniałe koncepcje wielkich dzieł.  
Delegaci wynieśli się. Marek z Ryzówną zabrali się do fabrykacji dalszych tematów literackich. Za dwie godziny jeden z delegatów wrócił.  
—Dziwna rzecz, panie Wierzbo! Na żadnej kliszy pan nie wyszedł. Jest wszystko w pokoju, każdy drobiazg, a pana nie ma. Chcę powtórzyć zdjęcia.  
—Pięćset złotych.  
Dano mu znów 500 złotych i sfotografowano kilkanaście razy, kilku aparatami. Lecz za dwie godziny przyszło pięciu fotografów z siedmiu aparatami i oświadczyło Markowi, że stoją wobec niespotykanej w dziejach fotografiki zagadki. Klisze doskonale utrwalają wszystko, prócz potrzebnej fotografującym postaci Antoniego Wierzby. Zamierzano sfotografować go po raz trzeci.  
— 500 — diabeł potarł duży palec prawej dłoni o wskazujący i otrzymał gotówkę.  
Jednak i teraz nic nie wyszło. Wówczas postanowiono zrobić z Marka portret. Diabeł zażądał po 1 000 złotych za każdą godzinę pozowania. Delegaci wyszli, obiecując wstąpić jutro wraz ze zdolnym portrecistą. W drodze do WRKiS prowadzili taką rozmowę.  
—Ale twardy typ!  
—Tak. Pierwszy raz takiego pismaka spotykam. Zwykle jak do takiego dudka przychodzi się, to aż się osmarcze z radości. Rączki zaciera, uśmiecha się. „A może kawci, papierosika?” Tylko go fotografuj, choć i do góry nogami. A zacznie gadać, to wypaple więcej jak w Bezpiece. A tego drania nic prócz forsy nie interesuje. I tak sprytnie urządza się, że nawet klisze go nie biorą. Celuje na portret, aby więcej zarobić za pozowanie.  
—Tak. To facet z zasadami.  
—Takiemu i Enkawudejsza nie da rady.

Lecz nie długo egzystowało wspianiałe „Demokratyczne Biuro Porad Literackich”. W połowie grudnia wezwano Marka do Sekretariatu WK PPR. Tym razem rozmawiano z nim słodziutko. Okazało się, że w związku z powieścią „Zwycięstwo idei”, zainteresowało się autorem Ministerstwo Ziem Odzyskanych i poleciło Województwu skorzystać z pomocy tak ideowego obywatela, który zna dobrze kwestię „zachodnią”. Po naradzie referentów Województwa z delegatami Związku Zachodniego, postanowiono zaproponować Wierzbie obcięcie Wydziału Nadzwyczajnego do Zwalczania Szabrownictwa. Opublikowano „Ostrzeżenie Wojewody Poznańskiego”, gdzie za uprawianie, nabywanie lub przechowywanie szabru, na mocy art. 161. Kod. Kar, zapowiedziano karę do lat dwóch, a przy zastosowaniu dekretu z dnia 30.X. 1944 o obronie Państwa — Dz.Ust. nr 10, poz. 50, kara mogła być zwiększona do lat pięciu.

Diabeł odbył kilka konferencji. Uzyskał pełnomocnictwo do dysponowania aparatem policyjnym i Bezpieką. Przyznano mu duży fundusz dyspozycyjny dla zorganizowania akcji. Dano auto i szofera. Marek zacierał ręce... już nie tylko z zimna, lecz i na myśl o tym, że wypłeni ostatecznie plagę szabrownictwa. Wieczorem zaś zajechał własnym autem do bramy domu, przy sklepie komisowym „Energia”. Bramę zamknął i szofera zwolnił do następnego dnia.

- Proszę pani — rzekł Marek do Ryzówny. — Musimy zlikwidować nasze biuro. Otrzymałem bardzo ważną misję społeczną i muszę energicznie zabrać się do roboty. Ach, jaka szkoda, że nie żyje mój kochany szef, pan Leon. On tak cudownie umiał planować różne akcje. Bo ja, właściwie, nadaję się tylko do planowania akcji powieściowych.

- Jaką misję pan otrzymał? Może znów ścigania reakcjonistów?

- Nie, proszę pani. Tym razem mam ścigać szabrowników.

- Funkcja wspianiała, bo biedni repatrianci ze wschodu przyjeżdżają do Ziemi... Obiecanej — szydyczko powiedziała dziewczyna — i znajdują tam mury tylko.

Marek z zapalem przeczytał jej „Ostrzeżenie Wojewody Poznańskiego”.

Bardzo pięknie to brzmi. Tylko...

Tylko co?

—Tylko jest malutka wada.

—Jaka?

—Ostrzeżenie trzeba było wydać przed rokiem, nie zaś teraz, gdy „gruby” szabur skończony i tylko nędzarze jeżdżą tam po szmaty, garnki i owoce.

—Ma pani rację. Jak to nie przyszło mi do głowy poprzednio? — Marek długo milczał, ale nagle trzasnął się pięścią w łeb i zawołał: — Proszę pani, a przecież można zabezpieczyć resztki nie wyszabrowanego mienia i zabrać się do odbierania tego, co było szabrowane poprzednio.

—Tego, co popłynęło za linię Curzona, pan nie wróci.

—Ale jest mnóstwo rzeczy tu.

—Jak pan się dowie: co pochodzi z szabru, co nie?

—Mam na to sposób.

—Jaki?

—Zaraz wytłumaczę to pani.

Diabeł poszedł do swego pokoju. Tam połknął 5 pigułek Lucyfera, z napisem: „Jasnowidzenie 55 dni”. Potem wrócił do pokoju Ryzówny.

—Więc jak pan tego dokona? — pytała dziewczyna. — Bo chodzi nie o wykrycie jednego, lecz mnóstwa przywłaszczeń cudzych rzeczy.

—Potrafię wykryć wszystkie przywłaszczenia. Mogę zaraz panią o tym przekonać. Na przykład: ta brązowa sukienka, którą pani ma na sobie, pochodzi z Trachenbergu. Obecnie nazywa się: Straburek. Należała do Bertie Schmidt, blondynki lat 19. Zszabrowana 17 maja bieżącego roku. Kupiła ją pani za 250 złotych od Matyldy Fipsztylkowej, zamieszkałej przy ulicy Wielkie Garbary nr 1001. Kupno odbyło się 9 lipca, o godzinie 2.30 przy Alei Marcinkowskiego nr 24, naprzeciw zakładu elektrotechnicznego „Wolta”, telefon nr 41-14. Poszła pani tam z polecenia brata, aby kupić 3 tastery. Kupiła je pani za 75 złotych.

Ryzówna zdumionymi oczami patrzyła na Marka, który mówił dalej.

—...Ma pani pod suknią seledynową koszulkę, zacerowaną na lewym boku, wyżej pasa, białymi nićmi.

—Pan i to widzi?!

—Widzę.

—Więc muszę wdziać palto.

—Nic nie pomoże. Ja i przez mury widzę.

—To niech się pan prędeży wynosi stąd do swego pokoju.

—Proszę pani, ja i stamtąd zobaczę wszystko, co zechcę. Na to pani nic nie poradzi.

—Ależ z pana świntuch!... I przez stół pan widzi?

—Tak. Na prawej stopie, w pantoflu, ma pani, przy dużym palcu, brązową plamę w kształcie fasoli.

—Drań z pana!... I nie ma jak pana się pozbyć... Swoją drogą to ciekawe. Zróbmy jeszcze jedną próbę. W sąsiednim domu, na parterze mieszkają dwaj milicjonierzy. Jeden kawaler. Drugi żonaty. Co robi kawaler, jeśli jest w domu?

—Dopiero co przyjechał z Griinbergu, obecnie: Zielona Góra. Przywiózł walizę szabru. Wyładowuje ją. Są tam: dwa żelazka elektryczne, kapa na łóżko, zepsute radio, męski garnitur...

—Dobrze, a co robi żonaty?

—Żonaty, żonaty... Nie mogę pani opowiedzieć.

—Aha! — zatriumfowała Ryzówna.

—Ja widzę, ale nie chcę opowiedzieć, bo on jest sam na sam z żoną. Ale jeśli pani koniecznie wymaga, to....

—Nic podobnego. Zabraniam panu mówić!

—A ten fotel, na którym ja siedzę, uszabrowano tu, w Poznaniu, przy ulicy Przemysłowej. A stół z ulicy Wały Jana. A tę półkę to już pani własnoręcznie uszabrowała.

—Leżała na gruzach zrujnowanego domu. Nie miała właściciela.

—Wiem. Lecz i to jest szaber.

—Z pana okropny typ!

—Przekonałem panią, że potrafię wykryć każdy szaber. Teraz chodzi o to tylko, jak to zorganizować, aby w krótkim czasie wszystkich szaber skonfiskować, a szabrowników ukarać.

— Tu trzeba zastosować strategię — powiedziała Ryzówna. Marek z zachwytem na nią spojrział.

—Mówi pani, jak sam kochany mój szef, pan Leon. Proszę pani, czy nie zgodziłaby się pani zostać moją sekretarką?

—Nie. Zaządają, żebym wstąpiła do PPR i podpisała przysięgę na wierność rządowi.

—Pani będzie moją prywatną sekretarką.

—Właściwie rzecz biorąc już nią jestem.

—Doskonale! Będę dzielił z panią po połowie wszystkie moje zyski. Pani zaś będzie opracowywała plany działania.

—Zgoda. Tylko proszę zastanowić się ściśle do moich wskazówek.

—Z rozkoszą!

—Przed wszystkim musi pan objechać autem całe miasto i zorientować się w tym: gdzie i jakie są ilości szabru. Drugie: trzeba zrobić wykaz domów i ulic — na których są uszabrowane rzeczy — w brulionie. A ja to przepiszę na maszynie. Potem trzeba zorganizować składy na zwózkę szabru. Następnie musimy stworzyć oddziały transportowe i zbrojne oddziały lotne do odbierania szabru w swoich rejonach. Potem trzeba — obok tej akcji — stworzyć dokładną kontrolę dróg komunikacyjnych do ochrony od wysoko postawionych szabrowników Ziem Odzyskanych. Uważam, że w ciągu dwóch do trzech tygodni ukończymy rozpracowanie akcji i przygotowanie do wprowadzenia jej w życie. Musimy działać systematycznie i zachować w tajemnicy wszystko, aż do chwili, w której rozpoczniemy właściwą akcję. Poproszę pana o dostarczenie mi jutro mapy ziemi lubuskiej i szczegółowego planu miasta Poznania. Jutro musi pan wezwać starostów ze wszystkich powiatów i polecić im zorganizowanie składów i środków transportowych. Tylko proszę nie ogłaszać im, w jakim celu to wszystko jest potrzebne. Za trzy dni zaczniemy objazd Ziem Odzyskanych dla zorientowania się w sytuacji. Pojedziemy przede wszystkim do Gorzowa, który stanowi centrum Ziem Odzyskanych.

—Cudownie! — zachwycał się Marek.

—Tylko poproszę pana nie patrzeć na mnie wprost, a trochę w bok — upomniała diabła Ryzówna.

—Słucham panią.

—Poza tym proszę ściśle wykonywać moje rozkazy i nie mądrzyć się.

Marek podrapał się w głowę.

—To trochę dziwne. Przecież ja panią zaangażowałem na sekretarza, a nie pani mnie. Ja jestem kierownikiem Wydziału Nadzwyczajnego do Zwalczania Szabrownictwa...

—Dureń pan jest. Beze mnie nic pan nie robi. Pan potrafi napisać dobrą powieść, bo ma pan poprzetręcane gwinty w mózgu. Ale dobrego planu działania pan nie ułoży, bo do tego potrzebne są zdolności wrodzone. Więc, albo pan będzie z uszanowaniem słuchał mnie, albo nie współpracuję z panem. Aby ochronić pańską idiotyczną ambicję, będę, naturalnie, udawała, że jestem tylko pańską sekretarką, lecz pracować będzie pan według moich wskazówek. Zgadza się pan albo nie?

—Ależ, naturalnie, że zgadzam się. Nie mogę nie zgodzić się, choćbym chciał.

—Uprzedzałam pana, żeby pan patrzył w bok.

—Przepraszam.

## ROZDZIAŁ XIV

### Wielka akcja

Prawie miesiąc trwały przygotowania do ataku na szaber. Marek i Ryzówna pracowali po 18 godzin na dobę. Czasem po kilka dni nie wychodzili z auta, objeżdżając miasta powiatowe, dając instrukcje, organizując lotne brygady likwidacyjne, tworząc komisje kontrolne.

Ziemie lubuską zaczęła oplatać misternie ułożona sieć likwidacyjna. Wyglądało to niewinnie, bo akcji nie rozpoczynano, tylko ją szykowano. Powoli z chaosu zaczął się wyłaniać konsekwentny plan, którego obejść nie potrafiłby nikt ze stanowiących ogniwa tego łańcucha funkcjonariuszy, bo znaleźliby się w kryminale.

W tygodniu, poprzedzającym akcję, Marek z Ryzówna objechali, po raz ostatni, wszystkie placówki likwidacyjne i zostawili odpowiedzialnym za wykonanie likwidacji osobom zalakowane koperty z nadrukiem: „Ściśle tajne. Otworzyć 17 stycznia, o godzinie 10 rano. Wykonać ściśle — pod odpowiedzialnością sądową”.

Tymczasem Ministerstwo Ziem Odzyskanych słało upomnienia do Województwa Poznańskiego, do Gorzowa i do Centralnego Urzędu Repatriacyjnego, z powodu bezczynności. Polski Związek Zachodni otrzymywał straszliwe wiadomości z terenu. Wynikało z nich, że szabrowano nie tylko opuszczone gospodarstwa, lecz nawet tych Polaków, którzy tam od dawna mieszkali. A po osza-browaniu — aby się pozbyć ofiar — wyrzucano ich za Odrę. Jedna z tych licznych spraw i sprawek musnęła nawet delikatnie prasę. W „Polsce Zachodniej” nr 2/24, z dnia 13 stycznia 1946 roku, ukazał się artykuł pt.: „Plan działania na Ziemach Odzyskanych”, w którym przemknął się taki fragment: „Należy pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy, jak np. na Opolszczyźnie, przyczynili się do wysiedlenia Polaków — autochtonów, dopuścili do skandalicznego ich obrabowania, co w konsekwencji przyczyniło się do tego, że wysiedleni ci Polacy na terenie Niemiec w okolicy Lipska utworzyli „ZWIĄZEK POLAKÓW, WYSIEDLONYCH Z POLSKI”.

Do nowo utworzonego ministerstwa jechały delegacje z Ziem Odzyskanych, błagając o obronę życia i resztek mienia. Repatrianci w panice rzucali się po szabrowanych terenach. Wielu rzucało wszystko i jechało do centralnej Polski. Szabrowano nie tylko domostwa, lecz i kościoły. Wiadomości o tym prasa nie podawała, aby się nie narazić. Tylko w „Polsce Zachodniej” — w kilka miesięcy później ukazała się ostrożna notatka o szabrownikach bezczeszczących kościoły, przypisująca to (zresztą bardzo politycznie) własnemu społeczeństwu. Nr z dnia 3 marca 1946 roku.

Jeśli nawet kościoły nie były bezpieczne od szabru, to cóż dopiero ludność. Szabrownicy wdzierali się do mieszkań, gwałcili nawet małe dziewczynki, zabierali wszystko, co się dało zabrać. Uprawdzali ostatnie bydło, bo czasem na 30 gospodarstw był tylko jeden koń. Były wioski z kilkuset osadników, nie posiadające ani jednego konia lub krowy.

Województwo wezwało Marka i zarzuciło mu bezczynność. Diabeł nieco się zdenerwował. Na konferencji, w dniu 9 stycznia, oświadczył:

— Szanowni obywatele! Problem jest ogromny. Mógłbym od razu po objęciu stanowiska zabrać się do pracy, lecz tylko spłoszyłbym szabrowników i akcja dałaby mały rezultat. Ja postanowiłem działać planowo. Postanowiłem zwalczyć nie tylko szabrownictwo, lecz i skutki poprzedniego szabru.

Pracując dniami i nocami zorganizowałem wielką akcję, która rozpocznie się 17 stycznia i — według mego planu — w ciągu siedmiu dni zlikwiduję szaber i jego owoce. Proszę bardzo o cierpliwość dla dobra sprawy. Daję wam niezłomne słowo honoru zawodowego i nałogowego pepeerowca, że akcja moja w ciągu tygodnia da taki rezultat, jakiego wszystkie akcje nie dały w ciągu roku. Przyspieszanie mnie do pracy utrudni ją i powikła. Uważam, że w bardzo krótkim okresie zrobiłem ogromną robotę, której skutki wnet zobaczycie.

Rzeczywiście, robota wykonana przez Marka i Ryzównę była kolosalna. Teraz wykańczano jej detale. Wreszcie nadszedł wiekopomny (w historii administracji województwa poznańskiego) dzień 17 stycznia 1946 roku. W tysiącach miast i miasteczek ziemi lubuskiej i województwa poznańskiego, o godzinie 10 rano, otwierano naładowane arkuszami papieru koperty. Na pierwszym arkuszu były ściśle zarządzenia, na następnych wykazy osób i zszabrowanych przez nich rzeczy, które należało natychmiast odebrać, winowajców zaś — w razie oporu — aresztować: do dalszych rozporządzeń.

Zajrzyjmy, na przykład, do miasta Gubin, w którym Leon Ryż zorganizował w zeszłym roku wspaniałe przedsiębiorstwo eksploatacji pierza. 17 stycznia 1946 roku starosta wezwał do gabinetu referentów, naczelnika Milicji, kierownika UB, dowódcę żandarmerii, celników granicznych. Na ulicy stały uzbrojone „oddziały likwidacyjne”. Długi szereg ciężarowych aut czekał na pracę. Składy były gotowe na przyjęcie szabru.

Starosta wyjął z ogniotrwałej szafy pękatą kopertę. Spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta.

Otworzył kopertę i wyjął z niej kilkadziesiąt arkuszy, wypełnionych maszynowym pismem. Na pierwszym była instrukcja, nakazująca — pod surową odpowiedzialnością — ściśle jej wykonanie. Dalej szły spisy szabrowników i wykazy szabru. W miarę czytania twarz starosty napływała krwią. Ulżyło mu nieco, gdy zaczął czytać nazwiska i wykazy dalszych dygnitarzy miasta. Potem nastąpiły spisy pospolitych obywateli.

Po przeczytaniu wszystkiego na sali zapanowało milczenie. Trwało długo. Przerwał je starosta.

—Słyszeliście panowie rozkaz wyższych władz?

—Tak.

—Proszę natychmiast go wykonać! Ani jedna rzecz zszabrowana nie może minąć składu. Okazuje się, że władzom wiadomo wszystko.

—Nawet nocnik wspomnieli, którego wcale nie zszabrowałem, lecz wyciągnąłem z Nysy, bo płynął z prądem ku niemieckiemu brzegowi — rzekł kierownik wydziału aprowizacyjnego.

—Do składu!

I zaczęła się robota... Po ukończeniu jej magazyny były pełne zszabrowanych rzeczy, natomiast mieszkania opustoszały fatalnie.

Zostało w nich to, co było tam poprzednio lub stanowiło własność ze sobą przywiezioną.

Po zlikwidowaniu szabru, zaczęto zwozić do składów rzeczy znajdujące się bez nadzoru — przeważnie meble.

Instrukcja diabła głosiła:

§ 14. Wszystkie rzeczy zostawione bez dozoru zwieźć do składów i zabezpieczyć.

§ 15. Wyznaczyć komisję szacunkową i ocenić je.

§ 16. Osobom pracującym wydać za pokwitowaniem — do użytku — niezbędne komplety mebli i naczyń.

§ 17. Repatriantom i osobom czasowo nie mającym pracy wydać komplety mebli i naczyń na długoterminowe spłaty.

Dalej były szczegółowe zarządzenia, mające na celu zwalczanie band i prawdziwych szabrowników. Uwzględniono ochronę dróg, linii kolejowych i osiedli repatriantów. Instrukcja zawierała 50 paragrafów i ujęła całkowicie sprawę likwidacji szabru i ochrony ludności od szabru szabrowników w mundurach i z karabinami w rękach.

To odbywało się we wszystkich miastach ziemi lubuskiej, włączonej administracyjnie do województwa poznańskiego. Sam diabeł działał, wraz z Ryzówną, w Poznaniu. O godzinie 10 rano kolumny likwidacyjne ruszyły na miasto, które było podzielone na rejony. Niedługo potem ulice wyglądały tak, jakby całe miasto zamierzało jednocześnie — wraz z rzeczami — wyjechać. Z domów wynoszono meble, ubrania, naczynia i ładowano to wszystko na ciężarówki. Potem zwożono to do

dużych składów. Praca trwała bez przerwy pięć dni. Marek z Ryżówną, prawie bez wypoczynku, kontrolowali działania oddziałów likwidacyjnych.

Już w drugim dniu tej wielkiej akcji zaczęto szukać Marka. Województwo, Związek Zachodni, WKC PPR przerazili się wyglądem miasta. Lecz zarządzeń diabła cofnąć nie mogli. W szóstym dniu likwidacji w Województwie odbywała się wielka odprawa przedstawicieli wszystkich urzędów miasta. Obradowano na stojąco, bo drużyna likwidacyjna zabrała wszystkie krzesła i stoły, jako pochodzące z szabru. Okazało się, że drużyny likwidacyjne, oczyściły prawie wszystkie urzędy z biurowych przyrządów, maszyn do pisania, szaf, stołów, krzeseł. Mieszkania zaś dygnitarzy i urzędników były ogołoczone z ubrań, pościeli, aparatów radiowych, obrazów, porcelany, dywanów, kryształów.

—Do mnie, proszę ja państwa, zgłosili się w nocy i zabrali nawet kostium i puchową kołdrę — skarżył się kierownik wydziału owocowego.

—U mnie zostały gołe ściany i podłoga — irytował się naczelnik górskiego powietrza.

—To skandal!

—Gdzie jest ten wariat?

— Jak można polecać takim półgłówkom poważne sprawy?! Wtem drzwi na salę otworzyły się i ukazał się w nich Marek,

który zastał w domu kilka alarmujących wezwań. Przy jego wejściu na sali zapanowało milczenie. Na pysku diabła malowała się powaga i zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku. Wtem odezwał się do niego prezes SWKC PPR NOM.

—Czy obywatel nie uważa, że nieco niewłaściwie spełnia poleconą mu funkcję?

—Obywatelu prezesie, trudno w tak krótkim czasie całkowicie zlikwidować sprawę szabrownictwa. Lecz przypuszczam, że w ciągu miesiąca zniszczę ostatecznie tę straszną plagę, której nie mogliście zwalczyć w ciągu roku. Dla przykładu: obywatel ma na ręku złoty zegarek, który też pochodzi z szabru. To jest detal tylko. I właśnie na wykończenie takich detali potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Prezes dostał wypieków i zirytował się:

—Niech obywatel nie zapomina, z kim rozmawia! Zegarek jest kupiony i stanowi moją własność.

—Zegarek pochodzi z szabru. Kupił go obywatel 15 lipca zeszłego roku, na placu przed dworcem od dwóch bojców. Nazwiska ich są mi znane. Właściciel zegarka mieszka w Frauschtadt, obecnie: Wszowa. Jeśli obywatel sobie życzy, to mogę przeprowadzić dochodzenie, konfrontacje i sprawę ustalić. Tymczasem proszę oddać zegarek do składnicy biżuterii nr 19, przy ulicy Góralskiej.

—Obywatel jest wyznaczony jedynie do zwalczania szabrownictwa!

—Właśnie to robię. I sądzę, że wystarczy tych słów z „Ostrzeżenia Wojewody Poznańskiego”: „Ostrzegam tak samo wszystkich obywateli przed nabywaniem, przyjmowaniem przedmiotów pochodzących z szabru wzgl. od osób wojskowych lub Niemców przebywających na terenach polskich pod odpowiedzialnością karno-sądową...” aby zrozumieć, że kupowanie szabru też jest przestępstwem.

Do Marka zwrócił się kierownik wydziału czerwonej magii.

—Przede wszystkim swoimi dziwnymi metodami zwalczania szabru obywatel obrócił cały Poznań w rupieciarnię!

—To przelotne wrażenie. Rzeczy znajdą właścicieli, właściciele znajdą rzeczy. To, co bezpieczeństwa, będzie otoczone opieką i oszacowane, potem oddane do użytku potrzebującym. Pan, na przykład, ma w domu buty i trzewiki, chodzi zaś pan w szabrowanych pantoflach.

—Co za posądzenie!

—Mogę to udowodnić. Pantofle zszabrował pan własnoręcznie przy ulicy Jasnogórskiej, na Górczynie. Należą do Polaka, który obecnie mieszka w Kościanie.

—Nie zszabrowałem, lecz wzięłem to, co było porzucone.

—To właśnie jest szabur. Proszę oddać je do składu nr 293, jednocześnie zaś oddać do składu nr 67 kryształowy żyrandol. Meble zabrano panu wczoraj.

Sekretarz FCK PPRN zaczął wytykać Markowi nieogłędne postępowanie z Rosjanami. Marek zupełnie spokojnie odpowiedział mu:

— Wstrzymałem i zawróciłem jedynie te transporty kolejowe, które nie przeszły za anglo-ameryko-rosyjską linię lorda Curzona, znajdującą się w Polsce. Wstrzymałem tylko to, co pochodzi z terenów Polski i z ziemi lubuskiej. Na przykład: zatrzymałem siódmą część rozebranej przez Rosjan

hydroelektrowni w Krośnie nad Odrą, bo sześć siódmych zdążyło się znaleźć za liną Curzona, z czego nawet się cieszę, bo ponad wszystko na świecie Kocham Rosjan. Poza tym wstrzymałem rozbiórkę kilku fabryk, bo stwierdziłem, że chociaż maszyny w nich są pochodzenia niemieckiego, lecz zostały kupione jeszcze przed wojną, a nie zainstalowane przez hitlerowców. Tym samym odpadł pretekst do wywożenia ich z Polski. — Marek zrobił pauzę, potem położył dłoń na diabelskiej piersi i rzekł: — Szanowni towarzysze! Możecie być pewni, że sprawa jest w dobrych rękach. Obowiązek swój spełnię do końca i po miesiącu nikt nie potrafi nawet guzika uszabrować. A wszystko, co dotąd było zszabrowane, zostanie odebrane i ulokowane zgodnie z prawem. Obywatel, na przykład — diabeł się zwrócił do dygnitarza z Gorzowa — ma w sypialni, położone jeden na drugim 14 dywanów, w stołowym pokoju 8. Nawet kuchnia zasłana dywanami, bo nie było gdzie ich podziać. A co się dzieje po mieszkaniach różnych kacyków powiatowych ziemi lubuskiej! Można się przerazić... Mówią, że pierwsi przyszli, więc brali i znosili do siebie to, co było porzucone. Ale po co takiemu gościowi w mieszkaniu 25 dywanów albo 6000 wazonów kryształowych lub 90 serwisów porcelanowych? I potem tenże jegomość, zwalczając szaber, aresztuje i oddaje do sądu staruchę, która przyjechała z Poznania i wzięła ze zrujnowanego domu płytę i fajerki do pieca... bo gdy ją Niemcy wypędzili z miasta, szabrownicy poznańscy ogołocili jej domek i nawet płytę wyrwali z kuchni, bo to „porzucone”... Poprzednio zarzucono mi powolność w działaniu. Lecz to wynikało z potrzeby dobrego zorganizowania akcji. Teraz aparat mój działa prędko i niezawodnie. Niestety muszę opuścić szanowne zebranie, bo mam mnóstwo roboty. Co się tyczy rzeczy zszabrowanych, to można składać je indywidualnie w odpowiednich składach, których adresy są rozplakatowane w urzędach i na ulicach. Do widzenia.

Po wyjściu diabła z sali tłum dyrektorów, inspektorów, prezesów, referentów, sekretarzy trwał przez pewien czas w ponurym milczeniu. Potem wszyscy rozeszli się.

W domu nr 15, przy ulicy Słowackiego, tuż obok Domu Noclegowego Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej, w dniu 23 stycznia 1946 roku, odbyło się tajne zebranie NRNK. Ponieważ piętka i parter były zajęte przez specjalną placówkę NKGBZ zebranie odbyło się w piwnicy. Imiona uczestników zebrania są następujące: Gruby, Tłusty, Średni, Chudy, Szkielet.

Posiedzenie NRNK otworzył Gruby:

—Towarzyszom zapewne wiadomy jest cel naszego zebrania?

—Tak — padły cztery głosy.

—Chodzi właśnie o to, aby unieszkodliwić destrukcyjną działalność pisarza Antoniego Wierzby, któremu lekkomyślnie, bez należytego zbadania kwalifikacji oraz moralności, dano wielkie pełnomocnictwa jako kierownikowi Wydziału Nadzwyczajnego do Zwalczania Szabrownictwa.

—Po co to uczyniono? — spytał Średni.

—Uważano go za swojego. Miał wszystkie kwalifikacje ku temu. Bohater walki z hitleryzmem, zdobywca sztandaru jednego z najbardziej krwiożerczych pułków SS.

—Owszem — wtrącił Chudy. — Ale trzeba było pamiętać, że to pisarz. A pisarze są nieobliczalni. Przeważnie to histerycy i psychopaci.

—Niech się obywatel liczy ze słowami! — zaoponował prezes zebrania, Gruby, który wydał ongiś broszurę polityczną i z tej słusznej racji uważał siebie za wielkiego pisarza.

—Ja to nie pod waszym adresem.

—Powiedźcie mi — odezwał się Szkielet — po co było w ogóle tę hecę rozpoczynać?

—Jak to po co? — zdumiał się Gruby. — Względy polityki wewnętrznej. Miliony Polaków jadą na Ziemię Odzyskane, aby objąć gospodarstwa poniemieckie, w zamian za te, które porzucili na wschodzie. Przecież trzeba im wytłumaczyć, że tę ruinę, którą znajdują, spowodowali ich bracia, Polacy. Przecież nie możemy wskazać prawdziwych sprawców...

Odezwał się Chudy:

—Ale, towarzysze, odbiegacie od istoty sprawy. Chodzi o to, jak zapobiec na przyszłość skandalicznym historiom, jakich narobił ten pismak, Wierzba... Jesteśmy zupełnie skompromitowani. Władze tracą prestiż... Jak unieszkodliwić takiego typu?

Szkielet pociągnął dłonią po szyi i rzekł głucho:

—Normalnie.

—To się nie da. Sprawa stała się zbyt głośna. Sprzątnięcie takiego typu teraz może zwrócić na niego



uwagę całego społeczeństwa.

—A czy nie można utemperować go w sposób przyzwoity? — spytał Średni.

—Na przykład?

—Dać mu tę wspaniałą willę po Hauptmannie.

—Drapnięta.

—To jakąś inną, pięknie położoną willę. Niech tam siedzi i dłubie swe powieści. Jeśli zabraknie dywanów lub kryształów, to ja mogę dać trochę ze swoich. Tak samo i wy, obywatele.

—To na nic — rzekł Gruby. — Mam o nim dokładne informacje. Tego typu nic nie interesuje. Mieszka w ruderze. Śpi na polowym łóżku. Nakrywa się własnym paltem. Lubi tylko pieniądze i Rosjan.

—Że lubi pieniądze, to dobrze. A że kocha Rosjan, to całkiem źle. Pewnie chce zrobić wielką karierę. Głos zabrał Tłusty.

— Ja uważam, towarzysze, że trzeba działać od góry... Pojechać do Ministerstwa i uzyskać dla Wierzby inne stanowisko... Dać mu większą sumę pieniędzy i spławić stąd w sposób taktowny, a nawet przyjazny.

Po krótkiej dyskusji zaaprobowano ten plan. Gruby miał pojechać do Ministerstwa i wykorzystując swe wielkie stosunki, uzyskać dla Wierzby inne stanowisko. Tłusty tymczasem musiał wytrzasnąć większą sumę pieniędzy jako wyraz wdzięczności dla energicznego dyrektora od władz miejskich.

Zebranie zamknięto.

Nazajutrz rano Gruby służbowym autem pomknął w dal... Tam... gdzie, jak rubinowe zorze świecą, lśnią i barwią się niepodległe ministerstwa niepodległej Polski demokratycznej. Los wielkiej akcji diabła zawisł na włosku.

Tymczasem Marek, nie wiedząc o niebezpieczeństwie, które zagraża jego akcji, w dalszym ciągu z czarcim uporem likwidował potężny szaber. Sprawa szła tak dobrze, że z chaosu i zamętu wyłaniał się już twardy system ochrony ziemi lubuskiej. Diabeł i jego sekretarka mieli już nawet trochę czasu na wypoczynek. Dziś właśnie skończyli pracę o 7 wieczór i udali się do domu, aby wypocząć.

Ryżówna naparzała herbatę, Marek zaś kombinował, ile dni jeszcze będzie jasnowiedzący.

—Wie pani — rzekł po chwili. — Za parę dni ja będę tyle wiedział o szabrze, co i Ministerstwo Ziemi Odzyskanych.

—Dlaczego?

—Skończy się moje jasnowiedztwo.

—Bardzo się cieszę.

W tym momencie na ulicy, przed mieszkaniem Ryżówny, zatrzymało się auto i wkrótce potem zapukano do drzwi. Marek, polegając na swej ogromnej sile, śmiało otworzył drzwi. Do pokoju weszło trzech dobrze ubranych panów. Przedstawili się jako delegaci: Woj. KAZ, Związku Płynnego i SPPRU. Marek był nieco zdziwiony.

— O co obywatelom idzie?

Delegat Woj. KAZ wręczył Markowi nominację na stanowisko generalnego inspektora do spraw osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych.

— To mi się wcale nie podoba — rzekł Marek. — Przecież nie skończyłem zwalczania klęski szabrownictwa.

— Obywatel zrobił na tym polu tak dużo, że resztę <sup>113</sup> mogą dokończyć ludzie mniej zdolni.

Wystąpił drugi delegat. Wręczył diabłowi duży, pięknie wydrukowany arkusz pergaminu z imponującymi pieczęciami u dołu.

— Związek Płynny składa obywatelowi podziękowanie i wyrazy uznania za przeprowadzenie wspaniałej akcji zlikwidowania szabrownictwa.

Marek, wykrzywiając krytycznie pysk, przeczytał pompatyczną treść pisma i powiedział:

— Siedem błędów ortograficznych i jedenaście w interpunkcji. Poza tym mętne, rozwlekłe i niepoważne.

Wystąpił trzeci delegat. Otworzył przyniesioną ze sobą wali-zeczkę i wręczył ją Markowi:

—SPPRU przesyła towarzyszowi wraz z podziękowaniem za chlubny wynik oraz życzeniami powodzenia na nowym polu pracy milion złotych.

—Milion?!

—Tak.

—To brzmi o wiele piękniej, niż tamte gratulacje.

Marek postawił walizeczkę na stole i zaczął wyjmować z niej paczki banknotów. Układał je stosami. Delegaci chcieli wyjść. Marek poprosił ich, aby zostali. Powiedzieli, że nie mają czasu, bo muszą wkrótce być na zebraniu w Woj. KAZ. Udali się w kierunku wyjścia. Diabeł zagroził im drogę. Jednego wziął za krawat, drugiego za klapę marynarki, lekko ich wstrząsnął i oszołomionych posadził na krzesłach przy ścianie. Po chwili ulokował tam i trzeciego.

— U mnie takie kawały nie przechodzą! — rzekł Marek pouczająco. — Pieniądze trzeba liczyć. To nie szyszki w lesie.

I diabeł zaczął starannie i powoli liczyć milion. Układał paczki po 100 000 tysięcy. W ciągu trzech godzin przeliczył 99 paczek. Teraz kończył liczyć setną. Delegaci, znudzeni i zdenerwowani, w ponurym milczeniu siedzieli pod ścianą i bali się nawet poruszyć. Marek powoli doliczył setną paczkę. Potem triumfująco spojrzął na swych więźniów.

—Przeczuwałem, że zabraknie. Możecie sprawdzić.

—Ile brakuje?

—150 złotych.

—Przecież to drobiazg. Kasjer mógł się omylić.

— Miał być milion. Jeśli zabraknie nawet złotówki, to już nie ma miliona.

Delegat z Woj. KAZ sięgnął po portfel i dał Markowi 150 złotych.

— Teraz wszystko w porządku. Możecie odejść.

Delegat KC PPR chciał zabrać walizeczkę, lecz diabeł nie pozwolił.

— Obywatel zostawi w spokoju opakowanie miliona. Niech lepiej obywatel odniesie do składu nr 193 to palto z fokowym kołnierzem, w które obywatel się ubrał. Pochodzi z Grünbergu...

Lecz delegat KC PRU nie słuchając go wyszedł za drzwi. Stamtąd zaś powiedział:

— Teraz obywatela to nic nie obchodzi. Funkcja dyrektora kazała nisko się kłaniać! Fjut!

Delegat zrobił ukłon: głową, tułowiem i kapeluszem, a wolną, lewą ręką skinął w kierunku zawieszonoego na niebie, chorego od kilku dni na żółtaczkę, księżycy.

## ROZDZIAŁ XV

### Prezydent USA

Diabeł do każdej sprawy zabierał się poważnie. Przyzwyczyił się do tego w Piekło. Chcąc poznać kwestię osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych, zaczął zwiedzać placówki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Wydziały Osadnictwa (wojskowego i cywilnego), Samopomocy Chłopskiej, Związku Zachodniego. Witano go wszędzie bardzo niechętnie. Przede wszystkim był znany ze swej głupiej uczciwości i solidności w załatwianiu spraw. Poza tym każda taka placówka — natychmiast po przyjeździe na świat — przybierała kształt fortecy, gdzie każdy interesant był traktowany jak intruz, każdy zaś wglądający w działalność placówki był uważany za wroga osobistego całej załogi „fortecy”.

Jednocześnie Marek zaczął studiować prasę, starając się na podstawie jej zrozumieć nie znaną mu kwestię. Pisma, naturalnie, wynosiły pod niebiosą wspaniałą akcję władz. Lecz przemykały się i głosy odrębne. Na przykład: w „Głosie Wielkopolski”, z piątku

23 listopada 1946 roku, znalazł taką informację o warunkach, w jakich odbywa się repatriacja... Była zatytułowana: „Powrót na Ojczyzny łono!”

...„Śnieg pierwszy spadł na polskie wsie i miasta, transporty repatriacyjne wloką się tygodniami zabierane z łaski za łapówki w dalszą drogę. Trzy tygodnie wyczekiwania w mieście rodzinnym, na dworcu, miejsce zdobyte w pociągu transportowym za łapówkę, siedem tygodni w drodze ze Złoczowa, Wilna czy Buczacza w odkrytych węglarkach, bez opału w deszcz nie deszcz po trzydzieści osiem do czterdziestu osób stłoczonych razem z bagażem, na słomie gnijącej od deszczu i gnoju razem z jadącym inwentarzem. Brudni z powodu braku łaźni i odwyszalni, znużeni śmiertelnie, zmarznięci, gdyż brak baraków lub hal wypoczynkowych (nie kącików na niby... na 20 osób). Zrozpaczony żołnierz zdemobilizowany w takim stanie znajdujący swoją rodzinę — na Boga! wołam, na trwozę! wołam, zbudźcie się władze, komitety, urzędy, obywatele! — wszak to bracia wasi Polacy jadą na zachód budować barykadę polską nad Odrą, z popielisk i zgliszcz wznosić nowe wsie i miasta, rozpalać dawny słowiański znicz nad Odrą”.

Po pewnym czasie diabeł zebrał górę materiałów w interesującej go sprawie i zwrócił się do Ryżówny:  
— Pani obecnie nie jest moją sekretarką, lecz chciałbym naradzić się z panią: jak się zabrać do mej nowej funkcji?

Marek dał dziewczynie zebrane przez niego materiały. Ryżówna uważnie zbadała wszystko, później rzekła:

—Jeśli pan zechce naprawdę uporządkować sprawy repatriacji i osadnictwa, to jestem pewna, że najpóźniej w miesiąc będzie pan w więzieniu. Pretekst do tego zawsze się znajdzie. Czy pan *życzy* sobie tego?

—Wcale nie.

—Ja też. Więc pomagać panu w tym nie będę... Musielibyśmy po prostu zacząć wojnę. A to zaszkodziłoby repatriantom, osadnikom i nam. Teraz pana usunięto ze stanowiska z podziękowaniem za piękną służbę i nawet dano nagrodę. A jeśli zacznie pan planowo zwalczać nadużycia przy repatriacji i osadnictwie, to w kilka dni znajdzie się pan w ulu albo wykończą pana jeszcze prędzej.

—I któż by w to uwierzył, że Polacy tak postępują z Polakami! Co za naród! — oburzał się diabeł, gdy wieczorem poszedł na film „Wołga—Wołga!”.

Z kina Marek udał się na dworzec. Miał tam już znajomych, w kolejowym „punkcie” PUR-u. Był to duży zestaw wagonów na bocznicę stacji. Diabeł przywitał się z drużyną i usiadł przy stoliku. Dano mu szklankę herbaty.

—Co słyhać nowego? — spytał czart.

—Stare dzieje... Dziś znowu przyszedł „wesoły” transport repatriantów z Wileńszczyzny. Nie wiem, co z nim począć.

—Nie wiadomo gdzie skierować?

—To też. Ale przywieźli sporo chorych. Ci, co zdrowi, 1 200 ludzi, są goli.

—Jakże to?

—Obrabowano ich koło Kutna, na bocznicę kolejowej. Niektórym nawet bieliznę odebrano. Rzeczy i ubrania nikt nie ma. Wielu poodmrażało ręce i nogi. Nikt nie ma: ani pieniędzy, ani ubrania, ani dokumentów, ani jedzenia. Jak ich wysłać dalej? I są w drodze już pięć tygodni.

—Trzeba opublikować to w gazetach.

—Żartuje pan... Przez nasz punkt przeszło kilka takich transportów. Meldowaliśmy władzom. Pisaliśmy do Centrali PUR-u w Łodzi i nic z tego. A przecież mało transportów przeszło zupełnie nie obrabowanych.

W trakcie tej rozmowy do wagonu weszło czterech ubranych w sportowe garnitury obcokrajowców. Byli to dwaj dziennikarze francuscy, jeden angielski i jeden amerykański. Towarzyszyli im i udzielali wszelkiej informacji kierownik PUR-u, kierownik Wydziału Informacyjnego z Województwa, zastępca kierownika Bezpieki, agent Wydziału Politycznego MBP w Łodzi. Ostatni trzej znali obce języki i reprezentowali prasę krajową wobec zagranicznych gości.

Kierownik PUR-u oprowadzał gości po pociągu, pokazując im świetlicę, czytelnię, dwie stołówki, kancelarię. Kierownik Wydziału Informacyjnego pokazywał gościom liczne barwne plakaty o zaludnieniu Ziemi Odzyskanych. Informował o tempie repatriacji, pokazywał dane statystyczne, dotyczące okazanej repatriantom pomocy. Szczególnie dobre wrażenie wywarł cykl fotografii „Budujemy nowe życie”. Stanowił dowód, jak dobrze jest roześmianym, wesołym, grającym na harmoniach repatriantom na nowych siedzibach.

Dziennikarze skwapliwie zapisywali wszystko. Fruwały kartki notesów, skrzypiały wieczne pióra. Informowano ich o pomocy okazywanej repatriantom przez Ministerstwo Ziemi Odzyskanych, o zaopatrzeniu z przydziałów UNRRY.

Jeden z dziennikarzy zainteresował się, co otrzymują dzieci w transportach repatriantów? Kierownik PUR-u poprowadził ich do wagonu prowiantowego. Zaczął pokazywać skrzynie skondensowanego mleka, biszkoptów, kakao, czekolady. W następnym wagonie był magazyn odzieżowy.

Kierownik Wydziału Informacyjnego objaśnił im piękną francuszczyznę:

— Ten ruchomy punkt jest tylko drobnym fragmentem akcji, jaką Państwo prowadzi, opiekując się repatriantami. Uważam, że są to najszczęśliwsi ludzie na świecie. Niektórych z nich nawet zawstydzają

tak wielka troska o ich byt.

W pewnej chwili jeden z dziennikarzy zwrócił się do Marka, siedzącego za stołem, przy stygnącej szklance herbaty.

—Pan pewnie repatriant?

—Nie — odparł Marek po francusku. — Ja, były żołnierz — obecnie bezrobotny.

Dziennikarz zwrócił się do kolegi:

— Proszę zobaczyć: jak pięknie są ubrani w Polsce bezrobotni. A jak wspaniale wygląda!

Wszyscy zainteresowali się Markiem. Znaleźli szarego człowieka, który mógł dokładnie ich poinformować. Mieli zupełnie wiarygodne źródło.

—Czy pan, jako bezrobotny, cierpi głód? — spytał go drugi dziennikarz.

—O głodzie mowy nie ma. Czasem choruję z przejedzenia — odparł Marek. — Gdy skończyłem swą robotę dano mi milion i podziękowano za pracę.

— O!

Dziennikarze byli widocznie zdumieni.

—Tak dużo!?

—Bo i robota, którą wykonałem, była wielka — mówił Marek. — Dano mi potem inną pracę, ale zamierzam odpocząć.

—Więc pan jest bezrobotny z przemęczenia?

—Tak.

—A jak u was idzie odbudowa?

—Panowie sami widzicie...

—Widzimy i podziwiamy! — rzekł Francuz. — Powiedz mi pan, czy wam nie przykro, że w waszym kraju tak dużo wojskowych rosyjskich?

—Mnie tylko przyjemnie — odparł diabeł. — Po pierwszym spotkaniu się z Rosjanami pokochałem ich na całe życie. Widzicie, panowie — Marek wyjął z bocznej kieszeni marynarki „Konstytucję Stalinowską” — czy można nie kochać takiego narodu, który ma najpiękniejszą na świecie „Konstytucję”?

Francuz pośpiesznie notował te słowa. Amerykanin spytał Marka:

—Jak prędko, przypuszcza pan, Polska potrafi odbudować swój kraj?

—Sama nieprędko. Lecz przy pomocy Związku Radzieckiego odbuduje i przebuduje wszystko i wszystkich w kilka lat.

—Czy pan, jako obywatel polski, ma dla siebie jakiegokolwiek specjalne życzenia na przyszłość?

—Najgorętszym moim życzeniem jest zamieszkać w Rosji. Lecz to niemożliwe.

—Dlaczego?

— Muszę pracować tu. Dziennikarz francuski wpadł w zachwyty:

— To są wielkie słowa, wielkiego patrioty polskiego! Kocha wspaniałą Rosję, lecz obowiązek narodowy każe mu pracować tu nad odbudową kraju. Zresztą nie dostrzegłem, aby tu było tak bardzo źle — dziennikarz wskazał dłonią na wagon. — A miernikiem dobrobytu są sklepy. Widzieliście, panowie, wystawy magazynów gastronomicznych. My w Paryżu zapomnieli o takim luksusie. A wygląd i słowa tego bezrobotnego, byłego żołnierza, czy nie określają najdokładniej sytuacji?

Dziennikarze, wraz z asystą honorową, wyszli z pociągu. W tym czasie na peronie nr 3 rozległy się krzyki. Jakaś kobieta biegła za bojcem i usiłowała odebrać mu walizę. Inni bojcy szli w pobliżu, aby poskromić ewentualne wtrącenie się cywilów.

—Co się dzieje? — spytał Amerykanin.

—Zwykła u nas rzecz — objaśnił przedstawiciel Bezpieki. — Żołnierz radziecki chce pomóc kobiecie nieść bardzo ciężką walizę, ona zaś uważa to za nadmiar uprzejmości. Publiczność do tego przyzwyczajona i nie zwracają uwagi.

Tego wieczora czterech dziennikarzy pisało, w dobrze ogrzanych

pokojach hotelu, dalszy ciąg swych wrażeń z pobytu w Polsce. Francuz pisał:

„...Mieliśmy możliwość zetknąć się i rozmawiać bez żadnych przeszkód z ludnością polską. Pewien był żołnierz, obecnie bezrobotny z powodu przemęczenia pracą nad odbudową Polski, oświadczył szczerze, że jest zachwycony sytuacją w Kraju. Twierdził, że pomoc Rosji dla Polski stanowi warunek prędkiej jej odbudowy. Gdy mówił o Rosjanach, to słowa jego brzmiały szczerym zachwytem i

miłością dla nich. Powiedział, że marzeniem jego jest mieszkać w Rosji, lecz jako patriota polski musi pracować dla swego Kraju...."

A Marek, po przyjeździe do domu, też zabrał się do pisania. Lecz nie była to korespondencja ani utwór literacki, tylko podanie do Ministerstwa Ziem Odzyskanych o zwolnienie go ze stanowiska generalnego inspektora do spraw osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych. Zaznaczył, że wskutek przepracowania i dawnej kontuzji, nie może odbywać większych podróży po Ziemiach Odzyskanych. Natomiast prosi o danie mu stanowiska nie wymagającego zbyt wielkiej pracy.

7 lutego 1946 roku był w karierze diabła dniem przełomowym. Dano mu tekę ministra, nowo utworzonego Ministerstwa USA. Skrót ten, rozszyfrowany, brzmi następująco: Ministerstwo Usuwania Słów Aatydemokratycznych. Poza tym podlegały mu: Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Wydział Propagandy oraz Wydział Pogłębiania Nastrojów Demokratycznych.

Ministerstwo zainstalowano w Warszawie, na Pradze, przy ulicy Kawęczyńskiej, naprzeciw fabryki chemicznej Społem, która — prawie wyłącznie produkowała farby. Ta okoliczność zadecydowała o wyborze miejsca na lokum dla Ministerstwa, które niewątpliwie będzie zużywało wielkie ilości farb do afiszów, plakatów i transparentów propagandowych.

Diabeł z wielkim zapalem zabrał się do dzieła — od fundamentów. Nareszcie miał robotę, która zupełnie odpowiadała jego zamiłowaniom. Przede wszystkim kazał wydrukować sobie piękne wizytówki:

PREZYDENT USA

Antoni Wierzba

A z drugiej strony:

Twórca „Zwycięstwa idei”.

Diabeł zaczął organizować departamenty, wydziały i sekcje, podległego mu ministerstwa. Praca szła dobrze, lecz było mu smutno bez Ryzówny. Ponieważ Marka cechowała wielka energia, więc postanowił nie zwlekać i natychmiast obdarzyć swój ideał wysokim stanowiskiem wiceministra. Wysłał do Województwa w Poznaniu szyfrowany telegram treści następującej:

POLECAM NATYCHMIAST PRZESŁAĆ RY-ŻÓWNE BRONISŁAWĘ KROPKA ZAMIESZKAŁĄ POZNAŃ ŚW. MARCINA ENERGIA KROPKA DO DYSPOZYCJI PREZYDENTA USA KROPKA MINISTER LITERAT I BOHATER WIERZBA KROPKA.

Po wysłaniu telegramu Marek zwołał konferencję dyrektorów departamentów i wygłosił do nich czterogodzinne przemówienie. Określił w nim taktykę działania, która polegała nie tylko na usuwaniu słów antydemokratycznych, lecz i na zastępowaniu ich słowami demokratycznymi.

—... Na przykład — mówił Wierzba. — Teraz wszędzie są napisy: „Wilno nasze!” Ktoś zwykle dodaje: „i Lwów”. Albo przeciwnie. Więc po gruntownym zamalowaniu takiego napisu, trzeba umieścić inny: „Wilno i Lwów nie plamią honoru Polski”. W ten sposób elementy reakcyjne będą zaskoczone, bo praca ich zacznie działać przeciw nim. Napisy skierowane przeciw Rosji. Na przykład: „Precz z moskałami! Niech żyje rząd polski w Londynie!” Trzeba przemienić na takie: „Precz z reakcyjnym rządem londyńskim! Niech żyje bratni naród rosyjski!”

—Obywatelu prezydencie! — zwrócił się do Marka jeden z nowo mianowanych dyrektorów. — Zauważyłem, że najoryginalniejsze i najdowcipniejsze napisy antydemokratyczne są w publicznych wygódkach. Pisane są przeważnie do rymu, niektóre zaś z wielkim talentem poetyckim. Poza tym są tam duże kolekcje antydemokratycznych ilustracji. Jeśli zastępować je innymi, państwowotwórczymi, to trzeba zatrudnić wielu ideowo natchnionych poetów demokratycznych i wiele tysięcy takich artystów malarzy i grafików.

Nie mamy tak dużego budżetu i gdzie w Polsce znaleźć tylu natchnionych demokratów? Jeśli tacy czasem się zjawiają, to rekwiruje ich MSZ na eksport.

Diabeł przybrał srogą minę.

—W miarę pogłębiania demokracji, natchnienie musi ogarnąć szerokie rzesze ludności. Zresztą skieruję tę sprawę do właściwych ministerstw, to znaczy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, które kieruje sprawami kultury polskiej. Tymczasem trzeba wszystkie wygódki w Polsce, z wewnątrz i z zewnątrz, dwa razy dziennie malować olejno na czerwony kolor. W ten sposób będziemy propagować bratnią, słowiańską barwę, przyzwyczajając do niej ludność i wytworzymy duży popyt na czerwoną farbę, co jest ważne dla Ministerstwa Przemysłu i

Handlu.

—Obawiam się, aby to nie wytworzyło fermentów wśród ludności — powiedział dyrektor Departamentu Dekoracyjnego. — Za czasów sanacji bielienie wygódek omal nie wywołało rewolucji i wojny domowej.

Diabeł ostro go skarcił:

— Obywatel zapomina, że czasy krwawej sanacji skończyły się. Mamy obecnie demokrację ludową, więc ludność nie ma nic do gadania. Każdy musi radośnie spełniać swój obowiązek demokratyczny i patriotycznie cieszyć się albo milczeć aprobująco. I to samo wam wszystkim radzę.

Tak zakończył swą mowę prezydent USA i pojechał otwierać wystawę fałszywych pieniędzy. Były tam wspaniałe eksponaty. Na przykład: w jednej z gablotek leżały obok siebie prawdziwe dolary i fałszywe... z tymi samymi numerami. I sam diabeł nie mógł odróżnić; które są oryginalne, które zaś sfalszowane. Olbrzymia sala prezentowała zdumionym oczom widzów niezwykle okazy wytworów geniusza ludzkiego: fałszywe czek, czek bez pokrycia, fałszywe weksle, nie dotrzymane umowy międzynarodowe i krajowe. Pośrodku tej wielkiej sali stała — jak choinka na Boże Narodzenie — lipa. A na jej gałęziach wisiały: buty z ceraty, ubrania z pokrzywy, bielizna ze szkła, kiełbasy ze słomy, cukierki z krochmalu, głowy cukru z wody...

Publiczność z zainteresowaniem oglądała wszystko i bardzo podziwiała. Na ścianach wisiało mnóstwo wykresów i plakatów. Na przykład:

**PIENIĄDZ JEST RZECZĄ WZGLĘDNĄ — DEMOKRACJA BEZWZGLĘDNĄ**

Bogato prezentował się dział literatury specjalnej, poświęconej fałszerstwu wszelkiego rodzaju i wszystkich czasów. Dział ten wymownie ilustrowały fałszywe monety złote i srebrne. Tuż były stosy kierenek z informacją, że sprzedawano je w 1918-19 roku w Moskwie, w Mar'inej Roszczie, na kilogramy. Były masowo produkowane — dla wsi przeważnie — dolary, sprzedawane w hurtowniach za cenę: 1 dolar prawdziwy — 20 fałszywych. Były edycje humorystyczne. Na przykład: carskie banknoty, na których, w miejscu, gdzie grożono karą za fałszerstwo, były nadruki: „Czymże nasze gorsze od waszych?”

Jednak najwięcej zainteresowania skupiała na sobie olbrzymia tablica, z umieszczonym na niej „Biuletynem kursu walut Moskiewskiego Banku Państwowego”. Biuletyn ten został podany w prasie dopiero 23 marca 1946 roku, w gazecie „Wolność”. Początek biuletynu był taki:

Dolary USA za 1           5,30r.

Funty szterlingi za 1       21,36r.

Zebrani przed tablicą warszawiacy starali się zrozumieć biuletyn.

—Więc jeśli buty w Moskwie kosztują 3000 rubli, to ile będą kosztowały w dolarach? — pytał jakiś młodzik.

—590 dolarów — odezwał się ktoś z tyłu.

—Biedni Amerykanie! Chyba boso chodzą — westchnęła jakaś staruszka.

—A na funty szterlingi, ile to wypada?

—190 funtów za parę butów.

—Oj, jej! Nieszczęśliwi Anglicy! Jak oni wytrzymują na swej wyspie?!

—Muszą wytrzymać! Gdzie się podzieją: dokoła woda... Reakjoniści dobrze wykombinowali, gdzie ich umieścić!

Niewątpliwie warszawiacy byli zachwyceni wystawą. Świadczy o tym chociażby ten fakt, że, nazajutrz po jej otwarciu — w ciągu jednej nocy — wszystkie gablotki zostały opróżnione.

15 lutego, rano, do sklepu komisowego „Energia”, weszło 2 agentów Bezpieki.

123

—Obywatelka jest Bronisława Ryzówna?! — raczej stwierdzili, niż zapytali.

—Tak.

—Prosimy na 5 minut do Urzędu Bezpieczeństwa. Kierownik chce z obywatelką osobiście pomówić.

—Dobrze. Zaraz.

Dziewczyna zaczęła pakować do waliz: bieliznę, ubrania, prowianty, pościel, obuwie...

—Po co obywatelka to wszystko bierze? Przecież tylko na 5 minut.

—Właśnie dlatego. Poza tym chcę mniej sprawić wam kłopotu ze sprzątnięciem mieszkania beze mnie. Lecz obawy Ryzówny były nieuzasadnione. W Bezpiece bardzo grzecznie spytano:

—Co obywatelka może nam powiedzieć o prezydencie USA?

—Jest to pan, który w Jałcie, zamiast tego, żeby przeprowadzić linię Curzona po Dnieprze albo Tamizie, albo Missisipi, przeprowadził ją po nie należącym do niego Bugu.

—Więcej nic?

—To dość dużo.

—Dobrze. Więc dzisiaj pošlemy obywatelkę do Gdyni.

—Po co?

—Nie wiem... Rozkaz ministra.

—A jak mój sklep?

—Zabezpieczymy. Jesteśmy Bezpieką.

Za kilka minut Ryzówna z czterema walizami, jechała specjalnym autem, pod eskortą 6 agentów Bezpieki, do Gdyni. Tam na nią czekał wypożyczony na podróż do Ameryki krążownik „Katiu-sza”. Dotychczas wszystko szło dobrze, lecz gdy Ryzównę wprowadzono na okręt, gdy posłyszała mowę załogi, zaczęła się awanturować:

—Gdzie wy chcecie mnie wieźć?

—Proszę się uspokoić. Pojedziemy do Ameryki.

—Znam waszą Amerykę! Nie pojedę!

—Obywatelkę zaprasza prezydent USA.

—A jakże! Potrzebna mu jestem!

Dziewczyna chciała zejść z krążownika, lecz nie pozwolono jej na to. Wówczas Ryzówna tak się zgniewała, że zaczęła wyrzucać marynarzy za burtę. Diabeł nie bez powodu miał respekt dla dziewczyny. Pewnie, intuicją piekielną wiedziony, wyczuł, że jest to typ, którego nie można lekceważyć.

Nie wiadomo czym by się skończyło zajście z Ryzówną, gdyby nie to, że wiadomość o jej buncie dostała się do Ministerstwa USA. Prezydent Wierzba zorientował się w pomyłce i natychmiast ruszył do Gdyni. Tam jak piorun wpadł do Bezpieki. Skrzyczał, kogo należy; użył kilkunastu antydemokratycznych wyrazów i zwolnił Ryzównę z opresji.

Nazajutrz rano z Gdyni wyruszyła piękna limuzyna. Wiozła Marka, Ryzównę i cztery jej walizy. Na skraju miasta stało kilkaset lekkich i ciężarowych aut, z transportów UNRRY dla Polski. Stały przez wiele miesięcy i nie zabezpieczone od niepogody niszczyły się coraz więcej. Plotka twierdziła, że rząd nie ma odwagi wziąć aut do użytku, bo „siła wyższa” nie pozwala. A „siła wyższa” nie zabiera aut do wyższych rejonów, bo sprawa nie przeszła jeszcze wszystkich wysokich instancji. Mnie chodzi tylko o to, że auta tamte posłużyły diabłowi do wykonania bardzo niekulturalnego czynu. Zatrzymał obok nich limuzynę i zaproponował Ryzównie wyjście na zewnątrz. Potem poprowadził dziewczynę w głąb lasu, do okrytych śniegiem wozów.

Ryzówna szła, oglądała auta i nie domyślała się zamiarów Marka. W pewnej chwili diabeł chwycił Ryzównę za ramię, skręcił je w dół, zacisnął głowę dziewczyny między kolanami i zaczął twardą, diabelską dłonią okładać ją niżej krzyża. Ryzówna próbowała się wyrwać, lecz głowa jej była uwięziona, jakby w imadle kowalskim. Zaczęła gryźć nogę diabła, lecz była twarda jak żelazo.

Marek pobił Ryzównę, a potem zwolnił. Następnie wyjął z bocznej kieszeni marynarki papier urzędowy. Dziewczyna spokojnie i krytycznie patrzyła na niego.

— To jest nominacja pani na wiceprezydenta USA. Ryzówna przeczytała nominację. Powiedziała Markowi skomplikowaną serię antydemokratycznych słów i zakończyła:

— A z pana jest diabeł rogaty!

Marek pomacał się po głowie. Rogów nie miał, bo w Piekle obcięto je dokładnie, na Ziemi zaś nie zdążył jeszcze tej ozdoby nabyć.

## ROZDZIAŁ XVI

### Wielki dzień wielkich Józefów



W miastach akcja malowania wygódek na czerwono dała wspaniałe rezultaty. Przyczyniła się do estetycznego wyglądu ulic i podniosła 1000-krotnie produkcję fabryki chemicznej Społem, przy ul. Kawęczyńskiej nr 9, położonej — przewidująco — naprzeciw Ministerstwa USA. Co prawda obywatele narzekali, że muszą chodzić w powalanych farbą ubraniach, bo toalety nigdy nie wysychają. Lecz był to drobiazg w stosunku do osiągnięć: literaturę, poezję i malarstwo reakcyjne zniszczono kategorycznie.

Ze wsią było trudniej poradzić. Chłopi odmówili malowania wygódek. Motywowali to brakiem pieniędzy na zakup farb. Wówczas zorganizowano powiatowe i gminne komitety „Czułości Antyreakcyjnej”, które utworzyły lotne brygady malarskie i rozporządzenie Ministerstwa wykonywały. Wówczas chłopi zaczęli protestować przez delegatów PSL i PP. Twierdzili, że byki nie wytrzymują nerwowo czerwonego koloru i wywracają, kopia i bodą kulturalne urzędnika. Jako element konserwatywny nie rozumiały doniosłej reformy diabła. Wtenczas wydano rozkaz budowania wygódek żelbetonowych lub metalowych. Rozwinęło to jeszcze więcej przemysł krajowy i przyczyniło się do estetycznego wyglądu wsi.

Antoni Wierzbę, jako ministra, swą energią i zdolnością organizacyjną zwrócił na siebie uwagę całego świata. Otrzymał kolekcje najwyższych odznaczeń wielu zaprzyjaźnionych państw i wiele dowodów uznania. To go zachęcało do coraz większej pomysłowości.

Pewnego razu dyrektor Departamentu Transparentowego poszedł po instrukcje do gabinetu ministra. Przedtem nim zapukał, zajrzał w szparę od klucza i zobaczył scenę, która nasunęła mu myśl, że ma halucynację... Groźny minister i reformator, bohater i literat, stał rakiem pośrodku pokoju i całował pantofle, stojącej przed nim, wiceministra. Dyrektor departamentu drapnął do swego gabinetu i zadzwonił na woźnego.

— Natychmiast przynieś mi dwa syfony wody sodowej!

Zamierzał wodą sodową splukać skutki wczorajszej odprawy w towarzystwie kilku innych dyrektorów. Na odprawie tej pili wódkę „Wolność”, palili papierosy „Wolność” — po 4 złote sztuka — grali w „oczko” kartami „Wolność” zapisywali rezultat ołówkarni „Wolność”, w zeszytach „Wolność”, dyskutowali nad artykułem o wolności w dzienniku „Wolność”, wreszcie śpiewali:

*Ja drugoj takoj strany nie znaju, Gdzie tak wolno dyszit czielowiek!*

„Co by mogło mi zaszkodzić?” — zastanawiał się dyrektor. Nagle zrozumiał: „Nadmiar wolności w Polsce!” Bo i mydło, którym rano umył się, miało nazwę „Wolność” i pigułki na regulację żołądka, których dwie połknął przed śniadaniem, nazywały się „Wolność”.

Lecz to, co zobaczył dyrektor w gabinecie ministra, nie wynikało z nadmiaru wolności i nie było halucynacją; było prawdą... Marek po raz drugi oświadczył się Ryzównie o jej rękę. Zrobił to teraz nie według recepty znakomitego poety demokratycznego, lecz po prostu powiedział:

— Panie wiceministrze! Ja już nie mogę wytrzymać. Proszę wyjść za mnie za mąż.

Potem klapnął na podłogę i zaczął obcałowywać jej pantofle. A Ryzówna na to:

— Panie prezydencie! Nie jestem głupia, abym tak prędko straciła dobrze płatną posadę. To pierwsze. Po drugie: powiedziałam, aby się pan do mnie zgłosił z tą propozycją za rok od tamtych mądrych oświadczeń. Wówczas zobaczę, czy pan na ten zaszczyt zasługuje.

Marek żałośnie patrzył na swego zastępcę. Miał dziś wyjechać na dwa tygodnie do Krakowa dla zorganizowania tam wielkiej sieci placówek USA i smutno mu było, że tak długo nie zobaczy Ryzówny, w której zakochał się — jak diabeł w suchej wierzbie.

— Obywatelu prezydencie! — rzekła Ryzówna. — Chcę zobaczyć te transparenty, afisze i plakaty, które obywatel bierze ze sobą do Krakowa.

— Doskonale! Chciałem o to prosić.

Prezydent i wiceprezydent USA poszli do olbrzymiej sali, w której zebrano wzory demokratycznych wypracowań wielu znakomych malarzy, poetów, pisarzy i publicystów. Większość prac była jej znana, lecz zatrzymała się przy marmurowej tablicy i ze zdumieniem przeczytała ją.

Niech żyje BRATERSTWO

NKWD i GESTAPO —

Utrwalone na WIEKI w marcu 1940 r.

w Krakowie

— Co pan do diabła wyrabia! Kpi pan z najwyższych czynników państwowych! Przecież teraz o



niczym innym nie piszemy, tylko o bestialstwach Gestapo. Przyznawanie się do braterstwa obecnie jest i niepopularne i niepolityczne!

— Nic nie rozumiem! — rzekł diabeł. — Przecież historia jest historią. Mam materiały, stwierdzające, że 18 oficerów NKWD i wybitni przedstawiciele Gestapo uzgodnili wówczas metody zwalczania polskiej reakcji.

Ryżówna tupnęła nogą.

— Milczeć, bo mordę zbiję i wyrzucę z ministerstwa! Tablice stłuc na drobne kawałki. Mnie zaś uprzedzać o wszystkich waszych mądrych projektach!

Marek, bardzo zasmucony i ze znacznie zmniejszonym materiałem „demokratycznym”, wyjechał do Krakowa.

Ranek 19 marca 1946 roku był mroźny i suchy. Niebo na wschodzie osnuła purpura. Minister Wierzbza dopiero wczoraj wrócił z Krakowa, bo — jako wielki dygnitarz — musiał wziąć udział w uroczystościach na cześć rozmaitych Józefów.

Diabeł obudził się późno. Przeciągnął się i powiedział — z przyzwyczajenia — kilka antydemokratycznych wyrazów. Natychmiast przerobił je na demokratyczne i, nie wyłażąc z łóżka, zaczął przeglądać prasę. Wziął do ręki „Ilustrowany Kurier Polski”, z dnia 3 marca 1946 r. nr 76. Przede wszystkim przeczytał informację pt.: „Wielka afera szabrownicza”.

*„LUBLIN (PAP-dr). W Lublinie wykryto milionową aferę szabrowniczą. Milicja skonfiskowała 6 wagonów maszyn i urządzeń technicznych, wyszabrowanych z Ziemi Zachodnich przez inż. Krawczyka”.*

„Znowu zaczęło się!” — pomyślał diabeł.

Następnie przeczytał artykuł o przyjeździe marszałka Józefa Tito i olbrzymich uroczystościach na jego cześć.

Ogromnie mu się podobał umieszczony w „Dzienniku Bałtyckim”, nr 74(291) z dnia 15 marca 1946 r., artykuł pod tytułem: „Niebezpieczny posiew.” Był to wywiad udzielony przez generalissimusa Stalina korespondentowi „Prawdy”. Następujące zdanie z tego wywiadu diabeł nawet zapisał w swym ministerialnym notesie — jako mające dawać mu natchnienie i pomysły w odpowiedzialnej pracy ministra USA.

*„Należy zaznaczyć, że p. Churchill i jego przyjaciele przypominają w tej sprawie w sposób zdumiewający Hitlera i jego przyjaciół”.*

*„Lecz narody przelewały krew w ciągu 5 lat okrutnej wojny, walcząc o wolność, nie zaś o to, żeby zastąpić panowanie Hitlerów panowaniem Churchillów.”*

*„Jak można, nie straciwszy zmysłów, określać to pokojowe dążenie ZSRR, jako „tendencje do ekspansji” naszego państwa?”*

*„Jak wiadomo w Anglii rządzi obecnie państwem jedna partia, Labour Party, inne zaś partie opozycyjne nie mogą brać udziału w rządzie. To nazywa p. Churchill prawdziwą demokracją. W Polsce, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii, na Węgrzech rządzi blok koalicyjny, złożony z 4 do 6 partii, przy czym opozycja, jeśli jest mniej lub więcej lojalna, ma zabezpieczone prawo udziału w rządzie. To nazywa p. Churchill totalizmem, tyranią i systemem policyjnym,,*

Szczególnie zachwyciło diabła zakończenie wspaniałego wywiadu:

*„... można z całą pewnością powiedzieć, że p. Churchill i jego przyjaciele będą tak samo bici, jak byli bici 26 lat temu”.*

Po przeczytaniu tego zakończenia diabeł przeszło godzinę tańczył, skakał i wywijał koziołki na łóżku. Ponieważ nie wiedział dokładnie: jak to „bicie” się odbywało, to z niewinną minką spytał potem — podstępnie — Ryżównę:

—Proszę pani! Kto i przez kogo był tak strasznie zbity 26 lat temu?

—26 lat wstecz?... Czyż pan nie wie?!... Polska sprawiła lanie Rosji. Rosjanie uciekali spod Warszawy bez opamiętania. Porzucali nie tylko to, co zrabowali, lecz nawet broń. Gnano by ich do Moskwy, ale Zachód nie pozwolił.

—Jakże to?

— Bardzo prosto: zmuszono Polskę do zawarcia pokoju i przyjęcia niekorzystnej linii granicznej.

Diabeł, zakłopotany, patrzył na Ryżównę i drapał się w głowę: „Na pewno było inaczej... Rosjanie gnali Polaków aż do Londynu. Zobaczyli: jaka tam nędza, więc zawrócili do domu.”

Marek był dzisiaj w doskonałym humorze. Otrzymał dwa najwyższe odznaczenia — z Tanganajki i Honolulu. Poza tym był zaproszony na uroczysty obchód święta Józefów w Belwederze. Ryżówna, jako wiceminister, była też zaproszona... Jechali wspaniałą limuzyną między gruzami Warszawy. Dziewczyna była smutna. Diabeł zastanawiał się — jak polepszyć jej humor? Wreszcie przypomniał sobie, że ma w probówce 6 pigułek Lucyfera, z napisem „Spełnienie 3 życzeń.” Wyjął ją i dał swej sympatii.

— Niech pani połknie to... Cudownie wpłynie na poprawienie nastroju.

Ryżówna wzięła pigułek. Wyglądała smacznie. Powąchała. Ponętnie pachniała. Połknęła ją.

— Rzeczywiście smaczna.

W Belwederze było sporo gości. Po niedawnym, sutym i dobrze zakropionym obiedzie, panował świetny nastrój... Jedna z sal była przeznaczona na urządzenie akademii. Pośpiesznie kończono jej dekorowanie na wzór demokratyczny. Po chwili otwarto drzwi i goście weszli na salę. W końcu jej była doraźnie zrobiona estrada, z której miał przemawiać słynny mówca PPR, towarzysz Kombinacja. Goście zajęli wspaniale udekorowany, prawie cały czerwony, od transparentów i chorągwi, pokój. Udekorowano go według projektu diabła. Śród zdobiących salę zdobycznych sztandarów znalazł się i ten, który Marek zaprezentował władzom w Sulechowie. Był, właściwie, najpiękniejszy ze wszystkich i diabeł dumnie na niego spoglądał i pokazywał Ryżównie.

Sala wypełniła się. W pierwszym szeregu krzesel siedzieli najwybitniejsi goście zagraniczni. Tamże — nieco z boku — usadowili się diabeł i dziewczyna. Dalsze rzędy zajęły mniej ważne osobki.

Akademia zaczęła się wysłaniem telegramu gratulacyjnego nieobecnemu solenizantowi i złożeniem życzeń demokratycznych obecnym. Potem odśpiewano w skupieniu:

*Jeśli zawtra wojna. Jeśli zawtra w pachod. Bud' siegodaya k pachodu gotów!*

Następnie wszedł na estradę wybitny mówca Polski, Kombinacja. Wyglądał niepozornie, nawet nieinteligentnie, lecz mówił świetnie. Zdruzgotał sanację, uderzył w hitleryzm i anglosasów, zmiądzzył emigrację i rząd londyński, i po tym — kontrastowo — przeszedł do cudów obecnego ustroju demokratycznego w Polsce.

Cisza zalegała salę. Było słycać nawet tykanie zegarków, różnych firm i pochodzenia, w kieszeniach wysokich osobek... Ryżówna nudziła się. Znała już na pamięć te przemówienia, więc wyprzedzała i w myśli kończyła każde, rozpoczęte przez mówcę, zdanie. Uwagę jej zwrócił, stojący za mównicą, oparty o ścianę, blejtram. Był to jakiś obraz albo portret, który dekoratorzy zdjęli ze ściany i nie zdążyli wynieść z sali. Był odwrócony płótnem do ściany.

— „Ciekawe: co to za obraz?” — pomyślała Ryżówna. Nagle — w oczach wszystkich — blejtram wykonał: w tył zwrot

i znów stanął przy ścianie. Obecni na sali zobaczyli malowany na cały wzrost, olejny portret marszałka Piłsudskiego. Jeszcze większa cisza ogarnęła salę i tylko słowa mówcy ją szarpały:

— ...Dla pełni naszego szczęścia w tym uroczystym dniu, brak nam tu tylko jednego Józefa... — mówił Kombinacja.

„Jeśliby był tu ten, którego naprawdę w Belwederze brakuje, to byś tu nie gadał!” — pomyślała Ryżówna. — „Chciałabym zobaczyć: jak by nas przywitał!”

Nagle portret marszałka poruszył się i wyszedł z ramy. Zbliżył się ku mówcy, który porwany potokiem krasomówstwa nic nie dostrzegł. Jeden krótki ruch. Na sali rozbrzmiało głośne plaśnięcie. Wielki mówca Kombinacja klapnął na podłogę. Portret zaś powiedział jeden tylko, bardzo antydemokratyczny wyraz, określający krótko gatunek zebranych. Potem wrócił na swe miejsce. Wyniosły, spokojny, trwał nadal w ramach, w które zakuł go talent artysty, a z których na krótko wyzwolił kaprys Polki i moc pigułki Lucyfera.

Wielki mówca Kombinacja porwał się na nogi. Podjął urwane w połowie zdanie i grzmiał dalej.

„I to ciebie nie wzięło?!” — pomyślała Ryżówna. — „Zebyś pękł!”

Rozległ się potężny huk. Cały gmach drgnął. Wszyscy porwali się z miejsc i przerażeni patrzyli ku estradzie, nad którą unosiła się tylko mgielka.

Tak bezsensownie wykorzystana mądra Polka cudowną pigułek Lucyfera.

Akademii nie dokończono.

## Bomba atomowa

Wierzbą wyniosły, uroczysty, srogi, od stóp do głów udekorowany najwyższymi odznaczeniami, siedział w swym ministerialnym gabinecie i spoglądał na zegar. Była za kwadrans dziesiąta. Punktualnie o 10 miał zacząć audiencję... Tymczasem przeglądał dzienniki, bo musiał się orientować w tym, co się dzieje w kraju. Przenikliwemu oku diabła nie uszło nic. W „Głosie Wielkopolski”, z dnia 20 marca 1946 r., nr 78 (382), w rubryce: „Odpowiadamy czytelnikom”, znalazł taki fragment:

*„HARCERZ KUBIAK LEON — za pracę na żniwach w minionej jesieni należą się Wam słowa uznania... i według Ciebie, drogi harcerzu, również i paczki UNRRY. Czemu taki materialistyczny pogląd na fakt spełnienia obywatelskiego obowiązku... ”*

Diabeł postawił strzałkę naprzeciw nazwiska harcerza i napisał na marginesie: „Przekazać do demokratycznego załatwienia Państwowemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego — Wydział Polityczny.”

Następnie Marek rozwinął „Ilustrowany Kurier Polski”, z dnia 21 marca 1946 r., nr 78. Tu zwróciła jego uwagę krótka informacja:

*„ W Krakowie odbyła się zorganizowana przez studentów wszechnicy konferencja prasowa, na której premier Osóbka-Morawski przedstawił studentom możliwości dodatkowych zajęć, polepszających ich sytuację materialną... ”*

Tu pióro diabła skreśliło następującą uwagę: „Dowiedzieć się, co studentki — szczególnie ładne — myślą o dodatkowych zajęciach, mogących polepszyć ich sytuację materialną?”

W tymże numerze zainteresowała go następująca informacja:

*„Głównym tematem rozmowy z marszałkiem Tito w Warszawie jest wojsko gen. Andersa we Włoszech.”*

Tu diabeł napisał: „W 24 godziny wyjaśnić mi — dlaczego wojsko gen. Andersa niepokoi dwa potężne państwa, mające niezwykłych sojuszników?”

Mimo wielkiego sentymentu dla Związku Radzieckiego, Marek — jako minister polski — był zawsze przejęty troską o jej dobro. Nieraz się zastanawiał — chyba pod wpływem elementów reakcyjnych i swego wiceministra — czy oplaca się Polsce, na dłuższą metę, zależność od Rosji? Mimo woli myśl jego biegła ku Ameryce, która w rozgrywkach politycznych miała wspaniały atut: bombę atomową. Wiedział, że ludność polska — nienawidząca Rosjan ponad wszystko na świecie — marzy wciąż o wojnie i twierdzi, że wówczas bomba atomowa wyzwoli z ucisku 300.000.000 ludzi. Było mu to ogromnie przykre. Myślał nawet o tym, aby otworzyć własne laboratorium eksperymentalne dla wynalezienia polskiej bomby atomowej. Lecz nie miał na to czasu.

W prasie polskiej dość często ukazywały się przedruki z prasy rosyjskiej, w których pisano dyskretnie o tym, że uczeni radzieccy są na tropie i to w galopie wynalezienia bomby atomowej. Wiadomości te ukazywały się przeciętnie raz na miesiąc. W lutym ukazała się wiadomość, że Szwecja wynalazła bombę atomową. Diabeł zębami zgrzytał ze złości, że taka mała, burżuazyjna Szwecja dokonała tego, nad czym Rosja bezskutecznie trzyma się tyle czasu. Aż pewnego, radosnego dnia znalazł w prasie wspaniałą wiadomość: „Uczeni radzieccy, po wielu doświadczeniach, wynaleźli bombę atomową, działalność której jest siedmiokrotnie silniejsza od bomby amerykańskiej, która zniszczyła Hiroszimę. Bomba ta może być produkowana masowo.”

Marek był zachwycony. Z wielkiej radości skakał w swym gabinecie ministerialnym z podłogi na biurko, z biurka na parapet, z parapetu na szafę, z szafy na żyrandol.

— Teraz koniec Ameryce! — krzyczał Marek tak głośno, że z okien przeciwległej fabryki zaniepokojeni robotnicy wyglądali na dwór.

Lecz potwornej polskiej reakcji nawet ten fakt nie pognębił. Nazajutrz przedstawiono Markowi fotografie napisów, które przez noc się ukazały na parkanach i murach:

**OD RUSKIEJ BOMBY ATOMOWEJ CHRONI NOCNIK FAJANSOWY**

Ale Marek, który — jako minister USA — wiedział dobrze, że niemożliwością jest opanowanie w krótkim czasie 24000 000 rejonistów polskich, mało zwracał na to uwagi. Chodził promienny, szczęśliwy. Nawet myślał o tym, że trzeba będzie zażądać — dla obrony osobistej — choć tylko dwóch bomb. Jedną mogłaby stać na biurku w czasie audiencji. Drugą nosiłby w rękę — jak buławę marszałkowską.

Diabeł, w bardzo dobrym nastroju, pojechał na otwarcie Żłobka nr 3, przy ul. Nowogrodzkiej. Zdążył tam na zakończenie uroczystości — kiedy jedna ze szczęśliwych matek, z cudzym dzieckiem na ręku, stojąc na udekorowanej sztandarami trybunie przed portretami wodzów ludzkości — odczytywała hołdowniczy telegram do największego demokracji:

*„My, niemowlęta polskie, zgrupowane w Żłobku nr 3, w Warszawie, w dowód swej wdzięczności Tobie — Słońce ludzkości — przyrzekamy, za wyzwolenie nas z krwawej tyranii sanacyjnej i od polskich pacholków imperialisty-cznych, stać wiernie na straży ideałów demokratycznych, a póki wyrośniemy — będziemy podwójnie spełniać swe funkcje niemowlęce, aby odwdziżyć się Ci za te dobrodziejstwa, którymi naród polski otoczyłeś. ”*

Był to bardzo piękny i wzruszający widok.

Po zakończeniu matkom niemowląt rozdano hojne upominki, aby przez całe życie pamiętały o dzisiejszej uroczystości. Każda otrzymała po: 1/10 litra prawdziwego mleka, z napisem „Wolność” po bułeczce z piekarni „Wolność”, po 2 cukierki fabryki „Wolność”.

Diabła to, co widział, niezmiernie cieszyło.

A wieczorem tego dnia odbyło się uroczyste otwarcie Koła Przyjaźni Polsko-Radzieckiej nr 93 w gmachu Ministerstwa.

O godzinie 19 salę — pięknie udekorowaną — wypełnili przedstawiciele społeczeństwa organizacji politycznych, Bezpieki, milicji i wojsk radzieckich. Przede wszystkim, w imieniu Zarządu Głównego wszystkich Kół, wystąpił prezes Koła nr 39. Złożył on krótkie sprawozdanie z doniosłej działalności Kół. Było imponujące. Wynikało z niego, że wielka idea przyjaźni ze Związkiem Radzieckim ogarnęła cały świat. Lecz Polska — niewątpliwie — musi pobić w tym kierunku wszystkie rekordy. Okazało się, że nawet drobny oddział w Katowicach liczy 9 000 członków. Krótkie te sprawozdanie trwało dwie godziny. Potem wszyscy udali się do największej w stolicy sali „Roma”. Tam wygłoszono kilka odczytów, z których słuchacze — po raz tysięczny — się dowiedzieli, że wszystko, co Polska kiedykolwiek miała, ma albo mieć będzie, zawdzięczać może jedynie Rosji i jej wodzom, których za to musi zawsze kochać.

Uroczystość tę zakończył wspaniały koncert. Śpiewano pieśni rosyjskie. Występowali aktorzy rosyjscy. Grali muzycy radzieccy. Wyświetlono film radziecki... Nieświadomy rzeczy obywatel mógł pomyśleć, że to wszystko dzieje się w Rosji. Reakcjonista wywnioskowałby, złośliwie, że wszystkie te Koła, Towarzystwa, odczyty, filmy, zebrania, zjazdy, kontakty, konferencje, wystawy, kursy, gazety, tygodniki, miesięczniki, broszury, ulotki, książki, audycje, referaty, koncerty, wydawnictwa... urządzane pod hasłem „przyjaźń”, są najtańszym sposobem gloryfikowania Rosji. Ale takiego reakcjonistę diabeł Marek natychmiast by wykrył i capnął. Więc możemy spać spokojnie. Na straży miłości świata dla Rosji... czuwa władza!

Najciekawsze, niewątpliwie, było zakończenie imprezy. Na estradę wstąpił niepozornie wyglądający, lecz bardzo krępy i kościsty żołnierz radziecki w wojskowym mundurze. Konferansjer oznajmił uroczystość:

— Przedstawię szanownemu zebraniu fenomenalnego towarzysza, dawniej górnika-stachanowca, który pobił wszystkie rekordy wydajności pracy, a na froncie nie mniej wydajnie bił hitlerowców dla uwolnienia Polski ze szponów niemieckich. Towarzysz ten zaprodukuje wam siłę głosu, wobec którego bas Szalapina to tylko burżuazyjne kwilenie niemowlęcia. Prosimy, towarzyszu.

Bojce rozstawił szeroko nogi, potem krzyknął:

— Niech żyje Mikołaj Czwarty!

Uderzył niskim basem w zgłoszkę „ar” ostatniego słowa. Było wyraźnie słyhać, że szyby w oknach zadzwoniły, a wiszące lampki elektryczne zaczęły lekko się huścić.

Padły oklaski, lecz bojce uniósł dłoń w górę, na znak, że chce powtórzyć. Za drugim razem udało mu się jeszcze lepiej: szkła zadzwoniły wyraźnie, a żarówki długo huściły się na sznurach. Rozległy się oklaski i krzyki „brawo”! Bojca otoczyli dziennikarze. Oglądali go szczegółowo i z podziwem.

— Jak to towarzysz robi?!

Bojce pogardliwie obwiódł oczami otaczających go przedstawicieli prasy, uniósł w górę zżółkły od machorki palec i powiedział:

— Wieloletni trening!

W tym momencie Marek wstał z miejsca, w pierwszym szeregu krzeseł, gdzie siedział wraz z Ryzówną

i wielu dygnitarzami, podszedł do konferansjera i powiedział mu kilka słów. Tamten zaraz wbiegł na estradę, uspokoił salę i powiedział:

— Szanowni demokracy! Nasz zasłużony prezydent USA, któremu zawdzięczamy wspaniały rozwój naszych Towarzystw, na zakończenie chce powiedzieć kilka słów.

Diabeł wszedł powoli i majestatycznie na estradę. Stał. Obwiał oczami salę. Uniósł dłoń w górę i, z myślą o Lucyferze, kładąc nacisk na zgłoskę „ży”, krzyknął:

— Niech ży---

Szyby posypały się z okien. Lampki frunęły pod sufit. Portrety wodzów zleciały ze ścian. Pierwsze rzędy audytorium pęd powietrza wywrócił na podłogę i było widać fikające nogi... Entuzjazm ogarnął salę. Polacy zaczęli krzyczeć:

— Niech żyje prezydent USA!

Marek przyciskał dłonie do piersi i się kłaniał, kłaniał. Zebranie zaczęło rozchodzić się, lecz entuzjazm był tak wielki, że nawet idąc ulicami do domu warszawiacy krzyczeli:

— Niech żyje prezydent USA!

Przechodnie, którzy nie byli na zebraniu i nie wiedzieli, o co idzie, chętnie do nich się dołączyli. Krzyczeli: „Niech żyje Bewin!” „Niech żyje Anglia!” „Niech żyje rząd londyński!”

W pobliskich ulicach obudzili się od okrzyków nawet ci, co już spali. Zaczęto otwierać okna i lufciki.

— Może już się zaczyna? — spytał stolarz kolegę z izdebki, blacharza. — Warto by przygotować coś ciężkiego!

Lecz ani radio, ani prasa nazajutrz nie przyniosła warszawiakom nic miłego.

## ROZDZIAŁ XVIII

### Nocna rada 12 nocników

Jako bardzo znaczna osobistość na terenie „gruntowania” demokracji i zwalczania reakcji. Marek został zaproszony na ściśle tajne posiedzenie „Rady Dalekiego Planowania”. Zaproszenie dostarczono diabłowi poprzedniego dnia o godzinie 12 w nocy. Niosło go, pod ochroną plutonu wojsk MBP w żelaznej skrzyni, dwóch zamaskowanych kurierów. Oddali diabłowi skrzynię i wiązkę kluczy. Potem wzięli pokwitowanie i oddalili się. Po otwarciu żelaznej skrzyni, Marek znalazł w niej drugą, mniejszą... Dopiero w dwunastej — kasetce — leżała czerwona koperta z czarną trupią głową jako memento, zrozumiane każdemu. Miała na sobie dwanaście pieczęci. Wewnątrz było zaproszenie na jutro, o godzinie dwunastej w nocy, na nadzwyczajne zebranie.

Diabeł był bardzo przejęty zapowiedzianą naradą i niecierpliwie oczekiwał jej terminu.

W dużej, sklepionej sali, przy ulicy Koszykowej, odbyło się zebranie „Rady Dalekiego Planowania”. Gmach strzegł z powietrza zaprzyjaźniony superbombowiec typu DUP. Był mocno przywiązany na sznurku do lufcika otwartego okna jednego z pokojów — jak ratlerek do nogi stołu — i groźnie warcząc krążył nad kamienicą. Ulicami jeździły nieustannie hiperczołgi, typu GU, nastroszone armatami i karabinami maszynowymi. Ochrona ta dawała zebraniu poczucie względnego bezpieczeństwa od zamachu ze strony elementów sanacyjnych i reakcyjnych.

Punktualnie o godzinie 12 w nocy, za dwunastu fotelami z czarnego dębu, stało 12 demokratów. Wszyscy byli w czerwonych togach, pantoflach i kapturach na głowach. Każdy miał na piersi duży, czarny numer.

Diabeł, z pewnym zdziwieniem, patrzył na stojące na brzegu stołu 12 nocników. Lecz wkrótce dowiedział się, że mają spełniać bardzo ważną funkcję. Numer pierwszy zaczął mówić. Słowa jego krążyły w powietrzu jak nietoperze.

— Szanowni demokracy! Jestem przekonany, że reakcja, sanacja i międzynarodowa plutokracja, gdyby wiedzieli, że dziś odbędzie się tu zebranie filarów polskiej demokracji, toby zrobili wszystko, aby nam przeszkodzić. Budynek jest dobrze strzeżony. Z góry pilnuje go zaprzyjaźniona forteca powietrzna super DUP. Więc możemy mieć trochę pewności, że nie zaskoczy nas wraza akcja. Natomiast stratosfera jest wolna i stamtąd grozi nam akcja kapitalistyczna... Naturalnie, jako demokraci ludowi, jesteśmy nieustraszeni. Lecz ostrożność nie zawadzi... Podła reakcja w swych wypowiedziach na parkanach zdradziła sekret zabezpieczenia się od niszczycielskich skutków bomby atomowej. Zamierzali wykpić naszego sojusznika, lecz zdradzili jedyny sposób ochrony przeciw tej



groźnej broni... Jaki to sposób — wiemy wszyscy: „Od ruskiej bomby atomowej chroni nocnik fajansowy”.

Z tymi słowy mówca wziął za ucho ze stołu stojące naprzeciw niego naczynie i uroczyście wdział je na kaptur. Za jego przykładem poszli wszyscy. I wkrótce, za długim, dębowym stołem, w potężnie sklepionej sali, rozpoczęła się sesja „Rady Dalekiego Planowania”.

Przede wszystkim na porządku dziennym — raczej nocnym — dwanaście nocników postawiło kwestię zagrożenia ze strony polskiej reakcji zagranicznej. Uznano, że w danej chwili największe niebezpieczeństwo dla wszystkich zaprzyjaźnionych państw przedstawia armia Andersa we Włoszech, która, jeśli zechce, może zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie zaprzyjaźnione rządy w ogóle, a także i w szczególach. Głos dano w sprawie zaradzenia tej grozie, która zawisła nad losem kontynentu i 12 nocników, nocnikowi nr 12.

— Szanowni demokraci ludowi! — rozpoczął uroczyście nocnik. — Cóż znaczy dla 300.000.000 demokratów garstka 100.000 zmęczonych wojną żołnierzy 2 Korpusu? Uważam, że najłatwiej zwyciężyć ich po prostu bojkotem. Milczeć o nich w prasie, w radiu i pogrążyć w fali zapomnienia. Zauważyłem, że od czasu, gdy zaczęto w prasie demokratycznej pisać o drugim Korpusie, cały naród zaczął Korpus kochać, śpiewać o nim pieśni, a generał Anders stał się bohaterem narodowym. Taktykę taką uważam za błędną i proponuję całkowite zaprzestanie wymieniania gdziekolwiek nazwy: Drugi Korpus. Niech utoną w mgłę zapomnienia!

Wstał nocnik nr 11.

— Wielcy demokraci! Ja uważam, że najlepszą bronią jest oczernianie przeciwnika. Odsiedziałem 15 lat w różnych kryminalach za przekonania i czyny demokratyczne i zawsze, gdy zarzucano mi kradzież, na przykład, twierdziłem, że oskarżający mnie jest złodziejem. Uważam, że trzeba Korpus przedstawić opinii jako bandę kryminalistów, dowódcę jego jako zaginionego Hitlera. Można udowodnić to dokumentami, świadkami i fotografiami. Z początku może nas będą słuchali ze śmiechem, potem ze zdziwieniem, następnie ze znużeniem, potem zubożeniem, wreszcie przyzwyczajają się, w końcu uwierzą. To najlepsza droga do celu! Nocnik nr 10 powiedział:

— Kochani demokraci! Znam siebie i was, i dlatego uważam, że znam dobrze naturę ludzką. Najłatwiejsza droga do unieszkodliwienia przeciwnika to pogrążenie go w dobrobycie. Wyobraźcie sobie andersowca, który będzie miał 10 kufków. W jednym ubrania, w drugim bielizna, w trzecim jedwabie, w czwartym naczynia, w piątym pościel i tak dalej. Czy jemu zechce się zwalczać naszą piękną demokrację? Do walki zawsze gotów człowiek biedny, który nic nie ma do stracenia, wszystko zaś do zdobycia. Już jeden tylko dobry garnitur robi człowieka ostrożnym. A jeśli w kieszeniach tego garnituru zabręczą „kasztań”, to jest ostrożny jak lis. Ja proponuję przez naszych agentów osypać Korpus złotym deszczem. Ryczeć nieustannie w prasie o nędzy żołnierza i skąpstwie aliantów dla bohaterów. To — uważam — jest najlepsza droga do opanowania sytuacji i unieszkodliwienia wartości bojowej Korpusu.

Nocnik nr 9 rzekł:

— Wielce szanowni demokraci ludowi! Wszystko może Polak przezwyciężyć, lecz jest coś, czego Polak prawdziwy nigdy nie pokona... To tęsknota... Możemy łatwo zniszczyć cały Korpus. Większość jego ściągnąć do Kraju, resztę zaś zatruć nostalgią. Jest to najlepsza droga do celu. Trzeba tylko sprytnie zabrać się do pracy. Przede wszystkim trzeba do kin włoskich pchnąć dobrze opracowane psychologiczne filmy polskie, na których hoże dziewczęta będą śpiewały rzewne piosenki: „O mój rozmarynie...” „Wróc Jasieńku...” i tak dalej. Pokazać mu polskie łączki, chatki, lasy, strumyki, brzoźki, góry, górki i pagórki... Rzucić na rynek włoski tanio mnóstwo patefonów i płyt. Niech posłucha „Agnieszkę” i jak „Umówiłem się z nią na dziewiątą”. Żaden nie wytrzyma. Akcję tę łatwo rozpracować. Za skutek jej ręczę!... Trzeba zagrać na sentymencie, na sercu!

Gdy przyszła kolej na diabła, to powiedział:

— Jaśnie wielmożni demokraci! Jako doświadczony demokrat proponuję opanowanie Korpusu drogą spirytystyczną. To znaczy alkoholową. Człowiek, pozbawiony ojczyzny i tęskniący za nią, jest szczególnie chętny do kieliszka i szklaneczki. Proponuję — aby tę skłonność zwiększyć — rzucić na rynek włoski naukowe opracowania o pożyteczności alkoholu dla ciała i ducha. Poza tym wydać mnóstwo popularnych broszur o budowie aparatów samogonowych i pędzeniu bimbru z mąki, cukru, rodzynek. Jestem przekonany, że w dwa lata, po rozpoczęciu tej akcji, wszyscy tam przestaną myśleć

o polityce, kwestiach patriotycznych albo społecznych i zajmą się spirytualiami.

Po wypowiedzeniu się wszystkich, głos zabrał nocnik nr 1. Z początku długo stał. Z politowaniem spoglądał na 11 nocników. Wreszcie powiedział:

— Nie oczekiwałem nadmiaru rozumu od szanownego zebrania, ale żeby takie głupstwa pleść, to trzeba być nie doświadczonymi demokratami ludowymi, ale burżuazyjnymi ministrami państw kapitalistycznych. Wykazaliście dobitnie, że nie znacie ani historii, ani psychologii, ani polityki. Okazało się, że nie umiecie dobrze uplanować ani jednego posunięcia na większą skalę, które byłoby radykalne i wynikało z całości sytuacji. Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że jedynie my, prawdziwi demokraci ludowi, umiemy patrzeć na długą metę. Natomiast wszyscy inni politycy i dyplomaci świata starają się tylko o doraźne sukcesy... Otóż, czym jest Drugi Korpus? Na krótką metę... drobiazg. Na długą: potęga. Straszne dla nas jest istnienie Korpusu nie dlatego, że może rzucić się na Jugosławię albo przebić się do Polski. Straszny jest jego mit i sztandar. To obecnie jest radością, nadzieją i otuchą Polaków w Polsce. A w razie konfliktu stanie się piorunem. Sto tysięcy ludzi w sto dni stanie się potężną armią fanatyków... Tym właśnie jest Korpus dla nas. A czym jest dla aliantów, którzy patrzą na krótką metę? Kłopotliwym rekwizytem, który chętnie by złożyli do lamusa, ale... nie wypada. Rozumiecie? Zobowiązania. Sojusznicy... To ich krępuje wobec opinii publicznej teraz i... trochę mniej wobec historii, na przyszłość. Więc, chcąc usunąć Korpus z terenu gry, trzeba działać drogą łatwą i prostą: cudzymi rękami... Trzeba stworzyć motyw psychologiczny, wobec którego alianci nie będą się krępowali ze sprzymierzeńcami. Trzeba naszczyć opinię zagraniczną na Korpus.

Mówca zamilkł, obwiodł oczami 11 nocników i spytał:

— Czy wiecie, jaka jest najpotężniejsza broń?

— Bomba atomowa — odezwał się Marek.

— Głupstwo — rzekł nocnik nr 1. — Bomba atomowa może być straszna tylko w naszym posiadaniu.

— Przy tych słowach, mówca, w dowód prawdy swych słów, i jednocześnie, żeby się popisać odwagą, zdjął z kaptura nocnik i postawił go na stole. Potem mówił dalej: — Najpotężniejsza broń to krzyk. Mury Jerycha padły od wrzasku. Wrzask może człowieka zabić, zamęczyć, pozbawić możliwości rozumować, nie dać żyć... I w tym wypadku jest jedyną skuteczną bronią, bo — tu mówca uniósł palec w górę i zrobił drugą pauzę — zgadza się z życzeniami tych mężów stanu, którzy o losie Korpusu zadecydują. Bo zadecydują „przyparci do muru” przez opinię publiczną. Więc umyją rączki i Korpus, który powstał z niczego, stał się zaś potęgą militarną, potem i moralną dla kraju, zniknie z powierzchni ziemi... I to, czego nie dokonali faszyci i hitlerowcy bronią, dokonamy łatwo my, ludowi demokraci, krzykiem. Więc trzeba tylko krzyżeć, krzyżeć, krzyżeć. Trzeba oskarżyć Korpus o wszystko, co komu do głowy przyjdzie. O zamiary agresywne, o faszyzm, o bandytyzm, o spekulację, o brak moralności i religijności, o sprzeniewierzenie się Ojczyźnie. Trzeba o tym pisać wszędzie. Krzyżeć przez radio i na konferencjach... W Kraju to wytworzy tylko większą miłość do Korpusu. Ale my swój cel osiągniemy, bo obiekt miłości zniknie! — mówca przypieczętował te słowa ciosem pięści w stół. — Kampania ta właściwie jest rozpoczęta, ale musi przybrać na sile i stać się burzą!

Na drugim miejscu obrad Nocnej Rady Dalekiego Planowania postawiono sprawę likwidacji prasy polskiej zagranicą. Po omówieniu ważności tej kwestii, nr 1 usiadł. Głos zabrał nr 12.

— Jak mi wiadomo, za granicą wszystkich znaczniejszych polskich pisarzy i publicystów jest około stu. Więc, jeśli potrafimy zlikwidować stutysięczny Korpus, to czyż nie możemy zlikwidować stu krzykaczy?... Ja proponuję zlikwidować ich najprostszą drogą: fizycznie. Nie trzeba nawet wszystkich. Zniknie jeden, drugi, trzeci, innym zaś odechce się krzyżeć.

Mówca usiadł. Wstał nr 11.

— Uważam, że przeciw nim można zastosować tę samą metodę, jak i przeciw Korpusowi. Zacząć krzyżeć, że są to faszyci, hitlerowcy, komuniści, że zagrażają istnieniu każdej demokracji. Można wyciągać wszelkiego rodzaju oskarżenia osób pojedynczych i wszystkich razem. To na pewno odniesie skutek.

Nocnik nr 10 powiedział:

— Uważam za najlepszy sposób przeciąganie takich typów do naszego obozu. Wówczas będą nie tylko unieszkodliwieni, lecz i wykorzystani.

Numer 9 rzekł z patosem:

— Szanowne zgromadzenie! Jestem sam, mówiąc skromnie, największy pisarz wszechświatów i wszechczasów. Jeśli nie znalazłem uznania, jeśli oskarżono mnie o plagiaty, to tylko przez zawiść zawodową i niski poziom kultury sanacyjnej.

Numer pierwszy ostro przerwał mówcy:

— Nie mówi się: kultury sanacyjnej. Kultura jest jedna — tylko marksistowska. Reszta brak kultury!

— Bardzo przepraszam. Wtępsnęło mi się — tłumaczył się nr 9. — Więc sądząc według siebie, uważam, że każdy pisarz i publicysta ma jednego tylko boga: pieniądze! Więc trzeba roztoczyć przed pisarzami polskimi za granicą perspektywę wspaniałych możliwości zarobkowych w Polsce. Można zawierać z nimi kontrakty, drukować zaś — jeśli rzeczy nie są na demokratycznym poziomie — tylko egzemplarze autorskie i im posyłać. Po wydrukowaniu dwóch, trzech książek, każdy z nich jest nasz albo co najmniej unieszkodliwiony.

Nocnik nr 8, powiedział:

— O wiele taniej i... skuteczniej byłoby oddziaływać na ich próżność. Każdy pisarz uważa siebie za niedocenionego, niezrozumianego i jeśli zacząć drukować o nich entuzjastyczne recenzje, krytyki, całe broszury o wspaniałości tego lub owego bubka żółdnego, to gotów będzie na spadochronie tu wylądować albo zgoła na parasolu, aby tylko móc wchłaniać na miejscu słodki dymek demokratycznego kadzidła: „Ci dopiero na mnie poznali się!”

Nocnik 7 rzekł:

— Trzeba działać drogą kontrastów... Podniecać ich wariacką wyobraźnią. Bo, w gruncie rzeczy, to nie są tak głupie typy, jak wyglądają. Na byle jaką przynętę mogą nie pójść. Otóż trzeba tych pisarzy, których mamy już w kurniku, osypać godnościami, orderami, nagrodami, stanowiskami. Tłustszych z nich i pewniejszych, naturalnie, od czasu do czasu wypuszczać za granicę — na wabia. Aby nędza emigracji przekonała się: jak dobrze wygląda, lśni i ocieka sadłem pisarz demokratyczny. Jestem przekonany, że tamta hołota — jeśli się nie upokorzy i nie przyjedzie do rączek — z zawiści zacznie chorować, tracić na wadze, wpadać w melancholię. Wreszcie wszyscy obrócą się w cienie i w ogóle znikną.

Numer 6 powiedział:

— Moja metoda taka: nie zwracać uwagi na pisarzy emigracyjnych, lecz drukować w Polsce wszystkie ich utwory, które ze względów taktycznych można wydrukować. Czytelnik polski zobaczy, że jest cały komplecik jego wieszczów. W ten sposób przestanie liczyć na to, że tam ktoś walczy piórem o jego wyzwolenie i skapcanieje. Pisarz za granicą, widząc jak jego twórczość cenią w Polsce, na pewno nie wytrzyma, aby nie przyjechać po owoce moralne i materialne swych sukcesów.

Wstał Marek.

— Ja proponuję obsypać ich odznaczeniami, tytułami honorowymi, dyplomami, ale zrobić, co można, aby odgrodzić od pieniędzy. Bo jak taki typ dostanie gotówkę, to zaraz kupi willę albo założy przedsiębiorstwo pogrzebowe dla rodaków lub pojedzie na Honolulu hodować banany albo do Brazylii łapać motyle i będzie dalej nieuchwytny i szkodliwy.

Po wylądowaniu mądrych projektów ze wszystkich nocników, zabrał głos nr 1.

— Ze smutkiem stwierdzam, że i w tym wypadku nie popisaliście się wysokim ani głębokim, ani szerokim rozumem. Numer 12 zaproponował terror. Co wynika w tym wypadku z terroru? Sprząta się jakiegoś pismaka i robi się z niego bohatera narodowego, bohatera idei walki o wyzwolenie Polski od nas. Każde głupstwo, które nabazgrał, będzie wyolbrzymiane, analizowane, przypominane. A my wystawimy siebie w świetle tchórzów, bojących się głosu pojedynczych pismaków. Więc terror przerzucony za granicę, wywoła skutek przeciwny zamierzonemu. Co się tyczy wszystkich innych rad, to żadna z nich — pojedynczo — nie jest dobra, natomiast wszystkie razem, zastosowane w odpowiednim czasie, mogą spełnić dużą robotę. Przede wszystkim mamy do czynienia z grupą ludzi o różnych temperamentach, inteligencji, zdolnościach, przeżyciach, gustach, charakterach. Mogą być wśród nich tacy, którzy nie pójdą na żadną przynętę i na każdej poznają się. Więc trzeba działać z zewnątrz wszystkimi metodami. A — jako główną metodę — zastosować rozsądzanie od wewnątrz. Właściwie istnieje ono samo przez się, tylko trzeba je obserwować i podsycać, gdy będzie słabło. Chodzi o to, aby wysiłki pisarzy i publicystów emigracyjnych były rozproszone. Aby nie było wspólnych metod działania. A gdy takie metody powstaną — trzeba je druzgotać. Groźny może być dla nas tylko zgodny i zdecydowany obóz. Tymczasem na emigracji obserwujemy coraz więcej



rozpraszania się i wrogości wzajemnej. Pismo żre się z pismem. Publicysta z publicystą. Pisarz z pisarzem. Każda nowa placówka literacka jest zaciekle zwalczana przez nich samych. Każdy pisarz, mający powodzenie, jest uważany za wspólnego wroga. Więc: byczo jest! Z dumnych pisarzy zrobiła się psiarnia. I tylko podtrzymać to trochę i dojdzie do tego, co nam potrzebne: każdy będzie czuł się pokrzywdzony, zniechęcony, wreszcie, co zdolniejszy albo więcej ideowy, plunie i odejdzie. Część skapituluje, część umyje ręce i sprawa załatwiona — bez nas. Słowem: wszystko jest na dobrej drodze. I jeśli was pytałem o środki zamknięcia ich głosów, to tylko dlatego, że przypuszczałem, iż któryś z was błysnie jakimś pięknym pomysłem, lecz bardzo się zawiodłem. Ale mamy instytucję niezawodną: Bezpiekę. Wydział Zagraniczny trzyma rękę na pulsie emigracji, więc możemy spać spokojnie. Emigracja musi sama siebie wydusić. Resztę zaś załatwi Bezpieka.

Rada Dalekiego Planowania skończyła swe obrady o 4 rano. Nocnik nr 1 polecił nocnikowi nr 12 odwiązać sznurek u lufcika i zwolnić zaprzyjaźnioną fortecę powierzną super DUP. Bombowiec odleciał na wschód. Wydano rozkaz, aby zaprzyjaźnione hi-perczołgi, typu GU, przestały jeździć ulicami. I Warszawę ogarnęła cisza.

Bankiet odbył się w swoim kółku. Jako swój znalazł się na nim naturalnie i diabeł. Stół był umebłowany bateriami flaszek i suto udekorowany przekąskami. Zamiast kwiatów zdołały go piramidy rosyjskiego kawioru.

Towarzystwo, w liczbie dwunastu, stało grupkami i rozmawiało. Rzodkiew klarował Pomidorowi:

— Zobaczysz wkrótce towarzyszu, że w stosunku do mnie Dzierżyński to szczeniak... W trzy lata w Polsce reakcjonisty z mikroskopem nie znajdziecie!

Złotousty Pomidor krzywił się z niesmakiem. Wierzył jedynie w propagandę.

—Ja, towarzyszu, nie lubię środków drastycznych. Uważam, że wszystko można załatwić łagodnie, systematycznie, bez hałasu. Co towarzyszu na to? — Pomidor zwrócił się do stojącego obok niego, ponurego, zawsze milczącego, Bani.

—Hm... Zależy...

—Od czego?

—Od termometru.

—Nie rozumiem.

—Temperatura normalna: można działać normalnie. Podwyższona: trzeba lodu. Nie pomaga: operacja zaradzi.

Ogórek Terespolski rozmawiał z Ogórkiem Trockim. Jeden uważał się za wielkiego mówcę, drugi też. Więc mówili, nie słuchając się nawzajem. Popisywali się dialektyką i prawomyślnością, myślami zaś byli przy stole.

Diabeł rozmawiał z Kapustą, który wykladał mu tajemnice wyższej strategii. Do nich zbliżył się wyniosły, zawsze krytyczny Cebula. Przez chwilę słuchał, potem przerwał mowę Kapusty i zwrócił się do diabła.

—Jak towarzyszu zareagował na ostatnie napisy na parkanach i murach: „Przetrzymaliśmy okupację — wytrzymamy i demokrację!” ^

—Zastępuję je napisami: „Przetrzymaliśmy okupację — ugruntujemy demokrację!”

—Źle... Mętnie... Niezdecydowanie...

—A jak, towarzyszu?

—„Przetrzymaliśmy okupację — mamy demokrację!” Krótko, jasno, fakt dokonany.

—Zupełnie słusznie! Każę pozmienić.

Marek dziwił się, że zebrani nie siadają do tak ponętnie wyglądającego stołu. Czuł już głód. Ale czekał niedługo. Drzwi w końcu sali otworzyły się i wszedł ubrany po wojskowemu, lecz bez żadnych odznak, średniego wzrostu, wieku i tuszy, jegomość. Zapanowała cisza. Wojskowy stanął. Ogarnął znudzonym wzrokiem obecnych na sali i powiedział:

— Siadajcie!

Głos, chociaż był cichy, lecz brzmiał dla obecnych na sali osób, jak rozkaz. Więc wszyscy siedli. Gdzie kto stał. Ponieważ nie każdy był w pobliżu krzesła, więc większość siadła na podłodze. Marek stał, lecz widząc: co się dzieje, pośpiesznie usiadł i trafił na wyciągnięte nogi Pomidora, który syknął z bólu i powiedział złym szeptem diabłowi antydemokratyczny wyraz.

— Siadajcie do stołu! — skorygował sytuację wojskowy, którego nazwisko było Struś.

Po kilku obowiązujących, uroczystych toastach na cześć nieobecnych wodzów duchowych zebranego tu towarzystwa, pito dalej — jak kto chciał. Wszyscy, jako demokraci z zamiłowania, powołania, przeznaczenia i fachu, apetyty mieli bajeczne, więc trunki łąły się wzorowo. Jedynie: Bania, Cebula i Czosnek, którzy przeszli specjalną tresurę w obcych krajach, pili umiarkowanie i opiekuńczym okiem ogarniali biesiadników. Natomiast Marek rznął wódę herbacianą szklanką, czym, ku ogólnej zawiści, wprawił w zdumienie nawet Strusia. Wielki dygnitarz odezwał się do niego aprobująco:

—Obywatel chyba specjalny kurs chlania ukończył? Marek odpowiedział skromnie:

—Piję normalnie.

— Jestem ciekaw: jak u obywatela wygląda ekstra picie? Chodźcie tu! — dygnitarz odsunął nogą krzesło, wraz z usadowionym na nim Banią, i wskazał diabłowi miejsce obok siebie.

Było to nadzwyczajne wyróżnienie. I Marek, odprowadzany złymi i zawistnymi spojrzeniami wszystkich, usiadł obok Strusia, który też ssał wódę wzorowo.

Marek nalał trzy szklanki, ustawił je rzędem i wypił jedną za drugą — bez przerwy.

— Zdrowo! — rzekł z aprobatą Struś.

Kapusta aż zzieleniał ze złości, słysząc pochwałę Marka, z ust tak wysokiej persony. Więc — chcąc zmniejszyć sukces diabła powiedział: — To drobiazg. Ja znałem pewnego kapitana, który potrafił jednym tchem wypić pół szklanki spirytusu i natychmiast powiedzieć swe nazwisko.

Marek uśmiechnął się i rzekł:

—Ja wypiję całą szklankę i powiem swe nazwisko.

—Ciekawe?! — rzekł Struś.

Przyniesiono litr spirytusu. Diabeł był zły, bo dostrzegł ogólną zawiść towarzyszy z powodu wyróżnienia go przez Strusia. Więc zaproponował podstępnie:

— A może zrobimy tak. Niech każdy wypije na cześć największego demokracji świata chociaż ćwierć szklanki, ja zaś wypiję pełną szklankę.

Rozpoczął się popis. Pili wszyscy, bo musieli, wobec tak ważnej intencji. Niektórzy, po wypiciu spirytusu, tracili oddech. Wielu łyzy z oczu łąły się. Każdy spalił błony śluzowe gardła. Lecz nazwiska nikt nie mógł powiedzieć.

Wówczas Marek wygłosił uroczyste:

— Niech żyje największy demokracja! Wypił szklankę spirytusu i powiedział:

— Jestem Antoni Wierzba, pogromca hitlerowców i minister USA.

Było to rzeczywiście zdumiewające. Aby trochę zatuszować sukces Marka, sprytny, choć małowówny, Bania rzekł:

— Jemu łatwo powiedzieć swe nazwisko, bo je zna. A któż z nas pamięta swe nazwisko? Ja mam ich jedenaście.

Zacząto licytować się: kto ma więcej nazwisk. Okazało się, że jedynie Marek ma prawdziwe nazwisko. Nie mógł przecież biedny diabeł zdradzić się z tym, że i jego nazwisko jest fałszywe, bo wiedział: z kim ma do czynienia. I to się potwierdziło. Bo gdy spytano go: wiele ma nazwisk?... dostrzegł na sobie uważne, fachowe spojrzenie Rzodkwi. Więc odparł ze wstydem:

— Jedno.

Wywołał tym ogólny wybuch śmiechu i zawstydził się. Ale nie zaszkodził sobie w opinii Strusia, bo pił nadal tęgo.

Jak widać rozpoczęte współzawodnictwo zasmakowało biesiadnikom, bo zaczęli się popisywać latami odbytego więzienia. Okazało się, że najwięcej odsiedział niepozorny Ziółko, bo okrągło 15 lat. Wówczas Bania, nadęty i zły, powiedział:

— Ja, żebym odsiedział wszystko, na co zasłużyłem, to zebrałbym 50 lat.

Wtedy odezwał się Czosnek:

—Siedzieć nie sztuka. Sztuka nie siedzieć!

—A wy, kolego, ile odsiedzieliście w więzieniu? — zwrócił się Kapusta do Marka, do którego, ze względu na wyróżnienie go przez Strusia, poczuł nienawiść.

—Nic.

Ta odpowiedź znów wywołała wybuch śmiechu. Diabeł przeczekał go i powiedział:

—Ale ja siedziałem w Piekle.

—To trzeba udowodnić — rzekł przenikliwy Rzodkiew.

—Zaraz udowodnię.

Marek nalał na talerz spirytusu i zapalił go. Gdy talerz ogarnął błękitny płomień wsadził weń dłoń i trzymał.

—Drobiazg — rzekł zirytowany Kapusta i wsadził palec w płomień, obok dłoni Marka, lecz wnet go cofnął i ukrył w tłustej buzi.

—Jak to obywatel robi?! — rzekł z podziwem Struś.

—Mam w duszy ogień wiary w zwycięstwo demokracji i płomienną miłość dla Rosji, więc ogień dla mnie drobiazg.

Struś łaskawie poklepał diabła po barku i wszyscy zębami zgrzytnęli z zawiści.

—Wysoko drań pnie się! — rzekł szeptem Czosnek do Pomidora.

—Do czasu — rzekł Rzodkiew i zrobił oko do Cebuli. — Spławimy go, jak przyjdzie czas, razem z Mikołajczykiem.

Temat pobytu w więzieniach widocznie zasmakował towarzystwu albo był bliski sercu. Dobrze wstawiony Ogórek Terespolski zaproponował:

— A może przypomnimy sobie dawne, dobre czasy i zagramy w „salonowca”?

Projekt znalazł uznanie i towarzystwo wkrótce z zapalem zabrało się do gry. Bania usadowił się w fotelu. Reszta ciągnęła losy: kto ma być pierwszy ćwiczony? Zaszczyt ten przypadł Rzodkwi. Pochylił się i ukrył twarz w kolanach papy Bani. Jakoś nie było chętnych lać po kuprze groźnego dygnitarza. Wreszcie — jako stary kryminalista — machnął go Ziółko. Rzodkiew podniósł się, obwiódł oczami uformowane przed nim półkole i może by nie znalazł swego ojca chrzestnego, lecz dostrzegł informujący go „zez” oka w lewo Pomidora. Więc nieomylnie wskazał palcem Ziółkę, który musiał go zastąpić kryjąc twarz w kolanach Bani. Ponieważ Ziółko nie miał „konfidentów”, to dość długo był ćwiczony przez kolegów, póki zgadł, kto go uderzył. Był to właśnie Marek. Gdy diabeł położył się, to wiele rąk podniosło się jednocześnie, aby machnąć go po kuprze. Wyprzedził wszystkich Kapusta. Marek podniósł się, obwiódł oczami półkole i od razu wskazał palcem Kapustę. Wiedział, że w nim wzbudził — zyskując względy Strusia — największą antypatię.

Kapusta ani razu nie mógł zgadnąć, kto go wali. I to dziwne, bo przecież był wieloletnim kryminalistą. Wywołując wybuchy śmiechu wciąż mylił się. Najczęściej wskazywał Marka, lecz zawsze nie trafnie. Diabeł zaś, wykorzystując swą piekielną siłę, tak go walił, że Kapusta aż klękał.

Struś, wsparty rękami w boki, obserwował tę zabawę i śmiał się wesoło, co powodowało jeszcze większy zapal uczestników gry.

Zabawa trwała. Kurz leciał z portek Kapusty aż pod sufit. Było wesoło, przyjemnie i demokratycznie.

## ROZDZIAŁ XIX

### Dwaj prezydenci

Marek bardzo lubił objeżdżać służbowym autem różne dzielnice Polski. Nieraz spędzał w drodze po kilka dni, kontrolując działalność podległych mu placówek.

W połowie kwietnia diabeł ruszył w objazd na Śląsk. W Katowicach praca stała na wysokim poziomie, lecz w powiatach była zaniedbana. Marek, z właściwą mu energią i wytrzymałością zaprowadził wszędzie porządek. Nic się nie ukryło przed jego przenikliwym wzrokiem i dygnitarze powiatowi bali go się ogromnie. Lecz jeden z tych dygnitarzy dał mu nauczkę i diabeł zaczął ostrożniej prowadzić swą robotę.

Stało się to w Dąbrowie Górniczej. Marek, wieczorem, po pracowicie spędzonym dniu, wyszedł na miasto. Szedł spacerkiem ulicami, nasłuchując rozmów i obserwując wszystko dokoła. Było dość późno. Przechodnie zaczęli znikać z ulic.

W pewnej chwili Marek posłyszał z dala krzyki. Potem rozległy się strzały. Zobaczył pośpiesznie chowających się do bram ludzi. Spytał jednego z nich: co się dzieje?

— Zwykła rzecz. Pewnie ktoś z Bezpieki albo milicji upił się i chce pokazać, że jest władzą. Lepiej pan się schowaj.

Lecz Marek był odważny — jak diabeł. Więc zamiast schować się, śmiało poszedł naprzód. Naprzeciw niemu szedł jakiś jegomość w kapeluszu na bakier. Z dala krzyknął Markowi:

— Stój!

Diabeł szedł ku niemu. Wówczas jegomość ów zamalował go pięścią w zęby, następnie cofnął się i skierował w pierś Marka pistolet.

— Nie wiesz, bydlaku, że jestem prezydent! Dlaczego czapki nie zdjąłeś, kanalio! Nie masz poszanowania dla władzy! dla członka PPR!

— Ja też jestem członkiem PPR i też prezydentem — odparł

Marek.

Pijany, w odpowiedzi na to, kopnął Marka w brzuch i wystrzelił. Kula nie trafiła. Diabeł rzucił się na niego, obezwładnił i poniósł do Bezpieki. W drodze pijak awanturował się i krzyczał:

— Miasto jest wasze — co w mieście: moje! Wszystkich wybiję do nogi!

Cała załoga Bezpieki przeraziła się dostarczonym jej aresztowanym. Natychmiast zwolniono go i pijany prezydent znów ruszył na miasto. Z ulicy rozległy się strzały. Kierownik Bezpieki z groźną miną zbliżył się do Marka.

— Jak obywatel śmiał zatrzymać dzielnego pepeerowca i prezydenta!

I z miejsca wyrznął diabła pięścią w twarz. Marek wściekł się ze złości. Sprawił fantastyczne lanie całej załodze Bezpieki, potem wsadził pod nos kierownikowi urzędu — dbającego (jak sama nazwa wskazuje) o bezpieczeństwo publiczne — swą legitymację ministra. Skutek był wspaniały. Potężny władca miasta osłupiał z przerażenia. Mamrotał przeproszenia i drżał ze strachu. Marek zaś powiedział:

— Nie mam czasu teraz zrobić z wami porządku. Rozkazuję natychmiast ująć tamtego drania. Dać mu w skórę według normalnego zwyczaju. Zrobić protokół i dostarczyć mi do dalszego załatwienia!

Cały urząd z zapalem rzucił się ścigać awanturника. Pochwycono go wreszcie, rozbrojono i osadzono w areszcie. Nazajutrz Marek osobiście wysłuchał raportu kierownika UB. Odebrał protokoły zeznań, z którego wynikało, że awanturnik nie jest wcale prezydentem Dąbrowy Górniczej, lecz prezydentem Będzina. Kierownik UB był ogromnie oburzony zachowaniem się pijaka.

— Uważałem zawsze, że towarzysz Nowak nie powinien strzelać do ludzi na terenie cudzego miasta. Ale to taki zachłanny typ, któremu jego miasto nie wystarcza. Mówił, na swe usprawiedliwienie, że w Będzinie trudno kogoś upolować, bo jak tylko nadchodzi zmierzch, wszyscy siedzą zabarykadowani w domach i nawet światła boją się palić. Więc musiał odwiedzać cudze rejony.

Mimo tego usprawiedliwienia, Marek — którego bolał brzuch od kopnięcia — skierował sprawę do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej PPR w Katowicach z wnioskiem o ukaranie pijaka, który go uderzył, a nawet do niego strzelał, wykazując tym nieposzanowanie dla władz wyższych. Zamierzał nawet zażądać ukarania go grzywną na koszt leczenia ciężko rannych i pogrzeby zabitych jego ofiar, lecz po namyśle wniosek ten skreślił — aby nie dodawać otuchy elementom reakcyjnym i bezpartyjnej hołocie.

Diabeł dopiął swego. Potężnego dygnitarza wykluczono z partii i usunięto ze stanowiska. Tymczasem w dzienniku Mikołajczyka, „Gazeta Ludowa”, z dnia 9 kwietnia 1946 roku, nr 99, przemknęła się złośliwa informacja, którą starano się — co prawda oględnie i umiarkowanie — dyskredytować w opinii społeczeństwa PPR.

Podam z niej kilka fragmentów:

„Na jednej z ulic w Dąbrowie Górniczej doszło do strzelaniny, w wyniku której został ranny uczeń Szkoły Górniczej 17-letni Jan Machura, mieszkaniec Dąbrowy Górniczej.”

„W niedługim czasie po krwawym zajściu ten sam strzelający osobnik zaczął drugiego ucznia Szkoły Górniczej, Waleriana Marca z Józefowa, i dotkliwie go pobił.”

„W toku dochodzenia ustalono, że strzelaninę urządził prezydent miasta Będzina, Roman Nowak.”

Po paru dniach, po względnym uporządkowaniu Śląska, diabeł przerzucił się na Wybrzeże. Tu roboty było dużo. Reakcja, w osobach repatriantów ze wschodu Polski — szczególnie dziko nienawidzących Rosjan — była zachłanna i czynna. Marek energicznie zabrał się do paraliżowania jej działalności. Tworzył Towarzystwa i Koła Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Zorganizował mnóstwo brygad USA. Przemianowywał ulice i place miast — tak że powierzchowny obserwator mógłby przypuszczać (na tej podstawie), że jest w Rosji. Wreszcie wziął udział w uroczystości przekazania marynarce polskiej hojnego daru Związku Radzieckiego: 9 trawlerów, 12 ścigaczy i 2 kutry torpedowe.

Uroczystość ta była dla diabła pokrzepieniem po trudach odpowiedzialnej i wytężonej pracy. Gdy Marek później spacerował ulicami Gdyni, to podsłuchiwał taką rozmowę:

—Widziałeś: jaką flotyllę dali nam w prezencie „mochy”?

—Szczodry naród. Dają pancerne dywizje, okręty, budują nam lotniska, prezentują bombowce. Może wkrótce całą swoją armię oddadzą nam.

Nazajutrz Marka, jako znającego doskonale język rosyjski, zaproszono na zwiedzanie okrętu z Kanady, który szedł z ładunkiem, stanowiącym dar Kanady dla Rosji. Okręt był uszkodzony wskutek burzy na Bałtyku i zawinął do portu dla naprawy i przeładunku. Hojny dar Kanadyjczyków wprowadził w zdumienie Rosjan. Był to chropawy, pozwijany w wąskie rulony, papier. Jeden z marynarzy zwrócił się do Marka:

— Czort go wie, co to za papier! Pisać atramentem niemożliwe, bo rozlewa. Ołówkiem też nie można, bo się czepia za zmarszczki. Próbowaliśmy kręcić w nim cygarki i też się nie nadaje. Za rzadki. Nawet pośliniony dymu nie ciągnie.

Marek wziął jedną rolkę toaletowego papieru i rozwinął długą taśmę. Wiatr pochwyił ją — jak chorągiewkę.

— A wiecie co? — zaproponował Marek. — Jeśli wam to się nie nadaje, to przekazcie cały ładunek memu Ministerstwu do uszczelniania budynków Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jest miękki, taśmy długie, można nim cudownie szpachlować, zamiast pakul, szpary w ścianach.

I hojny dar higieniczny Kanady bez sprzeciwu przekazano jako zbędny i kłopotliwy balast ministrowi USA.

Wieczorem Marek w towarzystwie kilku dygnitarzy Wybrzeża poszedł do kina „Wolność” na premierę filmu z „Olimpiady” radzieckiej w Moskwie, na Czerwonym Placu. Diabeł był zachwycony filmem. Zobaczył na nim potęgę fizyczną poszczególnych republik radzieckich w ogóle i poszczególnych związków zawodowych moskiewskich w szczególności. Z tych szczególności najwięcej go zajęły i ujęły reprezentacje kobiece. Łasy i łany nagich kobiecych nóg i ramion przyprawiły go o zawroty głowy.

„Dlaczego mnie Lucyfer wysłał do Polski, nie zaś do tej wspaniałej Rosji? — po raz setny jęczał czart, ogarniając ognistym spojrzeniem dekoracje z kobiet, dywany, z rozłożonych na dywanie, zaścielającym Czerwony Plac, ciał kobiecych. Te łasy i łany wielogatunkowej i wielokalibrowej kobiecości przyprawiły go o zawrót głowy. W oczach mu ciemniało od kolorowych wystaw urody cielesnej. Tu dopiero reakcja mogła zobaczyć: jak rozkosznie, swobodnie i pięknie żyje w Rosji obywatel sowiecki, hasający beztrąsko w trykotach po Czerwonym Placu. Lecz na sali publiczność siedziała w milczeniu. Ani oznaki entuzjazmu. Gdy parada skończyła się, poszły dodatki: „Kronika ze świata.” Marek obojętnie już oglądał szare, nudne zdjęcia. Nagle rozległy się oklaski. Rozbrzmiały głosy: „Niech żyje!” Na ekranie ukazała się krępa postać Bewina.

„To podła reakcja!” — zgrzytnął zębami czart.

Po wyświetleniu filmów ekran usunięto i na estradę wszedł mówca, który obszernie zaczął wyjaśniać publiczności znaczenie dzisiejszej uroczystości w porcie. Panowało milczenie. Gdy mówca przeszedł do wyjaśnienia korzyści, jakie płyną dla Polski z przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, na sali zaczęto pokaszliwać. Kaszel wkrótce ogarnął całe audytorium i nic poza nim nie było słyhać. Mówca przerwał swe wynurzenia i czekał: kiedy sala uspokoi się. Potem powiedział:

— To bardzo niekulturalnie przeszkadzać mi mówić. Jeśli kto jest przeziębiony, powinien siedzieć w domu.

Na sali rozległ się śmiech. Ale wkrótce znów nastąpiła cisza. Mówca podjął przerwany wątek. Znowu rozległ się, z początku dyskretny, potem coraz mocniejszy kaszel. Mówca przerwał swą orację i patrzył na salę. Wszyscy ucichli. Wówczas mówca powiedział:

— Mam wrażenie, że przemawiałem do bydła!

W odpowiedzi sala wybuchnęła śmiechem. W końcu zawrócił i poszedł za kulisy. Wówczas rozległy się oklaski i krzyki: „Bis”!

Marek wychodził z kina razem z kierownikiem Bezpieki. W pewnej chwili powiedział do niego:

—Dużo trzeba będzie jeszcze czasu na zniszczenie reakcji!

—Drobiazg... Niech tylko dadzą rozkaz!

— Nie mogę zrozumieć — rzekł oburzony Marek — dlaczego ci zwariowani Polacy tak bezkrytycznie kochają Anglików, których nigdy na oczy nie widzieli i którzy sprawili im tyle zawodów, wściekle zaś nienawidzą tak miłych, hojnych, dobrych i uczynnych Rosjan. Przecież mieli dość czasu, żeby ich

poznać!

Naczelnik UB zdziwionym spojrzeniem ogarnął dygnitarza, od-kaszlnął i powiedział krótko:

— Właśnie.

## ROZDZIAŁ XX

### Wspaniała koniec wielkiego demokraty

15 Kwietnia 1946 roku, w Szczecinie, prezydent USA siedział rano w specjalnie dla niego przeznaczonych, pięknej willi i rzucał na papier natchnione hasła demokratyczne na dzień pierwszy maja, które „Głos Ludu” — zawczasu — dla orientacji ogółu obywateli — wydrukował w numerze 108(496), z dnia 18 kwietnia 1946 roku. Diabeł był bardzo zdolny, więc w godzinę rzucił na papier 40 haseł. Z braku miejsca przytoczę tylko pięć z nich, aby na zawsze świadczyły o wielkości tego demokraty ludowego.

WARA CHURCHILLOWI.

WARA NIEMCOWI OD GRANIC POLSKICH! MILIONY PROSTYCH LUDZI STOJĄ NA STRAŻY POKOJU!

CHWAŁA ARMII CZERWONEJ, WYZWOLICIELCE NARODÓW! NIECH ŻYJE BRATNI SOJUSZ POLSKO-RADZIECKI!

TRZY RAZY TAK — TO ZWYCIĘSTWO DEMOKRACJI POLSKIEJ — TO KŁĘSKA WSZYSTKICH CIEMNYCH SIŁ REAKCJI!

W SZEREGACH PSL-u DZIAŁA NSZ — PRECZ Z PROTEKTORAMI BANDYTÓW!

NIECH ŻYJE PPR — PARTIA BOJOWNIKÓW I BUDOWNICZYCH OJCZYZNY! WSTĘPUJCIE W SZEREGI PPR!

Marek skończył robotę i rozmarzony patrzył w okno, za którym kwitły klomby kwiatów. W pobliskich krzakach śpiewały słowiki. Diabeł szedł myślami ku Ryzównie, która stała się niepodzielną panią jego serca.

Polska wiosna potrafiła nawet czartowi serce ujarzmić! Ale nie na długo. Praktyczne myśli o obowiązku ministra wnet wyparły z głowy rzewne bzdury. Śpiew słowików za oknem zaczął go irytować. „Reakcyjne draństwo”! powiedział Marek głośno. Wziął granat, odbezpieczył go i rzucił w krzaki, gdzie słowiki śpiewały hymny na cześć wiosny. Rozległ się wybuch. Z krzaków poleciały liście. Słowiki umilkły. Minister zabrał się bez przeszkód do dalszej pracy.

W Szczecinie Marek był dłuższy czas. Musiał zorganizować placówki kulturalno-propagandowe i przygotować miasto na uroczystość „Dni Szczecina”. Uważał, że jest to doskonała okazja do wykazania swej energii i pomysłowości. Trzeba mu przyznać, że zrobił dużo. Lecz polska reakcja potrafiła i tu zniweczyć jego pracę, co zmusiło diabła ostatecznie i na zawsze zniechęcić Polaków.

Wnet po uroczystościach Marek zamknął się w swym gabinecie i samotnie wypił litr wódki. Potem położył na stole ostatni numer dziennika „Głos Ludu”, z soboty 20 kwietnia 1946 roku — Nr 110(498). Zaciskając pięści, i zgrzytając zębami czytał artykuł pt.: „Rozwydrzone partyjnictwo przeciw Polsce.” Czytał, płakał, a od czasu do czasu szedł do pieca i tłukł kudłatą głową o twarde kafle. Potem wracał do biurka, znów czytał i wył.

Rzeczywiście: kompromitacja była dla niego straszna. Przecież uroczystość ta — w rocznicę przejęcia miasta przez władze polskie była szczególnie ważna i obliczona na efekt propagandowy: jako jeden z wielkich sukcesów rządu. Miała się odbić wielogłosnym echem w kraju i zagranicą. Urochomiono mnóstwo pociągów. Zwożono wycieczki z całej Polski. Ściągnięto ponad 100.000 tysięcy gości. Urządzono wspaniałą defiladę najlepszych pułków. Rząd był prawie w komplecie — na pięknie udekorowanych trybunach. Miasto tonęło w czerwieni sztandarów, plakatów i transparentów. Na dekoracje i na propagandę uroczystości wydano ogromną sumę pieniędzy. Marek z góry cieszył się swym sukcesem z powodu dobrej organizacji uroczystości. Tymczasem podle elementy reakcyjne obróciły tę uroczystość — nie wydając na to ani grosza — w kpiny z rządu i jego potężnego sprzymierzeńca.

Diabeł całą noc nie spał. Przed oczami wciąż mu stawały bezczelnie śmiałe twarze młodzieży, chwiejące się groźnie nad tłumem pięści. W uszach brzmiały mu okrzyki: „Precz z rządem! Precz z Moskalami! Precz z bolszewickimi pachołkami! Niech żyje rząd w Londynie! Niech żyje Anglia!”

— O Lucyferze, nie wytrzymam!

Diabeł wylł, płakał, zgrzytał zębami, zaciskał pięści, tłukł głową o piec. Potem znów brał gazetę i znów czytał straszny dla niego, choć bardzo łagodnie naświetlający tamte zajścia, artykuł. Za szczególnie ubliżający sobie — jako ministrowi zwalczania propagandy antydemokratycznej i USA — uważał następujący fragment: „*W rzeczywistości niektóre grupy harcerskie podług z góry wyreżyserowanego planu podjęły próbę zakłócenia ogólnonarodowego obchodu. Zaczęło się od okrzyków podczas uroczystego zebrania, skończyło się próbą samodzielnej defilady i burdami wieczornymi. Wiwatowano na rzecz NSZ i krzyczano głośno „Idziemy za Bug.*” Wynikało z tego, że elementy reakcyjne mają lepsze zdolności organizowania demonstracji niż on — ostoja polskiej demokracji ludowej.

Chory i smutny diabeł wrócił do Warszawy. Tam zamknął się w swym wspaniałym gabinecie, w gmachu Ministerstwa i zaczął systematycznie zdychać ze złości, która rozsadzała mu diabelską pierś. Tym więcej było to bolesne, gdyż wiedział, że okazję tę do skompromitowania go skwapliwie wyzyskali koledzy demokraci. Gdyby nie sympatia dla niego wszechpotężnego Strusia, Marka na pewno by wyrzucono z Ministerstwa na ulicę, możliwe, że i nieco dalej.

Diabeł pił prawie bez przerwy przez kilka dni i wreszcie — pod wpływem alkoholu i ponurego nastroju — postanowił popełnić samobójstwo. To zdawało mu się najlepszym wyjściem z sytuacji.

29 kwietnia, od samego rana, Marek zaczął porządkować wszystkie sprawy. Potem napisał krótki testament:

*„Wszystko, co posiadam, oddaję memu zastępcy, Bronisławie Ryzównie. O moją śmierć oskarżam 24.000.000 polskich reakcjonistów.*

*Warszawa, 29 kwietnia 1946.*

*Prezydent USA*

*Antoni Wierzba.”*

Wieczorem wszystko było ukończone. Marek przygotował pistolet i postawił na stole ostatni litr wódki. Nalał pełną szklankę i zamyślił się. Wtem, w ciszy korytarza, rozległy się prędkie, energiczne kroki. Diabeł nasłuchiwał. Klamka u drzwi poruszyła się i do gabinetu, bez pukania, weszła Ryzówna. Marek żałośnie patrzył na nią.

— Co pan wyprawia za szopki! — rzekła dziewczyna i zbliżyła się do biurka.

Diabeł milczał. Dziewczyna przeczytała testament, spojrzała na pistolet, potem rzekła:

— Z pana jest pierwszorzędny dureń! W ogóle mężczyźni nie grzeszą wytrzymałością na klęski i stanowczością, lecz pana uważałam za nieco twardszego.

Marek chlipnął jak dzieciak i z oczu potoczyły mu się łzy.

— Kiedy, proszę pani, tak strasznie zblamowałam się w Szczecinie. Reakcja zniszczyła tam mój prestiż.

Ryzówna usiadła w fotelu naprzeciw Marka.

—A czy wiadomo jest panu, prezydencie, że trzy państwa razem przez 130 lat nie potrafiły zabić u Polaków dążenia do wolności, pan zaś chciał zrobić to w kilka miesięcy! Czy nie rozumie pan, że to w ogóle niemożliwe?

—To co robić? Przecież jestem ministrem od pogłębiania demokracji ludowej!

—Plecie pan o tej demokracji jak półgłówek. Gdzie ta demokracja?... W gazetach, na afiszach, w radiu i malowanych na czerwono ustępach.

Diabeł chwycił się za głowę.

—Więc i pani, jako mój zastępca, mówi to samo co i reakcja. W takim razie w ogóle wszystko dla mnie skończone!

—Marny z pana typ! — rzekła Ryzówna. — I jeszcze oświadczał się pan o moją rękę. Wyczuwałam, że to tylko chwilowy męski kaprys, więc zażądałam roku dla wypróbowania pańskich uczuć. A pan po pół roku zamierza już popełnić samobójstwo z powodu niepowodzenia w służbie. Nawet nie chce pan poczekać do pierwszego maja, aby wziąć pensję!

Diabeł z zachwytem i miłością patrzył na Ryzównę. Dziewczyna wydała mu się ważniejsza od jego służby i od powrotu do Pieła nawet, z którego postanowił zrezygnować, aby poślubić ją.

— Moja najukochańsza!

Diabeł klapnął na kolana przed swym bóstwem. Dziewczyna wstała z fotela.



— Spokojnie, spokojnie, panie prezydencie... Rok jeszcze nie minął.

Wzięła ze stołu testament, pistolet i poszła ku drzwiom. Tam stanęła.

— Przypominam, obywatelowi prezydentowi, że pierwszego maja, o godzinie 11 minut 45, ma pan odsłonić w Aleksandrowie

Kujawskim pomnik bohaterów Czerwonej Armii. Proszę przygotować większe i uroczyste przemówienie.

—Rzeczywiście! Dziękuję bardzo!

—Dobranoc, chlubno demokracji! Ryzówna wyszła na korytarz.

Marek patrzył na drzwi i głupio uśmiechał się. Potem zaczął całować siedzenie fotela, na którym była przed chwilą Ryzówna.

Duży plac rynkowy w Aleksandrowie Kujawskim zalegały tłumy ludzi. Pośrodku jego stała okryta brezentem wysoka piramida. Był to pomnik bohaterów Czerwonej Armii. Obok niego była wybudowana trybuna.

Auto, którym przyjechał Marek, zatrzymało się obok trybuny. Ryzówna nie wyszła z niego. Siedziała przy otwartym okienku. Diabeł spojrział na zegarek. 11 minut. Zgrabnie wszedł po krętych schodach na trybunę i obwiodł oczami, jakby wybrukowany głowami ludzkimi, plac. Zaczął wstępne, stereotypowe przemówienie

o znaczeniu dzisiejszej uroczystości. Słowa jego megafon siał po całym placu i rzucał w sąsiednie ulice.

Nastąpił moment otwarcia pomnika. Marek pociągnął za sznurek i brezent opadł, ukazując oczom tłumy postać bojca, w biegu do ataku, z pochylonym karabinem w dłoniach. Rozległ się śmiech. Wesoły nastrój ogarnął tłum... Jacyś reakcyjniści zapewne wykorzystali noc, aby wykpić uroczystą ceremonię. Bojca miał wsadzony między nogi zardzewiały, zniszczony damski rower, a na lufie wisiał wycięty z tektury, dwustronnie namalowany zegar.

Marek zgrzytnął zębami. Nie lubił bardzo wykpiwania żołnierzy radzieckich z powodu ich kulturalnego zamiłowania do zegarków i rowerów. Sytuacja przedstawiała się przykro. Diabeł spojrział w dół. Zobaczył, że Ryzówna przyłożyła dłonie do ust i rzuciła mu jeden wyraz.

— Modernizować!

Marek wlot zrozumiał radę swego wiceministra. Uniósł dłoń do góry i czekał, aby się uspokoił nieco ogarnięty szalem śmiechu tłum. Wówczas zaczął mówić cicho, a megafon grzmiał potężnie.

— ...Obywatele!... Pomnik ten nie jest zwykłym pomysłem artysty, lecz wyrazem ducha czasu. Rower tu symbolizuje szybkość, z jaką armia radziecka wyzwalała was od hitleryzmu. Zegarek, zawieszony na lufie, wskazywał, że droga mu była każda minuta, każda sekunda...

Marek rzucił okiem na własny zegarek. Była za jedną minutę dwunasta. Diabeł wiedział, że jeśli w ciągu 60 sekund nie połknie czarnej pigułki, to zostanie na zawsze na Ziemi. Pogodził się z tym — w imię swej miłości do Ryzówny. Więc mówił dalej:

— ...aby wybawić was od cierpień, które...

Nagle Marek przerwał mowę i patrzył, przerażony, przed siebie. Zobaczył wyraźnie, przedzierającego się przez tłum, w kierunku trybuny, podporucznika Bezpieki z Torunia. Poznał go natychmiast i poczuł, że nogi mu słabną ze strachu... Spojrzął na Ryzównę... znów na podporucznika... potem na zegarek... Do dwunastej zostało 10 sekund... Podporucznik UB zbliżał się coraz bardziej ku trybunie....

Diabeł pośpiesznie wyjął z bocznej kieszonki kamizelki czarną pigułkę i w ostatniej sekundzie połknął ją. Tłum ludzi na placu zamarł ze zdumienia. Na trybunie stał czarny, włochaty czart. Pogroził pięścią tłumowi i krzyknął:

— Ty, podła reakcjo!

Potem pochylił się z trybuny w kierunku auta i jęknął:

— Żegnaj, moje kochanie!

Marek oderwał się od trybuny. Wolno zatoczył koło nad placem, prawie dotykając długim ogonem głów przerażonych ludzi. Potem rozległ się jakby świst pocisku i czart, z ogromną szybkością, zniknął z oczu tłumy.

— Jeszcze jednego pepeerowca diabli wzięli! — rzekł ktoś z ciżby.

— Żeby tak wszystkich! — marząco westchnął inny. Ryzówna splunęła przez okienko „demokratki” i

rzuciła szoferowi rozkaz:  
— Jazda do Warszawy!

## ROZDZIAŁ XXI

### Galowy występ wielkiego demokrata w Piekło

1 maja 1946 roku, o godzinie 12, wielka sala audiencyjna w Piekło robiła imponujące wrażenie. Co prawda nie było tam czerwonych sztandarów ani portretów wodzów piekielnych, bo w utrwalonej na zawsze już demokracji diabelskiej takie kawały propagandowe były zbędne. Mimo to ogromna sala, w głębi której wynurzał się z płomieni tron Lucyfera, była wspaniała. Wzdłuż ścian stały 24 miedziane fotele. Siedziało w nich 24 szatanów. Bliżej tronu Lucyfera siedzieli główny szatan i jego zastępca. Dalej marszałkowie Związku Piekielnego. Potem dopiero ulokowali się szatani: bezpieczeństwa piekielnego, spraw zagranicznych, obrony narodowej, sprawiedliwości, kultury i sztuki, spraw wewnętrznych, oświecenia piekielnego itd. Nie było tylko szatana wyznań religijnych. Jak w każdej dyktaturze tak i tu, społeczeństwo mogło i musiało uprawiać jedynie tylko kult religijny — wodza.

Szatani w skupieniu ducha siedzieli przy ścianach. Niektórzy szeptem rozmawiali na temat mądrej, pokojowej polityki Lucyfera. Władca piekieł był jeszcze nieobecny.

Zegar na ścianie zaczął bić 12 godzinę. Z ostatnim jego uderzeniem na tronie ukazał się groźny wódz szatanów. Podwładni wstali i salutowali go ogonami.

— Siadać! — ryknął Lucyfer i wszystko zamarło bez ruchu.

Oczekiwano zjawienia się diabła Marka i zdania przez niego raportu z rocznego pobytu na Ziemi. Niektórzy szatani nie byli pewni, że wróci, bo mógł zgubić pigułki albo zginąć w jakiejś awanturze na Ziemi, gdzie życie nie było tak pewne, jak w Piekło.

Lecz Marek wrócił... W powietrzu rozległ się świst — jakby lecącego pocisku. Marszałek piekielnych ceremonii wyszedł na środek sali. I w tej sekundzie przez otwarte odrzwia na salę wleciał Marek. Marszałek ceremonii chwycił go za ogon — aby osłabić lądowanie — okręcił trzy razy w powietrzu i postawił na nogi pośrodku sali.

Marek dumnie stał przed zebraniem i śmiało patrzył w kierunku Lucyfera. Nie był to już dawny, korny, sługa władcy Piekieł, który drżał i czuł się po posadzce, nie mając odwagi nawet oczu podnieść na swego wodza. Był to pełny godności bohater walk o Poznań, zdobywca sztandaru, laureat konkursu literackiego, pogromca reakcji, minister USA i przyjaciel Strusia. Był to już dobrze uświadomiony, w ciągu roku pobytu na Ziemi, w Polsce, demokratą ludowy i członek PPR.

— Mów! — rzucił mu krótko Lucyfer.

Marek odchrząknął, wyprostował się, wsadził duży palec prawej ręki do kieszeni kamizelki — która jedynie pozostała mu z całego ubrania — i zaczął uroczyście:

— Obywatele!

Główny szatan chrząknął i dostał czarnych wypieków. Inni szatani poruszyli się w fotelach.

— Obywatele! — powtórzył Marek donośnie. — W dniu święta czarnoskórych całego świata chcę wyjaśnić wam krótko znaczenie Konstytucji Radzieckiej, która gwarantuje swym obywatelom absolutną wolność i możliwość korzystania z dorobku kulturalnego świata. Aby to wam zilustrować — nie zabierając dużo czasu — sięgnę do dokumentu.

Szatani zdumionymi oczami spoglądali na Marka. Lucyfer pochylił się nieco naprzód. Marek wyjął z bocznej kieszeni kamizelki książeczkę w błękitnej okładce. Otworzył ją na stronie 50 i uroczyście, wzruszonym głosem, przeczytał:

„ARTYKUŁ 125. Zgodnie z interesami ludu pracującego i w celu umocnienia ustroju socjalistycznego gwarantuje obywatelom ZSRR:

(a) wolność słowa,

*(b) wolność druku,*

*(c) wolność zgromadzeń i wieców,*

*(d) wolność pochodów ulicznych i demonstracji.*

*Te prawa obywateli zabezpiecza oddanie na użytek mas pracujących i ich organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych, ulic, środków łączności oraz innych warunków materialnych niezbędnych do urzeczywistnienia tych praw. "*

Marek przeczytał to i dumnie spoglądał po otoczeniu. Szatani milczeli. Nagle powietrze wstrząsnął wybuch śmiechu. Jak grzmot przewalał się po Piekło. To się śmiał Lucyfer. Marek gębę otworzył ze zdumienia. Takiego skutku swego rewolucyjnego wystąpienia nie spodziewał się. Był przygotowany na to, że Lucyfer zabije go widłami, że szatani rozerwą go na kawałki. Że na zawsze wpakują go do kotła — razem z grzesznikami. Lecz życie, po utracie Ry-żówny, straciło dla niego wartość. Więc, lecąc z Ziemi do Piekła i przypominając sobie uderzenie go w zęby — przed rokiem — przez głównego szatana i kopnięcie przez szatana ceremonii, postanowił' wygarnąć w oczy Lucyferowi, co myśli o reakcyjnych rządach w Piekło.

I „wygarnął". A Lucyfer zamiast gniewu — po raz pierwszy w dziejach Piekła — wybuchnął śmiechem. Ryczał, dławił się chichotem, oczy zaś na czoło mu wyłaziły. Śmiech ten gnał Piekłem, jak tajfun oceanem. Na Ziemi uczeni chwyтали się za głowy, patrząc na wściekłe zygzyki, którymi sejsmografy notowały trzęsienie globu. A szatani osłupieli ze zdumienia, bo nie wyobrażali sobie, aby władca Piekła nawet uśmiechnął się kiedykolwiek.

Wreszcie Lucyfer opanował się i wyciągnął rękę ku książeczce, którą Marek przyciskał do piersi. Konstytucja jak motyl frunęła mu do rąk. Lucyfer otworzył ją i zatrzymał wzrok na artykule 127. Zaczął czytać głośno, aż po Piekło grzmiało:

*„Obywatelom ZSRR zapewnia się nietykalność osobistą. .."*

Lucyfer opuścił dłoń z książeczką i spojrzał na Marka. Diabeł poczuł, że uginają się pod nim nogi. Lecz — jako demokratą ludowy — postanowił, że raczej zginie w obronie swych ideałów, niżli ich się zaprze. Ale Lucyfer nie zamierzał wcale go zabijać. Skinął widłami kierownikowi komunikacji międzyplanetarnej.

— Natychmiast wyprawić go na zawsze do Rosji. Dać tylko białą pigułkę, aby tam mógł się obrócić w człowieka!

Szatan podbiegł do Marka, wsadził mu do kieszeni kamizelki białą pigułkę, czarną zaś kazał połknąć. Diabeł oderwał się od posadzki. Zatonął koło w powietrzu. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Niech żyje demo..." i z przeraźliwym świstem znikł z Piekła na zawsze.

Od tego czasu w Piekło zaszły wielkie zmiany. Nie były to zmiany ustrojowe, bo te — jak wiadomo każdemu demokracji ludowej — nadal są burżuazyjno-kapitalistyczne i sanacyjno-reakcyjno--plutokratyczne, lecz zapanowała inna „aura". Szatani chodzili uśmiechnięci, jak gogusie na Piccadilly. Diabły często swawoliły i żartowały — nawet z grzesznikami w kotłach. A Lucyfer był zawsze w dobrym humorze. Ten nastrój władcy promieniował w krąg.

I wszystko to zrobiła jedna mała książeczka, która się stała wielo-karatowym brylantem bogatej biblioteki Lucyfera. Więc pamięć pospolitego diabła 9 kategorii, Marka, który ją z Ziemi dostarczył, utrwaliła się na zawsze w pełnych wdzięczności sercach wszystkich mieszkańców Piekła.

Londyn, wrzesień 1947